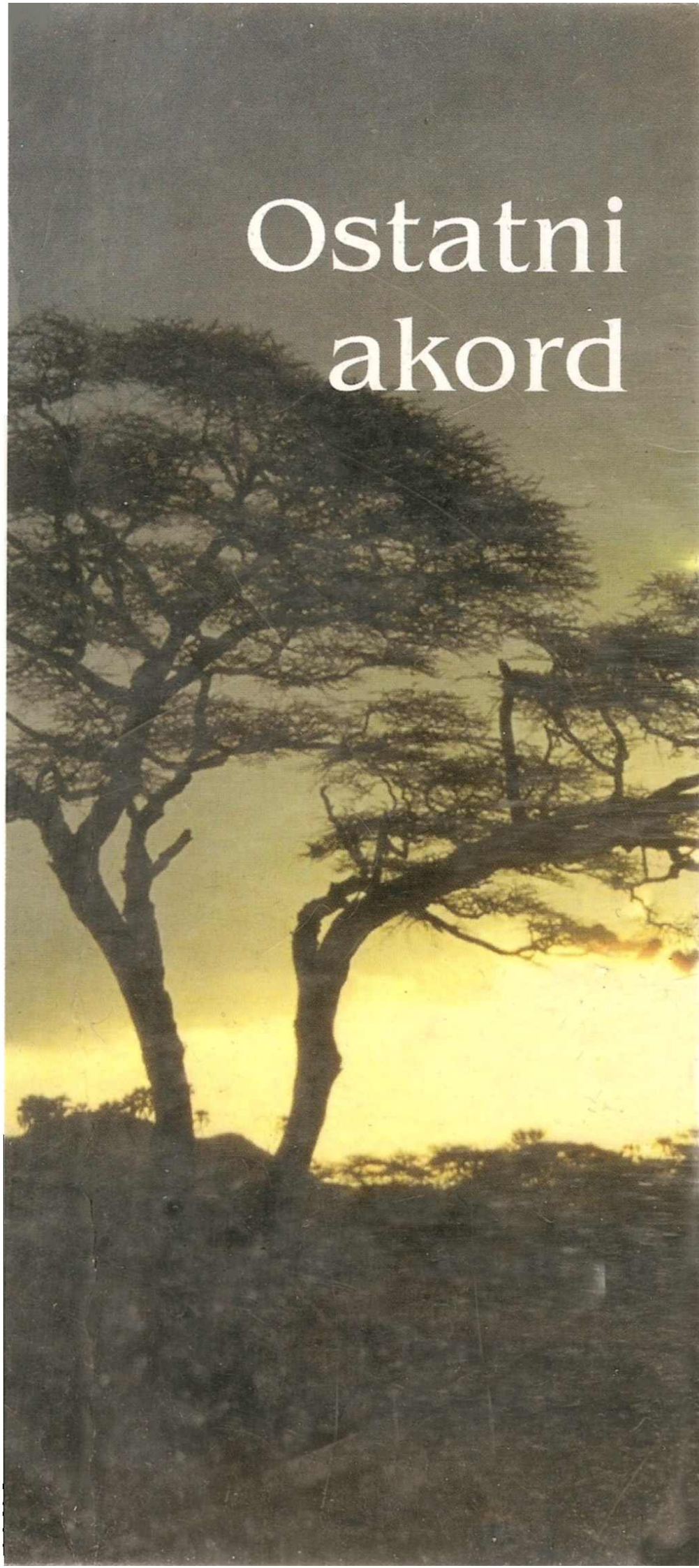


ERICH

SEGAL

Ostatni akord



ERICH

SEGAL

Ostatni akord

Z angielskiego przełożyła
ELŻBIETA ZYCHOWICZ



WARSZAWA 2000



Karen, Francesce i Mirandzie
moim jedynym miłościom

Le meilleur de la vie se passe à dire:
„Il est trop tôt”, puis „Il est trop tard”.

Najlepsza część życia mija nam na mówieniu:
„jest za wcześnie”, a potem: „jest za późno”.

Flaubert

Listy

[lipiec, 1859, Rob. str. 543]

PROLOG

Muszę uczynić straszliwe wyznanie.

Gdy dowiedziałem się, że Silvia jest umierająca, nie byłem całkiem nieszczęśliwy.

Wiem, że słowa te mogą wydać się nieludzkie, zwłaszcza w ustach lekarza, ale nie potrafię myśleć o niej wyłącznie jako o jeszcze jednej pacjentce. Właściwie w pierwszej chwili, gdy usłyszałem, że przyjeżdża zobaczyć się ze mną po tak długim czasie, przemknęło mi przez myśl, że jest to gest pojednania.

Jestem ciekaw, co też jej chodzi po głowie. Czy traktuje nasze zbliżające się spotkanie po latach wyłącznie jako ostatnią desperacką próbę ocalenia życia? A może, nim pograży się w ciemności, pragnie zobaczyć mnie jeszcze raz, tak jak ja pragnę zobaczyć ją?

A co z jej mężem? Jeśli nawet nie powiedziała mu kiedyś - co wydaje się raczej mało prawdopodobne - o tym, co nas łączyło, z pewnością będzie musiała to zrobić teraz.

Cokolwiek sobie jednak pomyśli, nawet jeśli zrani to jego uczucia, nie będzie próbował udaremnić naszego spotkania. Przywykł przecież do tego, że ma wszystko, co najlepsze na świecie, a w mojej dziedzinie jestem numerem jeden.

Silvia jest młodsza ode mnie o dwa lata, ma zaledwie czterdzieści trzy. A sądząc po artykułach w najświeższych gazetach, nadal zasługuje na miano piękności. Jest zbyt promienna, zbyt pełna życia, by mogła ją trawić poważna choroba. Dla mnie zawsze stanowiła kwintesencję życiowej siły.

Podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej Rinaldi jest uprzejmy i oficjalny. Mimo że rozmawiamy o jego żonie, w głosie mężczyzny nie słychać śladu emocji. Przeciwnie, przyjmuje za pewnik, że będę natychmiast do jego dyspozycji.

- Pani Rinaldi ma guz mózgu. Czy może pan zbadać ją bezzwłocznie?

Ale niezależnie od całej arogancji, wyczuwam w nim ciche uznanie faktu, że ja mam moc, której jemu brakuje. Nawet takiemu wytrawnemu biznesmenowi jak on nie uda się wytargować niczego od Anioła Śmierci. I to jest źródłem satysfakcji. A jednak nagle, niemal mimowiednie, dodaje z ledwie dosłyszalnym drżeniem w głosie:

- Proszę.

Musiałem pomóc. Obojgu.

Historia choroby oraz zdjęcia rentgenowskie dotarły do mojego gabinetu w ciągu godziny. Gdy tylko zostałem sam, rozdarłem niecierpliwie kopertę, myśląc irracjonalnie, że wewnątrz może będzie coś, co dotyczy życia osobistego Silvii.

Ale oczywiście były tam jedynie wyniki badań jej mózgu, wykonanych najnowocześniejszą techniką. Pomyślałem z ironią, że już przedtem poznałem jej wnętrze. Jednakże umysł nie jest organem. Mózg nie jest siedliskiem duszy. I wtedy wziął we mnie górę lekarz - ogarniał mnie coraz większy gniew.

Nawet najwcześniejsze wyniki tomografii wykazywały obecność nowotworu. Cóż to za lekarze ją leczyli? Przekartkowałem spiesznie notatki, ale znalazłem jedynie zwykły antyseptyczny medyczny żargon. Pacjentka, wówczas czterdziestojednoletnia mężatka, rasy białej, udała się najpierw do profesora Luki Vingiano, skarżąc się na bardzo silne bóle głowy. Przypisał ich przyczynę napięciu emocjonalnemu i zaordynował nowoczesne środki uspokajające.

Jednakże, mimo że wyznawał filozofię *non fa niente*, pozwolił, by do suchych danych prześlizgnęła się drobna aluzja dotycząca spraw osobistych. Najwyraźniej w życiu Silvii istniało jakieś bliżej nie określone napięcie. Natychmiast założyłem, być może dlatego że taka interpretacja odpowiadała mnie samemu, iż było ono związane z jej małżeństwem.

Albowiem choć na zdjęciach Silvia stanowiła coś w rodzaju mężowskiej ozdoby, zawsze sprawiała wrażenie, jak gdyby celowo istniała na marginesie jego życia. W przeciwieństwie do niej, Nico był osobą znacznie bardziej publiczną.

Jego międzynarodowy kolos, FAMA, był nie tylko największym producentem samochodów, lecz prowadził również działalność budowlaną, hutniczą, ubezpieczeniową i wydawniczą.

W różnych okresach pojawiały się w prasie plotki łączące jego nazwisko z tą czy inną utalentowaną młodą kobietą. Oczywiście, zdjęcia były robione przy okazji różnych imprez związanych z działalnością dobroczynną, mogły być to zatem jedynie oszczerze spekulacje. Sławie zawsze towarzyszą plotki. Wiem coś na ten temat, albowiem sam osiągnąłem spory sukces w mojej dziedzinie.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, sugestia profesora podziiałała niczym płomień zapalki na suche wióry moich emocji. Wołałem uwierzyć insynuacjom dziennikarzy i przypisałem stany lękowe, które zauważył u Silvii poczciwy profesor, skokom na boki jej męża. Zmusiłem się, by czytać dalej. Minęło nieprawdopodobnie dużo

czasu, zanim Vingiano potraktował ją serio i wysłał do specjalisty w Londynie który miał „sir” przed nazwiskiem i cieszył się międzynarodową sławą.

On wykrył guz, ale w obecnym stadium uznał go za nieoperacyjny. Rzeczywiście, nie było możliwości, by nawet najsprawniejszej parze rąk udało się tak manewrować najbardziej mikroskopijnym narzędziem chirurgicznym, żeby nie spowodować poważnego uszkodzenia mózgu. Albo - co bardziej prawdopodobne - nie zabić pacjentki.

To było przyczyną, że zdecydowałem się ostatecznie. I poczułem niepokój. Prawdą jest, że technika genetyczna, której byłem prekursorem, wielokrotnie okazała się skuteczna w hamowaniu wzrostu nowotworu przez stworzenie repliki DNA ze skorygowaną wadą.

Teraz jednak po raz pierwszy zrozumiałem w pełni, dlaczego lekarze nie powinni leczyć bliskich im osób. Nagle poczułem się niepewnie, straciłem wiarę we własne umiejętności. Gdy ma się do czynienia z kimś droгим, człowiek uświadamia sobie boleśnie własną zawodność.

Nie chciałem, żeby Silvia została moją pacjentką.

W niecałe piętnaście minut od chwili, gdy koperta trafiła do moich rąk, zadzwonił telefon.

- No i jaka jest pańska opinia, doktorze Hiller?

- Przykro mi, ale nie miałem czasu, by zapoznać się dokładnie z historią choroby.

- Czy rzut oka na ostatnie wyniki tomografii komputerowej nie mówi panu wszystkiego, co chce pan wiedzieć?

Miał oczywiście rację. I przyszło mi do głowy, że być może nie chciał dopuścić, bym przeczytał zbyt dokładnie całą dokumentację. Czyżby się obawiał, że będę go obwiniał za zbyt powolne działanie? (W pewnym sensie go obwiniałem).

- Panie Rinaldi, niestety zgadzam się z opinią pańskiego lekarza z Londynu. Nowotworu w tym stadium nie da się operować.

- Chyba że pan to zrobi - rzekł z uporem. Właściwie spodziewałem się, że to powie. - Czy może pan zbadać ją dzisiaj?

Zajrzałem odruchowo do kalendarza. Popołudnie kompletnie wypełnione, o szesnastej trzydzieści seminarium. Po co w ogóle tam zaglądałem, skoro doskonale wiedziałem, że spełnię jego żądanie? (Szczerze mówiąc, odczuwałem ulgę, że nastąpi to tak szybko. Oszczędzi mi to przynajmniej nieprzespanej nocy).

- Może o drugiej? - zaproponowałem.

Przeliczyłem się jednak co do zdolności Nica do okazywania wdzięczności. Powinienem był się domyślić, że spróbuje ubić lepszy interes.

- Właściwie zatrzymaliśmy się w hotelu, zaledwie kilka minut drogi od pana. Możemy przyjechać niemal natychmiast.

- Dobrze - poddałem się z westchnieniem. Miejmy to już za sobą.

W kilka minut później sekretarka zaanonsowała przybycie państwa Rinaldich. Serce zaczęło mi bić jak szalone. Za parę sekund drzwi mojego gabinetu otworzą się, wpuszczając jednocześnie falę wspomnień. Nie będę mógł odetchnąć, dopóki jej nie zobaczę.

Jednakże pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był on - wysoki, imponujący, silny. Przywitał mnie posępnym skinieniem głowy i przedstawił swoją żonę, jak gdybyśmy widzieli się po raz pierwszy. Przesunąłem spojrzeniem po twarzy Silvii. W pierwszej chwili wydała mi się absolutnie nie skażona piętnem czasu. Czarne oczy płonęły tak jak niegdyś, choć z rozmysłem unikały mojego wzroku. Nie potrafiłem rozszyfrować jej uczuć, stopniowo jednak uświadamiałem sobie, że coś się zmieniło. Może była to jedynie gra mojej wyobraźni, ale wyczułem zmęczenie Silvii i nieokreślony smutek, nie związany z chorobą. Ja odebrałem to jako rezultat życia, którego w żaden sposób nie dałoby się nazwać szczęśliwym.

Podchodząc niezręcznie (a może tak mi się wydawało), by uścisnąć dłoń jej mężowi, powiedziałem do niej:

- Cieszę się, że znów się spotykamy.

CZEŚĆ 1

Wiosna 1978

Rozdział 1

Miejscem spotkania był Paryż. Ci z nas, którzy przetrwają wstępne wkuwanie teorii, a potem gruntowne szkolenie, w nagrodę zostaną wysłani do Afryki, by ryzykować własne życie i, miejmy nadzieję, ratować życie innych. Była to moja pierwsza podróż na wschód od Chicago.

Świtało, gdy nasz lot zbliżał się ku końcowi. Trzy tysiące metrów pod nami miasto budziło się - zmysłowa kobieta otrząsająca się z sennego rozmarzenia w brzasku poranka.

Zostawiłem bagaże w Aéro gare i w godzinę później, wybiegłszy po schodach z metra, znalazłem się w samym sercu St. Germain des Pres, pulsującym *musique concrète* ulicznego ruchu w godzinach szczytu.

Spojrzałem nerwowo na zegarek. Zostało mi zaledwie piętnaście minut. Po raz ostatni sprawdziłem adres na planie miasta i jak szalony puściłem się pędem do głównej siedziby Médecine Internationale, sklerotycznego architektonicznego antyku przy rue des Saints Pères.

Dotarłem tam, ociekając potem, ale na czas.

- Proszę usiąść, doktorze Hiller.

François Pelletier, gniewny wielki inkwizytor, do złudzenia przypominał Don Kichota, nawet kędzierzawą brodą. Różniła go od niego jedynie rozpięta niemal do pępka koszula. I zwisający między szczupłymi palcami papieros.

Bardzo odpowiednio, towarzyszył mu łysiejący mężczyzna w typie Sancho Pansy, bazgrzący coś zapamiętałe w notatniku, i pulchna Holenderka około trzydziestki (Dulcynea?).

Od samego początku rozmowy kwalifikacyjnej było dla mnie oczywiste, że Franci nie cierpi Amerykanów. Obarczał ich odpowiedzialnością za wszystkie nieszczęścia trapiące rodzaj ludzki, począwszy od odpadów atomowych, a skończywszy na zbyt wysokim poziomie cholesterolu.

Bombardował mnie wrogimi pytaniami, na które odpowiadałem najpierw uprzejmie i profesjonalnie. Gdy jednak stało się jasne, że nie ma im końca, zacząłem być kąśliwy, zastanawiając się, o której mam powrotny lot do Chicago.

Minęła już prawie godzina, a on wciąż maglował mnie o każdy najdrobniejszy aspekt mojego życia. Na przykład, czemu nie spaliłem mojej karty powołania do wojska podczas wojny w Wietnamie?

Odpowiedziałem mu pytaniem, czy spalił swoją, gdy Francuzi walczyli tam przed nami?

Błyskawicznie zmienił temat i nadal obrzucaliśmy się złośliwościami.

- Proszę mi powiedzieć, doktorze Hiller, czy wie pan, gdzie leży Etiopia?

- Proszę mnie nie obrażać, doktorze Pelletier.

- A jeśli panu powiem, że trzech inni Amerykanie, z którymi przeprowadzałem podobną rozmowę, byli przekonani, że Etiopia znajduje się w Ameryce Południowej?

- To znaczy, że miał pan do czynienia z dupkami i nie powinien pan zawracać sobie nimi głowy.

- Całkowicie się z panem zgadzam. - Gwałtownie wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Potem nagle się zatrzymał, okręcił na pięcie i wypalił: - Proszę sobie wyobrazić, że znalazł się pan w szpitalu polowym na afrykańskim odludziu, wiele kilometrów od czegokolwiek, co mógłby pan nazwać cywilizacją. Co pan zrobi, żeby zachować zdrowie psychiczne?

- Bach - odpowiedziałem bez mrugnięcia powieką.

- Słucham?

- Jan Sebastian albo któryś z jego kolegów po fachu. Zawsze zaczynam dzień od pięćdziesięciu pompek, pięćdziesięciu przysiadów i kilku ożywczych partit i fug.

- Ach tak. Z pańskiego życiorysu dowiedziałem się, że jest pan niezłym muzykiem. Niestety, w naszych klinikach brakuje fortepianów.

- Nie szkodzi. Potrafię grać w głowie z takim samym efektem. Klawiaturę do ćwiczeń mogę zawsze zabrać ze sobą. Nie czyni najmniejszego hałasu. Ćwiczę palce, a jednocześnie zachowuję spokój ducha.

Po raz pierwszy tego ranka spowodowałem krótkie spięcie prądu elektrycznego antagonizmu. Jakim kamieniem teraz we mnie ciśnie? Mój umysł znajdował się w stanie najwyższego napięcia i czujności.

- No cóż - zauważył, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów - na razie się pan nie załamał.

- Jest pan rozczarowany?

François utkwiał we mnie wzrok, po czym spytał:

- A brud? Głód? Przeróżające choroby?

- Spędziłem rok w tak okropnych miejscach, że myślę, iż potrafię znieść każdy medyczny horror, jaki tylko można sobie wyobrazić.

- Trąd? Ospa?

- Nie, przyznaję, że nie spotkałem przypadku żadnej z tych chorób w stanie Michigan. Czy próbuje mnie pan zniechęcić?

- W pewnym sensie - przyznał, pochylając się ku mnie bliżej i wydmuchując w moją stronę kłęb cuchnącego dymu. - Ponieważ jeśli zamierza pan zniknąć, lepiej żeby pan to zrobił tutaj, a nie w samym sercu Afryki.

Teraz Holenderka uznała za stosowne wtrącić swoje trzy grosze.

- Czy zechce mi pan wyjaśnić, czemu postanowił pan wyjechać do Trzeciego Świata, skoro może pan przyjmować wizyty domowe przy Park Avenue?

- A co powiedziałyby pani na chęć pomagania ludziom?

- Taką odpowiedź łatwo przewidzieć - wtrącił Rancho Pansa. - Czy nie potrafi pan wymyślić czegoś oryginalniejszego?

W przyśpieszonym tempie traciłem cierpliwość i panowanie nad sobą.

- Szczerze mówiąc, rozczarowaliście mnie państwo. Byłem przekonany, że w Médecine Internationale pracują sami altruistyczni lekarze, a nie koszmarne upierdliwi cynicy.

Trójka indagatorów wymieniła spojrzenia, po czym François odwrócił się do mnie i spytał bez ogródek:

- A co z seksem?

- Nie tutaj, François. Nie przy ludziach - odciąłem się. W tym stanie nerwów guzik mnie już wszystko obchodziło.

Jego totumfaccy wybuchnęli śmiechem, on również.

- To jest także odpowiedź na moje najważniejsze pytanie, Matthew. Masz poczucie humoru. - Wyciągnął do mnie dłoń. - Witaj na pokładzie.

W tej chwili nie byłem pewny, czy chcę się znaleźć na pokładzie. Odbyłem jednak tak długą podróż i przeszedłem przez taki magiel, że pomyślałem, iż przyjmę ich ofertę i przynajmniej prześpię się z tym. Trzytygodniowy kurs przygotowujący do wyjazdu do

Erytrei miał się zacząć za dwa dni. Tak więc miałem czterdzieści osiem godzin na poznanie uroków Paryża.

Zameldowałem się w domu noclegowym w lewobrzeżnej dzielnicy Paryża, zarezerwowanym dla kandydatów, i stwierdziłem, że ma swoją atmosferę. Był to jeden z tych tanich hotelików, w którym chyba wszystkie pokoje znajdowały się na poddaszu i wszystkie łóżka skrzypiały. Może François chciał nas zahartować przed wyjazdem?

Mój brat Chaz powiedział mi, że jest absolutną niemożliwością, by zjeść w Paryżu coś niesmacznego. I rzeczywiście miał rację. Jadłem w miejscu o nazwie „Le Petit Zinc”, gdzie wybiera się dania z różnych rodzajów egzotycznych skorupiaków wystawionych na dole, a podawanych na górze. Gdybym odważył się spytać, co mam na talerzu, pewnie nie smakowałyby mi tak bardzo.

Następne dwa dni były szokiem dla mojego organizmu. Próba obejrzenia artystycznych skarbów Paryża w tak krótkim czasie jest mniej więcej tym samym co próba połknięcia na raz całego słonia. Robiłem jednak, co tylko w mojej mocy. Od świtu do późnej nocy chłonałem miasto każdym porem mego ciała.

Gdy wyproszono mnie z Luwru i zamknięto drzwi, zjadłem pośpiesznie kolację w pobliskim bistro, po czym wędrowałem bulwarem Saint Michel, dopóki kompletnie nie opadłem z sił. Zamiast więc pójść jeszcze dokądkolwiek, dołączyłem do towarzystwa karaluchów w moim pokoju.

Gdy usiadłem chyba po raz pierwszy tego dnia, dopadło mnie wreszcie zmęczenie spowodowane różnicą czasu, które ścigało mnie od chwili, gdy wysiadłem z samolotu.

Ledwie zdążyłem zdjąć buty i runąć na łóżko, zapadając w postparyską śpiączkę.

Pamiętam, oczywiście, dokładną datę: poniedziałek, trzeci kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Jednakże dzień zaczął się tak samo jak każdy inny - ogoliłem się, wziąłem prysznic, włożyłem najprzewiewniejszą koszulę (niebieską, rozpinaną, z krótkimi rękawami), po czym ruszyłem na ulicę des Saints Peres. I to był dzień pierwszy Operacji Erytrea.

Odzyskałem już moją pewność siebie i zdecydowanie, jasno określiłem ideały i byłem gotów na wszystko. Z wyjątkiem uczuciowej pułapki, jaka na mnie czekała.

Prawie cała reszta była już na miejscu, siedzieli, gawędząc i popijając kawę z papierowych kubków. François, z nieodłącznym papierosem w ustach, przedstawił mnie czworgu francuskich kandydatów (wśród nich znajdowała się dość atrakcyjna blondynka), dwóm Holendrom; jeden, w ogromnym kapeluszu na głowie, miał przeprowadzać większość narkoz (nie pytajcie mnie o związek).

I Silvii.

Z wrażenia zaparło mi dech. Była poematem bez słów. Przepiękna w każdym szczególe. Jej spojrzenie miało moc spojrzenia Meduzy, tylko w przeciwieństwie do tamtej gorgony, zamieniało cię nie w kamień, lecz w galaretę. Jej skromny ubiór stanowiły dzinsy i bluza sportowa, twarz nie nosiła nawet śladu makijażu. Włosy miała ściągnięte do tyłu w koński ogon. To jednak nie mogło zwieść nikogo.

- Nie traktuj wyglądu Silvii jako argumentu przeciwko niej, Matthew. Jest tak wspaniałą diagnostką, że wybrałem ją mimo wszystko, chociaż jej dziadek był nazistą, a ojciec powoduje raka płuc.

- Cześć - udało mi się wykrztusić z trudem. - Potrafię zrozumieć grzechy dziadka, ale co sprawia, że ojciec wykazuje działanie rakotwórcze?

- To proste - uśmiechnął się François. - Nosi nazwisko Dalessandro.

- Masz na myśli szefa FAM-y, włoskiego producenta samochodów?

- Właśnie jego. Tego, który najbardziej zanieczyszcza zarówno autostrady, jak i boczne drogi. Nie wspominając o chemicznych odpadach, które produkuje... - François przekazał tę informację z czymś w rodzaju perwersyjnej radości.

Spojrzałem na Silvię i spytałem:

- Czy on znowu robi ze mnie idiotę?

- Nie winien zarzucanego mu czynu - powiedziała. - Muszę jednak zwrócić twoją uwagę na fakt, że ten współczesny święty Łukasz zapomniał nadmienić, iż mój ojciec - ekologiczny przestępca - walczył z armią amerykańską podczas drugiej wojny światowej. Skąd pochodzisz, Matthew?

- Zbieg okoliczności sprawił, że również ze stolicy motoryzacji - Dearborn, w stanie Michigan. Tylko że nie nazywam się Ford.

- Twoje szczęście. Gdy się pochodzi z tak znanej, a w moim przypadku, cieszącej się złą sławą rodziny, czasami człowiek ma dosyć.

François powiedział do niej żartobliwie, wskazując na mnie:

- A propos, Silvio, uważaj na tego typka. Próbuje odgrywać wiejskiego prostaczka, ale jest zapalonym pianistą, poza tym mówi po włosku.

- Doprawdy? - spojrzała na mnie zaskoczona. Najwyraźniej zrobiło to na niej wrażenie.

- Oczywiście nie tak płynnie jak ty po angielsku - zastrzegł natychmiast François. - Ale włoski jest rzeczywiście przydatny, gdy się ma muzyczne zainteresowania.

- Ach, *un amant e dell'opera*? - spytała niecierpliwie.

- Tak. Ty również?

- Jestem ogromną miłośniczką opery. Ale gdy czymś miastem rodzinnym jest Mediolan, wyrasta na zapalonego amatora dwóch rzeczy: *la scalciata* i *la Scala* - piłki nożnej i opery.

- I *la scallopine* - dodałem, dumny ze swej aliteracji.

- A teraz - zagrzmiął François - proszę, żeby wszyscy usiedli i zamknęli buzie na kłódki. Zabawa się skończyła.

Przekomarzania ucichły jak nożem uciął i myśli obecnych skupiły się na sprawach medycznych. Wszyscy zajęli miejsca (Silvia wraz z dwiema innymi osobami usiadła po turecku na podłodze).

- Pozwólcie, że wygłoszę pewną przepowiednię - mówił szybko François. - Kto jeszcze nie odczuwa do mnie niechęci, znienawidzi mnie serdecznie po pierwszym tygodniu w terenie. Będzie gorąco, stresująco i niebezpiecznie. Warunki, z jakimi się tam zetkniecie, będą zupełnie inne niż te, z jakimi mieliście dotychczas do czynienia. Już przed wojną domową Etiopia była jednym z najbiedniejszych krajów świata - roczny dochód na jednego mieszkańca wynosi tam dziewięćdziesiąt dolarów. Ludzie nieustannie głodują, a ten stan zaostrza trwająca od wielu lat susza. To absolutny koszmar.

Westchnął głęboko, po czym dodał:

- A teraz, bardzo odpowiednio, zaczniemy od dżumy.

Projekt numer 62 Médecine Internationale rozpoczął się.

Sądzę, że jeśli idzie o kobiety, mam kompleks Groucho Marxa. W chwili gdy zaczynają się mną interesować, dają drapaką. Tak właśnie stało się tamtego ranka w Paryżu.

Czmychałem, oczywiście, nie przed Silvia, lecz przed Denise Lagarde.

Była zuchwałą, bystrą internistką z Grenoble o - jak to ujmują obrazowo Francuzi - „ładnie wyprofilowanym balkonie” (to zadziwiające, jak szybko człowiek podłapuje ważne słownictwo). W każdej innej sytuacji zrobiłaby na mnie wrażenie bardzo apetycznej kobiety.

Na kolację poszliśmy wszyscy do restauracji, która - wierście lub nie - serwowała ponad dwieście rozmaitych gatunków sera. Normalnie czułbym się w kulinarnym niebie, ale moje kubki smakowe, podobnie jak inne narządy zmysłów, były kompletnie odrętwiałe. Tak głębokie wrażenie wywarła na mnie Silvia.

Denise wymanewrowała w ten sposób, żeby usiąść przy mnie, i poczyniała sobie nader śmiało. W trzy godziny później, gdy piliśmy kawę, szepnęła mi do ucha z bezwstydną szczerością:

- Uważam, że jesteś bardzo atrakcyjnym facetem, Matthew.

Odwzajemniłem komplement, mając nadzieję, że nie zaprowadzi mnie tam, dokąd bez wątpienia mógł mnie zaprowadzić.

- Czy chciałbyś, żebym pokazała ci Paryż?

- Dziękuję, Denise, ale już go obejrzałem - odparłem nietaktownie.

Zrozumiała podtekst i w ten sposób zyskałem pierwszego wroga.

Silvia nigdy nie była sama. Przypominała flecistę z Hamelin Browninga, otoczona rojem wielbicieli obojga płci, dokądkolwiek skierowała swoje kroki.

Jednakże szybko zorientowałem się, że miała towarzystwo również w raczej złowieszczym sensie.

Tak się złożyło, że w tamten pierwszy piątek zjawiłem się na miejscu dość wcześnie. Gdy wyjrzałem przypadkiem przez okno, w moim polu widzenia pojawiła się Silvia, sunąca tanecznym krokiem po ulicy. Gdy rozkoszowałem się tym widokiem, zauważyłem, że poza zwykłym stadkiem jej fanów kilka kroków za nią postępuje potężnie zbudowany facet w średnim wieku. Odniosłem niejasne wrażenie, że ją śledzi. Oczywiście nie powiedziałem nic, ponieważ mogła być to jedynie gra mojej wyobraźni.

Podczas półgodzinnej przerwy na lunch (zgadzam się, niezbyt po francusku), snuliśmy się wszyscy, jedząc sandwicze z bagietek. Silvia poszła kupić gazetę w kiosku na rogu. Na chwilę przedtem, nim zaczęły się ponownie zajęcia, zobaczyłem, że wraca. W

pewnej odległości za nią, na ulicy, rozpoznałem tego samego mężczyznę, obserwującego ją bacznie.

Teraz wiedziałem już, że nie zwiódła mnie wyobraźnia, i byłem zdecydowany ostrzec dziewczynę.

Gdy skończyły się popołudniowe zajęcia i wróciliśmy całą grupą do „Termitowego Hiltona”, jak ochrzciliśmy nasz dom noclegowy, odważnie spytałem Silvię, czy nie poszłaby ze mną na drinka, ponieważ chciałbym porozmawiać z nią w prywatnej sprawie.

Zgodziła się dość chętnie i udaliśmy się do małego *bistro à vin*, dwa domy dalej.

- A więc - uśmiechnęła się, gdy precyzyjnie się do naszego ciasnego boksiku z kieliszkami białego wina w obu rękach - co się stało?

- Silvio, jestem pewien, że masz już plany na ten wieczór, i załatwię to naprawdę szybko. Nie chciałbym cię denerwować... - Zawahałem się. - Ale myślę, że cię ktoś śledzi.

- Wiem - odpowiedziała z absolutnym spokojem.

- Wiesz?!

- Zawsze jest tak samo. Ojciec boi się, żeby coś mi się nie przytrafiło.

- Chcesz powiedzieć, że ten facet to twój ochroniarz?

- Coś w tym rodzaju. Ale wolę myśleć o Ninie jako o moim czarodziejskim ojcu chrzestnym. W każdym razie, ojciec nie jest paranoikiem. Przykro mi to mówić, ale są realne powody... - Głos jej się załamał.

- O Chryste. Zdaje się, że palnąłem gafę. - Nagle przypomniałem sobie, że wiele lat temu czytałem o porwaniu i zamordowaniu jej matki. Była to wiadomość, która obiegła cały świat. - Wybacz mi - wymamrotałem przeproszającym tonem - że w ogóle zapytałem. Możemy wrócić do naszych kolegów.

- Po co ten pośpiech? Skończmy wino i pogadajmy trochę. Czy śledziłeś mecze NBA?

- Niezbyt regularnie. Sama wiesz, gdy się jest rezydentem, każdą wolną chwilę wykorzystuje się na drzemkę. A czemu pytasz?

- FAMA ma swoją zawodową drużynę koszykówki w lidze europejskiej. Co roku werbujemy do niej graczy, którzy odpadli z NBA. Miałam nadzieję, że może zwróciłeś uwagę na jakiegoś zawodnika z Detroit Pistons, który spadł na niższą pozycję, ale wciąż mógłby wiele zdziałać w drugorzędnej lidze.

- Wiesz co... poradzę się specjalisty. Napiszę do mojego brata Chaza i spytam go. Ma kompletnego fioła na punkcie sportu.

- To jedyna rzecz, której mi będzie brakowało w Afryce. Ilekroć nasi chłopcy grali w Anglii, ojciec przylatywał samolotem na mecz i zabierał mnie ze sobą.

- Co robiłaś w Anglii poza chodzeniem na mecze?

- Uczyłam się przez prawie dziesięć lat, po śmierci mojej matki. Uzyskałam nawet stopień doktora medycyny w Cambridge.

- Aha, to tłumaczy twój akcent. W czym się będziesz specjalizowała?

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Prawdopodobnie w chirurgii dziecięcej. To zależy, jak sprawne okażą się moje ręce... niedługo się o tym przekonam. A ty?

- Cóż, początkowo też czułem pociąg do *lo scalpello*. Ale jestem przekonany, że za kilka lat skalpel będzie już przestarzałym narzędziem i zastąpią go różnorodne techniki genetyczne. To właśnie stanowi pole moich zainteresowań. A zatem, po pobycie w Afryce prawdopodobnie zechcę uzyskać stopień doktora w biologii molekularnej albo czymś podobnym. W każdym razie już nie mogę się doczekać tej przygody, a ty?

- Mówiąc między nami, czasami zastanawiam się, czy sobie z tym poradzę.

- Nie martw się. Rozumiem, że możesz mieć pewne obawy, ale François nie wybrałby cię, gdyby nie był pewien, że sprawdzisz się w trudnych warunkach.

- Mam nadzieję - powiedziała cicho, jej głos w dalszym ciągu brzmiał niezbyt pewnie.

I po raz pierwszy wyczułem, że pod tą nieskazitelną fasadą migoczą tu i ówdzie malutkie świetliki wątpliwości. Przyjemna była świadomość, że ona też jest człowiekiem.

Gdy wyszliśmy z bistro, zobaczyłem Nina opartego o parkometr i „czytającego” gazetę.

- A propos, Silvio, czy on jedzie z nami również do Erytrei?

- Dzięki Bogu, nie. Prawdę mówiąc, taka całkowita samodzielność będzie dla mnie całkiem nowym doświadczeniem.

- Jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie, możesz powiedzieć ojcu, że będę tam nad tobą czuwał.

Odniosłem wrażenie, że naprawdę ucieszyły ją moje słowa. Uśmiechnęła się do mnie, burząc w ten sposób wewnętrzny mur, jaki wzniosłem, żeby się obronić przed zakochaniem się w niej po uszy.

Rozdział 2

Pod koniec drugiego tygodnia kursu w Operze miało miejsce wydarzenie, jakie trafia się raz w życiu. Legendarny sopran, Maria Callas, miała śpiewać po raz ostatni partię Violetty w *Traviacie*. To była okazja, jakiej nie mogłem przepuścić. Nie było to zbyt dojrzałe zachowanie, ale skorzystałem z dziecinnego wybiegu „paluszek i główka” i wyszedłem wcześniej z seminarium, by stanąć w kolejce po ewentualne wejściówki.

Nie trzeba wspominać, że nie byłem jedyną osobą w Paryżu i okolicy, która chciała zobaczyć Callas. Przede mną kłębił się tłum ludzi, którzy zapelniliby chyba każdy wolny skrawek miejsca w teatrze. Pomyślałem sobie jednak, że wiodłem obyczajne życie i jeśli moja cnota miałaby być kiedykolwiek nagrodzona, to jest to właściwy czas.

Moje ciche modlitwy zostały wysłuchane. Około wpół do siódmej, gdy kolejka posunęła się zaledwie o dwadzieścia osób i sprawy wyglądały coraz bardziej ponuro, usłyszałem, że woła mnie kobiecy głos.

- Matthew, myślałam, że źle się czujesz.

Schwytany na gorącym uczynku! Odwróciwszy się, zobaczyłem, że to nie kto inny, lecz Signorina Doskonałość.

Zrezygnowała z surowej codziennej fryzury, pozwalając, by loki opadły swobodną falą na ramiona. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, odsłaniającą nogi, w przeciwieństwie do dżinsów, które zwykle nosiła. Krótko mówiąc, była oszalamiająca.

- Czuję się świetnie - wyjaśniłem - ale po prostu musiałem zobaczyć Callas. Tak czy owak, zostałem ukarany za to małe oszustwo, ponieważ chyba mi się to nie uda.

- Wobec tego przyłącz się do mnie. Firma mojego ojca ma tutaj lożę, która dzisiaj jest do mojej dyspozycji.

- Uczyniłbym to z wielką radością, ale czy nie sądzisz, że jestem dla ciebie zbyt wystrójony? - odpowiedziałem, pokazując na moją wystrzępioną dżinsową koszulę i sztrukturalne spodnie.

- Nie występujesz na scenie, Matthew. Tylko ja będę cię oglądać. Chodź, bo w przeciwnym razie stracimy uwerturę.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez tłum patrzących na mnie wilkiem rywali bez biletów po wspaniałych marmurowych schodach do zapierającego dech, wysoko

sklepionego foyer, którego ściany i sufit stanowiły kompozycję czerwonego, niebieskiego, białego i zielonego marmuru.

Tak jak się obawiałem, byłem jedynym mężczyzną nie ubranym w smoking lub frak. Pocięczałem się jednak, że jestem niewidzialny. Kto zwróciłby na mnie uwagę, gdy miałem u boku Wenus z Mediolanu?

Młody bileter w uniformie podprowadził nas cichym korytarzem do drewnianych drzwi, za którymi znajdowała się wyłożona karmazynowym aksamitem łoża. Patrzyliśmy z góry na kanion wytwornych plebejuszy i wysoki łuk proscenium. Pośrodku, z obramowanego złotem plafonu pędzla Chagalla, przedstawiającego najsłynniejsze tematy opery i baletu (dominowali zdecydowanie kochankowie), zwieszał się bajeczny żyrandol.

Gdy orkiestra pod nami stroiła instrumenty, czułem się dosłownie jak w niebie. Usiedliśmy w fotelach w pierwszym rzędzie, gdzie czekało na nas pół butelki szampana. Przywołując na pamięć lata doświadczeń pracy w charakterze kelnera, napełniłem kieliszki, nie roniąc nawet kropelki, po czym wzniosłem odpowiedni toast.

- Za zdrowie mojej gospodyni... - powiedziałem, dodając po chwili: - „Fabbrica Milanese Automobili” oraz wszystkich osób najbliższych oraz najdroższych jej kierownictwu.

Silvia roześmiała się z uznaniem.

Gdy światła zaczęły przygasać, niedźwiedziowaty Nino (również w smokingu) wślizgnął się do łoży i usiadł dyskretnie z tyłu. Mimo że jak zwykle na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga, byłem ciekaw, czy również z niecierpliwością czeka na muzykę.

- Czy znasz dobrze *Traviatę*? - spytała Silvia.

- *Mezzo mezzo* - odpowiedziałem skromnie. - W college'u napisałem referat na jej temat. A wczoraj po zajęciach prawie przez godzinę grałem nieśmiertelne przeboje.

- Gdzie znalazłeś fortepian?

- Gdy robiłem zakupy w „La Voix de Son Maitre”, wziąłem nuty z półki i zacząłem brzdąkać na jednym ze steinwayów. Na szczęście nie wyrzucili mnie.

- Żałuję, że mnie tam nie było. Mogłeś mnie zabrać ze sobą.

- Sam nie miałem pojęcia, że trafię do tego sklepu. Ale przecież jeśli naprawdę będziesz miała ochotę, możemy pójść tam jutro. Kierownik powiedział mi, że wstęp mam zawsze otwarty.

- Trzymam cię za słowo, Matthew. - Uniosła kieliszek, jak gdyby dziękując mi z góry. Jej uśmiech lśnił nawet w półmroku.

Słowa śpiewane przez chór: „*Libiamo ne' lieti calici*” („Pijmy, ach, pijmy za zdrowie miłości”) idealnie odzwierciedlały stan mojego ducha. I nawet mimo oczarowania magiczną obecnością Callas, nieustannie rzucałem ukradkowe spojrzenia na Silvię, której idealny profil mogłem teraz spokojnie podziwiać.

W pół godziny później heroina stała sama na scenie i śpiewała: „*Ah fors' è lui*” („Ach, to chyba on”), przyznając, że choć miała wiele romansów, po raz pierwszy w życiu naprawdę pokochała właśnie Alfreda.

Callas była w najwyższej formie i przekonywała za pomocą swej wyjątkowej siły ekspresji o głębi uczucia Violetty. Gdy Silvia odwróciła się ku mnie na sekundę, by dzielić ze mną to artystyczne wzruszenie, ośmieliłem się snuć domysły, czy ona sama przeżyła kiedykolwiek taką miłość... a jeśli tak, to z kim.

Gdy po pierwszym akcie kurtyna opadła i rozległy się entuzjastyczne brawa, w loży pojawił się lokaj z kanapkami i szampanem. Będąc gościem, czułem się w obowiązku prowadzić intelektualną rozmowę, toteż uczyniłem dość wnikliwą uwagę.

- Czy zauważyłaś, że w całym pierwszym akcie nie było najmniejszej przerwy w muzyce, żadnego recytatywu, nawet prawdziwej arii aż do *fors' è lui*?

- Nie zwróciłam na to w ogóle uwagi.

- I to cała sztuczka. Verdi był szatańsko sprytny.

- Jak mój dzisiejszy towarzysz.

Światła znowu przygasły i tragedia zaczęła się rozwijać.

W kilka minut później ogłuszającym akordem rozbrzmiały instrumenty dęte, gdy Violetta zdała sobie sprawę, że czeka ją zguba: „Och, Boże mój, umierać tak młodo”. Wreszcie Callas zemdląca, po czym ocknęła się znów jedynie po to, by zaśpiewać niewiarygodnie wysokie „b”... i natychmiast umrzeć z wysiłku.

Ludzie byli tak zachwyceni, że niemal bali się ruszyć, by czar nie prysnął. Później, gdy pierwsze nieśmiałe oklaski przerodziły się w pełną uwielbienia owację, poczułem nagle dłoń Silvii w mojej dłoni. Spojrzałem na nią. Łzy spływały jej po policzkach.

- Przepraszam, Matthew. Wiem, że zachowuję się głupio. - Chwila była wzruszająca, przeprosiny zbędne. Sam czułem podejrzaną wilgoć w oczach.

Przykryłem drugą dłonią jej dłoń. Silvia nie poruszyła się i trwaliśmy tak, dopóki kurtyna nie opadła po raz ostatni.

Według moich obliczeń, diwa kłaniała się czternaście razy, gdy jej zagorzali entuzjaści wstali, by oddać jej cześć. Klaskałem z egoistycznych pobudek. Dopóki kwietne i słowne bukiety frunęły na scenę, znajdowałem się z Silvią sam w tej oazie czasu.

Gdy wreszcie wyszliśmy z teatru, Nino czekał, nie rzucając się w oczy.

- Przejdziemy się? - spytała Silvia, biorąc mnie pod rękę.

- Bardzo chętnie.

Dała dyskretny znak swojemu opiekunowi i wyruszyliśmy na nocny spacer ulicami Paryża. Co jakiś czas mijaliśmy jasno oświetlone restauracyjki na świeżym powietrzu, pełne teatromanów jedzących kolację i wznoszących toasty „za zdrowie miłości”. Oboje byliśmy pod wrażeniem kunsztu Callas.

- Wiesz, to nie tylko kwestia jej głosu - zauważyła Silvia. - Ona potrafi tchnąć prawdziwe życie w odtwarzaną postać.

- Tak, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że pierwsza odtwórczyni tej roli ważyła prawie sto pięćdziesiąt kilo.

Nie żartuję. Podczas sceny jej śmierci widzowie również umierali... ze śmiechu. Tymczasem nawet mimo jej wieku, Callas odbiera się jak kruchą młodą kobietę, a nie damskiego zapaśnika sumo.

Perlisty śmiech uznania.

Gdy pokonaliśmy całą rue St. Honore, zaproponowałem jej, że zatrzymam taksówkę... albo przywołam Nina, który dyskretnie jechał za nami peugeotem (a nie samochodem wyprodukowanym przez FAM-ę!) z szybkością trzech kilometrów na godzinę. Jednakże Silvia, wciąż tryskając energią, uparła się, żeby resztę drogi przebyć piechotą.

Zanim przeszliśmy Pont Neuf na drugą stronę Sekwany, usiedliśmy dla złapania oddechu na pobliskiej ławce. Z tego punktu widokowego miasto przypominało ziemską galaktykę rozciągającą się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Gdy tak siedzieliśmy zupełnie sami, biłem się z myślami, czy zwierzyć się Silvii z moich pogmatwanych uczuć. Czy znamy się już na tyle dobrze? Nie byłem pewien. Postanowiłem jednak zaryzykować.

- Silvio, czy Traviata zawsze wywołuje u ciebie łzy?

Skinęła twierdząco głową.

- Włosi są chyba sentymentalni.

- Amerykanie również. Odkryłem jednak, że przenoszę smutek, który oglądam na scenie, na wydarzenia z mojego własnego życia. Jest to rodzaj poważanego społecznie pretekstu, by wspominać dawne zgryzoty.

Oczy Silvii powiedziały mi, że w pełni mnie rozumie.

- Wiesz o mojej matce?

- Tak.

- Dzisiaj... kiedy na scenie... lekarz oświadczył, że Violetta nie żyje, nie potrafiłam się oprzeć, by nie wrócić pamięcią do tamtej chwili, gdy ojciec powiedział mi dokładnie to samo o matce. Nie potrzebuję jednak artystycznego pretekstu, by ją opłakiwać. Nadal straszliwie za nią tęsknię.

- A twój ojciec? Jak sobie z tym poradził?

- Właściwie wcale sobie nie poradził. Minęło już piętnaście lat, a on wciąż przypomina tonącego. Czasami rozmawiamy o tym, ale przeważnie jest pogrążony w pracy.

Spędza cały czas w swoim biurze, z dala od ludzi.

- Nawet od ciebie?

- Chyba zwłaszcza ode mnie.

Zastanawiałem się, czy temat nie staje się dla niej zbyt trudny. Ona jednak chętnie go podtrzymała.

- Jako bardzo mała wówczas dziewczynka nie potrafiłam w pełni ocenić, kim mama była... Pierwszą kobietą redaktorem naczelnym „La Mattina”, zaangażowaną w reformy społeczne, bardzo odważną. Trudno jej dorównać. Ale chciałabym myśleć, że byłaby zadowolona z tego, kim jestem... a przynajmniej, kim staram się zostać.

Nie wiedziałem, czy odpowiedzieć oklepanymi uprzejmymi frazesami, czy też wyjawić to, co naprawdę myślę... że nieżyjący rodzice trwają wyłącznie w psychice ich dzieci.

Westchnęła i wpatrzyła się w wodę. Jej smutek był niemal namacalny.

- Przepraszam - powiedziałem po chwili. - Pewnie nie powinienem był trącać tej struny.

- Nie, nie, w porządku. Jakaś część mnie wciąż odczuwa potrzebę mówienia o tym... o niej. A nowy przyjaciel stwarza odpowiedni kamuflaż.

- Mam nadzieję - powiedziałem cicho. - To znaczy, mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Jej pierwszą reakcją było płochliwe zawstydzenie, po czym odrzekła:

- Jasne. Myślę, że już nimi jesteśmy.

Jej ton nagle się zmienił. Zerknęła na zegarek i wstała pośpiesznie.

- Boże, czy wiesz, która jest godzina? A przecież mamy jeszcze przeczytać dwa artykuły na jutrzejsze zajęcia.

- Jakie?

- O tyfusie - odpowiedziała, gdy ruszyliśmy szybkim krokiem.

- Ach, tak. Proszę mi pozwolić przypomnieć, pani doktor, że pod tą nazwą kryje się kilka jednostek chorobowych...

- Tak - pośpieszyła natychmiast z odpowiedzią - tyfus brzuszny, tyfus plamisty, tyfus powrotny...

- Bardzo dobrze - powiedziałem. Być może nieumyślnie zabrzmiało to protekcyjnie.

- Daj spokój, Matthew, najwyraźniej z trudem przychodzi ci uwierzyć, że skończyłam akademię medyczną.

- Masz rację - przyznałem żartobliwie. - Mam z tym cholerny kłopot.

Praktycznie u progu dnia Silvia odwróciła się ku mnie z uśmiechem.

- Dziękuję ci za uroczy wieczór.

- Zaraz, zaraz, to przecież moja kwestia.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia, kiedy to powinniśmy - konwencjonalnie - powiedzieć sobie dobranoc i rozstać się. Tymczasem Silvia zauważyła nieśmiało:

- Widziałam, że ty również byłeś poruszony przedstawieniem. Sądząc po tym, co powiedziałeś mi dziś wieczorem, ty też chyba...

- Tak - przerwałem jej. Nawet tych kilka słów sprawiało mi ból. - To był mój ojciec. Kiedyś ci o tym opowiem.

Ucałowałem ją lekko w oba policzki i wróciłem do zacisza moich marzeń.

Rozdział 3

Kochałem mojego ojca, ale się go wstydzilem. Od kiedy sięgam pamięcią, żył na emocjonalnej huśtawce. Raz znajdował się „na szczycie świata”... raz ten świat go kompletnie przygniatał.

Innymi słowy, albo był pijany w sztok, albo rozpaczliwie trzeźwy.

Niestety, niezależnie od swego stanu, był równie niedostępny dla własnych dzieci. Nie mogłem znieść jego towarzystwa. Nie ma nic straszniejszego dla dziecka niż ojciec, który traci nad sobą kontrolę. A Henry Hiller popadł tu w absolutną skrajność - skacząc bez spadochronu w ucieczce od odpowiedzialności.

Był docentem w Cutler Junior College w Dearborn, w stanie Michigan. Wykładał literaturę. Myślę, że jego główny życiowy cel stanowiła samozagłada i był w tym chyba bardzo dobry. Tak dobry, że pozwolił nawet, by na wydziale dowiedziano się o jego problemie alkoholowym na kilka miesięcy przed ewentualnym uzyskaniem stałego etatu.

Oboje z mamą próbowali wytłumaczyć mnie i mojemu młodszemu bratu Chazowi, że tata pragnie się całkowicie skoncentrować na pisaniu. Ojciec ujął to w ten sposób:

- Wielu ludzi marzy o tym, żeby napisać tę wielką książkę, która jest w każdym z nas. Trzeba jednak prawdziwej odwagi, by podjąć życiową decyzję i skoczyć głową w dół bez ochronnej siatki stałej pracy.

Moja matka natomiast nie zwołała konferencji rodzinnej, by oznajmić, że odtąd będzie zajmować się domem i jednocześnie zarabiać na życie.

Ponieważ jej mąż „pracował” do późna w nocy, wstawała rano, przygotowywała dla nas śniadanie i pakowała lunch, odwoziła nas do szkoły, a następnie szła do szpitala, w którym pracowała niegdyś jako przełożona pielęgniarek na oddziale chirurgicznym. Teraz jednak, ze względu na nawał obowiązków, sama zdecydowała się pomagać wymiennie na różnych oddziałach, które akurat cierpiały na brak rąk do pracy.

Było to świadectwo jej wszechstronności... i wytrzymałości. W zamian za wolny czas po południu - kiedy to odbierała nas ze szkoły i odwoziła do przyjaciół, do dentysty, a mnie na niezwykle ważne lekcje gry na fortepianie - musiała później wracać do szpitala i przepracować tam kilka godzin wieczorem. Niestety, nie liczyły się jako godziny nadliczbowe.

Gdy tak troszczyła się o nas wszystkich - kto, u diabła, troszczył się o nią? Była stale zmęczona, pod oczami miała sine kręgi.

Staralem się dorosnąć jak najszybciej, żeby przejąć choć część ciężącego na niej brzemienia. Początkowo Chaz był zbyt mały, by rozumieć, co się dzieje. A ja robiłem, co mogłem, by chronić niewinność mego brata. Co w praktyce sprowadzało się do minimalizowania jego kontaktów z ojcem.

Gdy miałem dziesięć lat, zaproponowałem mamie, że przerwę naukę i poszukam pracy, żeby ulżyć jej trochę w obowiązkach. Roześmiała się, autentycznie rozbawiona, ale i wzruszona. Wyjaśniła mi jednak, że prawo wymaga, by dzieci uczyły się przynajmniej do ukończenia szesnastu lat. Poza tym miała nadzieję, że pójdę do college'u.

- Może więc nauczysz mnie przynajmniej gotować obiady? Pomógłbym ci wówczas chociaż odrobinę, co ty na to?

Pochyliła się i uścisnęła mnie mocno.

W niecały rok później dostałem tę pracę.

- Gratulacje dla szefa kuchni - powiedział wesóło ojciec po mojej dziewiczej próbie.

Przyprawiło mnie to o gęsią skórkę.

Ilekoć ojciec miał „dobry humor” w porze obiadu, wypytywał szczegółowo mnie i Chaza o sprawy szkolne i życie towarzyskie. Obu aż nas skręcało, wpadłem więc na pomysł, by użyć jego własnej broni i zachęcić go do opowiadania, co napisał w ciągu dnia. Albowiem jeśli nawet nie przelał jeszcze słów na papier, zmuszało go to do rozważenia tematu - „Pojęcie bohatera” - i przedstawienia pomysłów godnych wysłuchania.

Istotnie, w wiele lat później w college'u dostałem piątkę za referat porównujący Achillesa i króla Leara. Praktycznie biorąc, była to dokładna kopia jednego z bardziej inspirujących wieczornych wykładów ojca.

Cieszę się, że potrafiłem dostrzec, jak porywającym musiał być nauczycielem, a później zacząłem rozumieć jego pokrętne wycofanie się z życia. Jednakże, będąc tak zwanym ekspertem w literaturze światowej, był do tego stopnia onieśmielony wielkością

klasyki, że ostatecznie prawie porzucił nadzieję stworzenia czegoś wartościowego. Co za strata.

*

Nawet jako mały chłopiec mój brat zdawał sobie sprawę z nieszablonowego charakteru naszej rodziny.

- Czemu nasz tata nie chodzi do biura tak jak inni ojcowie?

- Ma biuro w głowie. Nie rozumiesz tego?

- Nie bardzo - przyznał. - To znaczy, czy jego mózg płaci mu jakąś pensję?

Ten dzieciak działał mi na nerwy.

- Zamknij się i idź odrabiać lekcje albo obierz trochę ziemniaków.

- Jakim prawem mi rozkazujesz? - spytał z rozżaleniem.

- Chyba po prostu mi się poszczęściło. - Nie miało sensu roztrząsać z nim mego poczucia winy, że został obarczony mną jako namiastką ojca.

Gdy obiad gotował się na wolnym ogniu, a raczej - żeby być bardziej zgodnym z prawdą - rozmrażał się, wykorzystywałem wolne pół godziny na grę na fortepianie. Była to moja przyjemna ucieczka.

Żałuję, że nie miałem w tamtych latach czasu na sport, brakowało mi bowiem niekiedy towarzystwa spoconych kumpli, typowej młodzieży w Dearborn. Jednakże będąc już w szkole średniej, zyskałem pewną rekompensatę, a mianowicie - jako że grałem na wszystkich spotkaniach byłem chyba jedynym chłopakiem, który mógł współzawodniczyć ze sportowcami o względy najładniejszych dziewczyn.

Albowiem fortepian był fortecą nie do zdobycia, którą rządziłem jako najwyższy i samotny monarcha, źródłem nieopisanej - niemal fizycznej - rozkoszy.

W naszym domu obiad trwał zwykle krótko - jak długo bowiem można jeść makaron z serem? Tata dematerializował się przy ostatniej łyżce, rzucając kilka słów pochwały dla menu, a jego synowie sprząkali kuchnię.

Gdy już umyliśmy z Chazem naczynia, siadaliśmy przy stole i pomagałem mu w matematyce.

Miał problemy w szkole, najwyraźniej był niesforny i roztrzepany. Jego nauczyciel, pan Porter, napisał już jeden list do domu, który wpadł w ręce taty. Jego treść wprawiała go w straszliwą wściekłość. Postanowił załatwić sprawę osobiście.

- O co tu chodzi, Chaz?

- O nic, o nic - zarzekał się mój brat. - Ten facet po prostu uwziął się na mnie i koniec.

- Ach - powiedział na to ojciec. - Tak myślałem - Jakiś arogancki filister. Będę musiał wybrać się do niego i wyjaśnić sprawę.

Rozpaczliwie próbowałem odwieść go od tego zamiaru.

- Nie, tato, nie możesz tego zrobić.

- Słucham, Matthew? - spytał ostrym tonem, unosząc brew. - Nadal jestem głową rodziny. Właściwie myślę, że odwiedzę tego pana Portera jutro.

Naprawdę zmartwiony powiedziałem o wszystkim mamie, gdy wróciła późnym wieczorem ze szpitala.

- O Boże! - jęknęła, wyraźnie u kresu wytrzymałości. - Nie możemy mu na to pozwolić.

- W jaki sposób go powstrzymasz?

Nie odpowiedziała. Ale tego samego wieczora, dużo później, Chaz zjawił się w piżamie w moim pokoju, gdy się uczyłem. Przyłożył palec do ust, nakazując mi ciszę, i poprowadził za sobą na podest schodów.

Staliśmy tam w ciemności niczym dwaj rozbitkowie na tratwie i słuchaliśmy ostrej sprzeczki rodziców.

- Na miłość boską - mówiła gniewnie mama. - Nie pogarszaj jeszcze sytuacji.

- Do diabła, jestem jego ojcem. Ten prostak się go czepia i nie mam zamiaru na to pozwolić.

- Nie jestem całkiem pewna, czy sprawa wygląda dokładnie tak, jak ją opisał Chaz. W każdym razie, pozwól, że ja to załatwię.

- Powiedziałem już, że sam się tym zajmę, Joannę.

- Lepiej zostaw to mnie, Henry - odparła mama stanowczo.

- A mogę spytać czemu?

- Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym powiedziała ci to bez ogródek.

Zapadła nagle cisza, po czym usłyszałem całkowicie zmieniony, zatroskany głos ojca.

Wyglądasz na zmęczoną, Joannę. Usiądź i pozwól, że przygotuję ci coś do picia.

- Nie!

- Miałem na myśli kakao. Do diabła, przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Nie, Henry - odrzekła z goryczą, która w końcu przelała się przez tamę jej wielkiego oddania dla nas. - Niestety, możesz zrobić tylko tyle.

W samotności, która przenikała każdy zakątek naszego domu, ledwie dostrzegalem twarz mojego braciszka, który wznosił ją ku mnie, szukając pocieszenia.

Tym razem nie potrafiłem znaleźć słów otuchy.

Rozdział 4

Nazajutrz oboje z Silvią nie potrafiliśmy powstrzymać ziewania. François próbował przez cały ranek przyłapać moje spojrzenie, ale zręcznie unikałem jego wzroku. Niech sobie wyciąga wnioski, jakie mu się żywnie podoba.

Jeśli idzie o doktor Dalessandro, to wróciła do swego stylu nauczycielki, nie dając nic po sobie poznać.

Wydawało mi się, że posłała mi ukradkowy uśmiech, ale mogły to być jedynie moje pobożne życzenia. Nie mogłem się doczekać, by z nią porozmawiać.

Na temat tyfusu miał u nas gościnnie wykład profesor Jean-Michel Gottlieb ze słynnego szpitala La Salpetriere, specjalizujący się w „epidemiach minionych stuleci” - to znaczy tych, które ludzie uważają za dawno wyeliminowane z powierzchni Ziemi. Na przykład ospa czy dżuma. Albo trąd, na który nadal chorują miliony ludzi w Afryce i Indiach.

Przypomniał nam poza tym delikatnie, że podczas gdy my gwarzymy sobie spokojnie w Paryżu, na świecie więcej jest przypadków gruźlicy niż kiedykolwiek w historii ludzkości.

Gdybym miał najmniejsze choćby wątpliwości co do mojej decyzji wstąpienia do Médecine Internationale, to Gottlieb był żywym, wymownym potwierdzeniem, że postąpiłem słusznie. Uważałem się za prawdziwego lekarza, ale nigdy w życiu nie miałem do czynienia z przypadkiem ospy. Nawet kompletnie pozbawieni środków do życia pacjenci, którymi zajmowała się opieka społeczna w Ameryce, byli zaszczepieni. I, z wyjątkiem maleństwa nielegalnych uchodźców z Gwatemali, nigdy nie spotkałem się również z przypadkiem choroby Heine-Medina.

Deklaracja praw może przyjmować za rzecz oczywistą, że wszyscy ludzie rodzą się równi. Ale tragiczna ogólnoświatowa prawda jest taka, że poza krajami uprzemysłowionymi, ogromnej liczbie najbiedniejszych ludzi na naszej planecie odmawia się podstawowego ludzkiego prawa do zdrowia.

Myślę, że właśnie perspektywa wykorzystania umiejętności w kraju Trzeciego Świata była powodem mojej dumy. Będziemy nie tylko leczyć ludzi, którzy poprzednio umierali z powodu braku opieki medycznej, lecz również ofiarujemy im cud medycyny

zapobiegawczej w postaci szczepionek wynalezionych przez takich naukowców jak Edward Jenner i Jonas Salk w wieku, który jeszcze do Trzeciego Świata nie dotarł.

Podczas naszej bardzo krótkiej przerwy na lunch nie przyłączyliśmy się z Silvią do grona nadgorliwców, którzy tłoczyli się wokół Gottlieba, wyciskając z niego soki do ostatniej kropli.

- Podobał ci się wykład? - spytałem.

- Bardzo - uśmiechnęła się. - Na szczęście spędziłam wczorajszy wieczór z młodym lekarzem, który zna wszystkie najnowsze opracowania na temat tyfusu.

Miałem właśnie zamiar spytać ją o plany na dzisiejszy wieczór, gdy François uderzył swoją wskazówką o podłogę i polecił nam wracać natychmiast do pracy.

Musiałem zatem wytrzymać całe popołudnie, poznając egzotyczne zarazki, zanim dowiem się, co mnie czeka.

Dokładnie o siedemnastej profesor Gottlieb zakończył swoją prezentację i życzył nam wszystkim wiele szczęścia.

Gdy porządkowałem chaos zrobionych tego dnia notatek, podeszła do mnie Silvia, oparła od niechcenia dłoń na moim ramieniu i spytała:

- Czy zagrasz dla mnie dziś wieczorem? Obiecuję, że potem będziemy się uczyć.

- Pod jednym warunkiem - zastrzegłem. - Że przed nauką zabiorę cię na kolację.

- To nie warunek, lecz przyjemność. Gdzie się spotkamy?

- W holu hotelowym, o siódmej wieczorem.

- Świetnie. Jak mam się ubrać?

- Bardzo ładnie - odpowiedziałem. - Do zobaczenia. Pomachała mi na pożegnanie i ruszyła pośród orszaku wielbicieli w kierunku hotelu.

Gdy ją zobaczyłem tego wieczora, nie od razu zorientowałem się, co zmieniła w swoim stroju. Po bliższej obserwacji zauważyłem, że miała na sobie czarne dżinsy zamiast niebieskich, a bluza nie nosiła nadruku żadnej firmy i była chyba nieco bardziej dopasowana. Jak na zwyczaję Silvii, można uznać, że była obwieszona biżuterią, a mianowicie miała na szyi skromny naszyjnik z pereł.

Moja typowa elegancja została wzbogacona o jasnoniebieski sweter, który kupiłem po południu w Galleries Lafayette.

Silvia pocałowała mnie w oba policzki i natychmiast spytała, czy pamiętałem o naszej pracy domowej. Pokazałem na plecak, mówiąc, że nie zawiera brudnej bielizny do prania.

Gdy wyszliśmy za drzwi, zauważyła rzeczowo:

- Zarezerwowałam hotel „Lutetia”.

- Przepraszam - powiedziałem, zaznaczając moją niezależność. - Ja zarezerwowałem „Le Petit Zinc”. Mówiłem ci, że to moja...

- Wszystko w porządku, Matthew, nie ma konfliktu interesów. Zarezerwowałam hotel tylko na twój koncert.

Co takiego? Najelegantszy adres w całej dzielnicy? Nie wiedziałem, czy mam czuć się pochlebiony, czy się rozżłościć.

Postanowiłem mimo to wstrzymać się z osądem i wziąłem ją za rękę, gdy szliśmy w kierunku Boulevard Raspail.

Gdy jednak znaleźliśmy się w okazałym holu, poczułem się naprawdę nieswojo. A już kompletnie straciłem kontenans, gdy wszedłem do ogromnej, wysoko sklepionej sali balowej o lustrzanych ścianach, ze wspaniałym, otwartym fortepianem w drugim końcu.

- Czy wynajęłaś również publiczność? - spytałem tylko półzartem.

- Nie wygłupiaj się. Hotelu też nie „wynajęłam”.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wkraczamy na cudzy grunt?

- Nie. Po prostu zadzwoniłam i bardzo miło poprosiłam dyrektora hotelu o pozwolenie. Gdy usłyszał, kim jesteś, zgodził się natychmiast.

- A kim jestem?

- Zapalonym pianistą z Médecine Internationale, który ma wyjechać za granicę, gdzie od najbliższego fortepianu będą go dzielić tysiące kilometrów. Ogromnie zaimponowało mu twoje poświęcenie.

Mój nastrój zmienił się diametralnie. Poczuję się autentycznie zaszczycony. Nagle ogarnęło mnie przemożne pragnienie, by wycisnąć wszystkie soki z fortepianu.

Na pobliskim stoliku stała taca z butelką białego wina oraz dwa kieliszki.

- Ty? - spytałem.

Pokręciła przecząco głową i powiedziała:

- Tam leży wizytówka.

Otworzyłem kopertę i przeczytałem:

Droży doktorzy!

Czerpcie przyjemność z Waszego muzycznego wieczoru i wiedźcie, że ludzie na całym świecie podziwiają „harmonię”, którą ofiarujecie jego mniej szczęśliwym mieszkańcom.

Bon voyage d vous deux.

Louis Bergeron

Dyrektor

- Co mu powiedziałaś, Silvio? Że jestem Albertem Schweitzerem?

Roześmiała się.

- Dlaczego uważasz, że nim nie jesteś?

- Wkrótce się dowiesz.

Usiadłem przy fortepianie i przebiegłem palcami po klawiszach. Odniosłem wrażenie, że doskonale służą swemu celowi.

- No, no - zauważyłem z przyjemnością. - Jest dobrze nastrojony.

Gdy moja jedyna publiczność w osobie Silvii usadowiła się wygodnie w fotelu obok, zacząłem od Preludium nr 21 b-moll Bacha - zwodniczo łatwego utworu. Doskonały sposób na rozgrzanie się bez ryzyka spartaczenia. Przez cały czas, z wyjątkiem czterech taktów, pianista nie musi uderzać akordów, tylko każdą ręką wykonuje pojedyncze głosy melodyczne, tak jednak, by zachować charakter utworu.

W pierwszej chwili, gdy położyłem dłonie na klawiszach, poczułem, że przeszywa mnie dreszcz. Nie grałem na fortepianie od prawie trzech tygodni i doznawałem niemal zmysłowego pragnienia, by ponownie zjednoczyć się z instrumentem. Nie zdawałem sobie sprawy, na ile był on częścią mnie samego.

Im dłużej grałem, tym mniej odczuwałem swoją fizyczną obecność, tym bardziej stawałem się częścią muzyki.

Nie obmyśliłem z góry programu. Pozwoliłem po prostu, żeby moja dusza kierowała moimi dłońmi. I w tej chwili miałem uczucie, że odkrywam Sonatę c-moll KV 457 Mozarta. W nastroju allegro molto zaatakowałem oktawy, które doskonale pokreślały tonalność utworu.

Byłem tak hipnotycznie skupiony na muzyce, że zapomniałem o obecności Silvii. Stopniowo przestawałem być wykonawcą - miałem wrażenie, że słucham gry kogoś innego.

Ten utwór można łatwo pomylić z dziełami Beethovena - jest taki potężny, wymowny, naznaczony nieziemskim cierpieniem.

Gdy dotarłem do połowy majestatycznego utworu, gra pochłonęła mnie całkowicie, unosiłem się na falach muzyki niczym statek kosmiczny wśród gwiazd.

Nieświadom upływu czasu, powoli wracałem do przytomności, zaczynałem dostrzegać otoczenie. Odzyskałem panowanie nad muzyką i ostatnie nuty zagrałem już z kontrolowaną pasją. Głowa mi opadła, byłem kompletnie wyczerpany emocjonalnie.

Nie miałem pojęcia, jak Silvia, ale ja czułem się cudownie.

Nie odezwała się ani słowem, tylko podeszła, ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie w czoło.

W kilka minut później szliśmy w kierunku restauracji. Na Boulevard St. Michel było teraz ciemno, z kafejek i bistr dobiegał śmiech, najbardziej ludzki rodzaj muzyki. Do tej pory Silvia nie zrobiła najmniejszej uwagi na temat mojego koncertu.

Wybraliśmy sobie dania z wystawionych na dole frutti di mare, po czym udaliśmy się na górę, gdzie kelner otworzył dla nas butelkę czerwonego wina. Silvia ujęła kieliszek w palce, nie piła jednak. Wydawała się pochłonięta własnymi myślami. Wreszcie przemówiła niepewnie:

- Matthew, zupełnie nie potrafię tego wyrazić, ale pochodzę ze świata, w którym wszystko można kupić. - Umilkła, po czym dodała z żarem: - Z wyjątkiem tego, co właśnie zrobiłeś.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Grałeś jak anioł. Możesz występować profesjonalnie.

- Nie - zaprzeczyłem. - Jestem amatorem w najściślejszym znaczeniu tego słowa.

- Ale mógłbyś być profesjonalistą.

- Może tak, może nie - wzruszyłem ramionami. - Rzecz jednak w tym, że nie możesz grać Bacha dziecku choremu na gruźlicę, dopóki go nie wyleczysz. Myślę, że dlatego właśnie jedziemy do Erytrei, prawda?

- Oczywiście - powiedziała z lekkim wahaniem. - Po prostu myślałam... to znaczy... masz chyba znacznie więcej możliwości...

Nagle zrozumiałem, że martwią ją własne ambiwalentne uczucia w odniesieniu do tego doniosłego życiowego kroku, który zamierzała uczynić. To chyba zrozumiała. Wyjeżdżała bowiem do jednego z niewielu miejsc na Ziemi, gdzie produkty FAM-y są kompletnie nie znane.

Była jedenasta, gdy usiedliśmy wreszcie przy stoliku w „Cafe de Florę”. Zamówiliśmy kawę i zaczęliśmy przedzierać się przez epidemie, które mieliśmy przerabiać na jutrzejszych zajęciach.

Tak jak należało się spodziewać, François, który zawsze zajmował boks w odległym kącie, podszedł, by zobaczyć, co robimy.

Rzucił okiem na leżące przed nami materiały naukowe, po czym rzekł do mnie z żartobliwą pogardą:

- Naprawdę mnie rozczarowałaś, Matthew.

- O co ci chodzi?

- Po prostu, gdybym wypuścił się gdzieś ze stworzeniem tak ślicznym, jak La Dalessandro, nie traciłbym czasu na studiowanie epidemiologii.

- Spływaj, François - odpowiedziała Silvia z udawanym rozdrażnieniem.

I François wycofał się posłusznie.

Przebrnięcie przez skomplikowany materiał na następny dzień, zawierający masę statystyki, zajęło nam prawie dwie godziny.

Wreszcie Silvia stwierdziła, że jesteśmy już przygotowani.

- Może przestawimy się na kawę bezkofeinową i strzelimy sobie filiżankę przed snem?

- Jasne, czemu nie? Zwłaszcza że teraz ty stawiasz.

To był długi wieczór, radosny, lecz wyczerpujący. Z niecierpliwością wyczekiwałem chwili, gdy przytulę głowę do poduszki.

- Właśnie przyszło mi coś do głowy - powiedziała Silvia, gdy zbieraliśmy swoje rzeczy. - Dyrektor naszej japońskiej filii przysłał niedawno ojcu nowy minimagnetofon. Mógłbyś nagrać kilka kaset, które zabralibyśmy ze sobą i słuchali w Asmarze.

- Mam lepszy pomysł - zaproponowałem. - Skoro nie będziemy mieli co robić z pieniędzmi, może kupimy jakichś prawdziwych artystów, na przykład Aszkenazego lub Daniela Barenboima?

- Wolę ciebie - rzekła Silvia z uporem.

- Spróbuj zerwać z nałogiem - poradziłem jej.

Wyszliśmy z kawiarni i ruszyliśmy wolnym krokiem do hotelu.

- Kiedy zacząłeś traktować to jako rzecz dla ciebie pierwszorzędną? - spytała. - Chodzi mi o grę na fortepianie.

- Chcesz usłyszeć wersję długą czy skróconą?

- Nie śpieszy mi się. Pokażę ci, gdzie mieści się piekarnia, przy okazji kupimy sobie świeże bagietki na śniadanie - powiedziała z uśmiechem.

Gdy byłem dzieckiem, marzyłem nieustannie o jednym - że ojciec zjawi się w szkole podczas dnia sportu i pokona wszystkich innych ojców w biegu na sto metrów. Rzecz jasna, nigdy się to nie zdarzyło, ponieważ w dniu zawodów był zawsze „chory”.

Czasami jednak przychodził chwiejnym krokiem, ale wówczas siedział z boku jako zamroczony obserwator, pociągając ukradkiem z piersiówki. Nigdy więc nie widziałem, żeby był aktywny fizycznie, aż do tego ranka na szkolnym boisku, gdy dostrzegłem, że wchodzi przez bramę i kieruje się w stronę pana Portera, nauczyciela matematyki mojego brata.

Próbowałem skoncentrować się na grze w koszykówkę, gdy nagle usłyszałem krzyk Tommy'ego Steadmana.

- Kurka wodna, Hiller, twój stary jest fantastyczny!

Poczułem nagły, irracjonalny dreszcz emocji. Nigdy przedtem nie miałem powodów do dumy z mojego ojca. Niestety, ta euforia ulotniła się w mgnieniu oka. Albowiem Tommy zachwyił się prawym sierpowym ojca, który zwałił z nóg pana Portera.

Nim dobiegłem na miejsce starcia, nauczycielowi udało się stanąć na nogach i teraz groził palcem mojemu ojcu.

- Spodziewaj się niedługo wiadomości ode mnie, ty pijany głupcze! - wykrzyknął głośno pan Porter i wbiegł do budynku szkolnego.

Ojciec stał, z trudem łapiąc oddech, na twarzy miał jeden ze swoich triumfujących uśmiechów. Dostrzegł mnie i zawołał:

- Cześć, Matthew! Czy widziałeś, jak załatwiłem tego wstrętnego wielkoluda?

Serce we mnie zamarło. Czulem się straszliwie upokorzony, najchętniej zamieniłbym się w kroplę wody i wsiąkł w ziemię.

- Tato, czemu to zrobiłeś? Mama prosiła cię... - Ugryzłem się w język. - To znaczy, tylko pogorszyłeś sytuację Chaza.

- Przykro mi, synu - zjeżył się - ale nie mogłem pozwolić, żeby ten neandertalczyk prześladował twojego brata.

Myśle, że powinieneś być ze mnie dumny. Daj spokój, zabiorę was obu na lunch.

Nie, tato - powiedziałem cicho. - Mamy jeszcze cztery lekcje. Lepiej idź do domu.

Zorientowałem się, że ojciec nie wyjdzie, jeśli nie przejmę inicjatywy, toteż ująłem go za rękę i podprowadziłem do bramy. Czulem, jak spojrzenia moich kolegów wypalają mi tury w plecach, i nie ośmieliłem się obejrzeć.

Niestety, zobaczyłem ich w chwili, gdy dotarliśmy do bramy. Wszyscy stali i przyglądali się nam w absolutnym milczeniu.

Było to gorsze od szyderstw, które uważałem za nieuniknione. Z drżeniem myślałem o tym, że za chwilę będę musiał wrócić do gromady chichoczących chłopaków.

Ze wzrokiem wbitym w ziemię zacząłem iść z powrotem ku moim rówieśnikom.

- Dobrze się czujesz, Matthew?

Podniosłem wzrok, ze zdumieniem stwierdzając, że pytanie zadał pan Porter. I najwyraźniej wcale nie był na mnie zły.

- Tak, proszę pana. Wszystko w porządku.

- Często jest w takim stanie?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czy powinienem powiększać swój wstyd, przyznając, że ojciec jest notorycznym pijakiem? A może spróbować ocalić choć odrobinę godności?

- Od czasu do czasu - odparłem wymijająco i podszedłem niespiesznie do Tommy'ego Steadmana. - No, gramy dalej?

- Jasne, Hiller. Oczywiście, że gramy.

Jak na ironię, najbardziej w tym przykrym incydencie zabolalo mnie, że moi przyjaciele okazali się tacy mili. Tak okropnie, boleśnie, współczująco mili.

Na szczęście ojciec nie czynił więcej takich donkiszotowskich wypadów do realnego świata. Pozostawał już tylko w domu, „pracując nad książką” i pomstując na niesprawiedliwość losu.

Ja sam też nie byłem szczególnie zachwycony kartami do gry, które dostałem od Życia. Chwile wytchnienia miewałem jedynie wieczorami, gdy Chaz był już „oporzadzony”. Uczynnię dorastał szybko i wkrótce potrafił sam zrobić wszystko koło siebie, po czym wycofywał się do swego pokoju, by się uczyć. Dzięki temu zostawałem sam i mogłem ćwiczyć na pianinie. Ćwiczyłem godzinami, żeby rozładować gniew i wyrobić w sobie dyscyplinę, której brakowało ojcu.

Gdy chodziłem już do szkoły średniej, nie miałem czasu, by siedzieć i słuchać jego chaotycznych teraz wykładów, i wreszcie sprowokował mnie do tego, że posunąłem się zbyt daleko.

Gdy późnym wieczorem pocilem się nad Fantazją-Impromptu Chopina, stanął niezbyt pewnie w drzwiach i powiedział ostro:

- Usiłuję pracować. Musisz grać tak głośno?

Zastanowiłem się przez chwilę, uświadamiając sobie, że Chaz wkuwa na górze i nie narzeka, że mu przeszkadzam głośną grą. Spojrzałem ojcu prosto w oczy i odpowiedziałem szorstko, tracąc panowanie nad sobą, ale nie podnosząc głosu:

- Tak.

Wróciłem do mojej muzyki i zignorowałem go na zawsze.

Milczałem przez chwilę, po czym powiedziałem bezbarwnym głosem:

- Wkrótce potem się zabił.

Silvia chwyciła mnie mocno za ramię.

- Mimo że nigdy nigdzie nie jeździł, trzymał w garażu samochód. Czasami schodził tam, wsiadał do niego i prawdopodobnie wyobrażał sobie, że pędzi szosą w jakimś określonym kierunku. Pewnego dnia, w geście ostatecznego odgradzenia się od świata, podłączył wąż do rury wydechowej...

Spojrzałem na nią. Nie wiedziała, co powiedzieć.

W każdym razie nieczęsto poruszam ten temat w rozmowie.

- Tak - zgodziła się. - Nie musisz. To zawsze jest w tobie... za ciekawą zasłoną pamięci... czai się, by wypłynąć, gdy najmniej się tego spodziewasz.

Ta dziewczyna rozumiała wszystko. Naprawdę rozumiała.

Resztę drogi przebyliśmy w całkowitym milczeniu.

Gdy dotarliśmy do hotelu, pocałowała mnie delikatnie jeszcze raz uścisnęła moje ramię i zniknęła.

Był środek nocy, pora, której zawsze nienawidziłem. Jednakże w tej chwili nie czułem się tak straszliwie samotny.

Rozdział 5

Paradoksalnie, śmierć ojca, mimo że stanowiła dla nas ciężkie przeżycie, była jednocześnie pewnym wyzwoleniem.

To, co działo się przedtem, przypominało obserwowanie człowieka chodzącego chwiejnie po linie rozciągniętej nad wodospadem Niagara. Choć minęło trochę czasu, zanim spadł, jego los był przypieczętowany od momentu, gdy zaczął się chwiać. Sam upadek był niemal rozczarowaniem.

Czułem wdzięczność i szacunek dla pastora za to, że nie poczęstował nas przesłodzoną mową pochwalną. Nie było żadnych bzdur o wielkim człowieku, który odszedł tragicznie w kwiecie wieku.

Pastor powiedział jedynie kilka słów o naszej wspólnej nadziei, że udręczona dusza Henry'ego Hillera odnajdzie wreszcie spokój. I na tym skończył.

To dziwne, ale znacznie łatwiej było usłyszeć prawdę, niż podtrzymywać obłudny mit.

Nie było w tym nic zaskakującego, że niewiele się dla nas zmieniło. Ojciec po prostu zniknął z peryferii naszego życia i zostaliśmy jako komórka rodzinna, jaką byliśmy bez niego, zanim umarł.

Jeśli w ogóle wspominać o jakichkolwiek zmianach, to moje życie nabrało nieco większego tempa. Zostałem wybrany do reprezentowania szkoły w stanowym konkursie pianistycznym i zająłem drugie miejsce.

O ile rok wcześniej wpadłbym w ekstazę z powodu samego zaproszenia, o tyle teraz byłem zawiedziony, że nie udało mi się zwyciężyć.

W drodze powrotnej do domu mój nauczyciel, pan Adam, pocieszał mnie w autobusie, że złota medalistka, Marisa Greenfield, nie była ode mnie lepsza muzycznie, lecz raczej przewyższała mnie umiejętnościami teatralnymi.

- Miała prezencję zwyciężczyni, sprawiała wrażenie pewnej siebie, uduchowionej i całkowicie zafascynowanej muzyką.

- Do licha, a czy mnie brakowało którejkolwiek z tych cech?

- Oczywiście, że nie. Ale jej udało się zręcznie wykreować się dla jurorów, podczas gdy ty byłeś po prostu zwykłym, uczciwym sobą, twoja gra była bez zarzutu. Gdyby uczestnicy konkursu grali za zasłoną, na pewno byś zwyciężył.

Podczas przyjęcia wieńczącego konkurs Marisa podeszła do mnie i zaproponowała, żebyśmy wspólnie wzięli udział w koncercie duetów fortepianowych. Pochlebilo mi to i zapewne powinienem był przyjąć jej ofertę, ale chciałem pójść do akademii medycznej i musiałem uczęszczać na praktyki laboratoryjne, nie mówiąc już o zdaniu egzaminów.

Mimo to wymieniliśmy numery telefonów i obiecaliśmy, że odezwiemy się do siebie. Zatelefonowała pewnego wieczora, gdy nie było mnie w domu, ponieważ akurat grałem dla niższych klas licealnych (doskonaląc swoje umiejętności dramatyczne) . Jakoś nigdy nie zebrałem się, by oddzwonić do niej.

Po dwugodzinnych przesłuchaniach, Wydział Muzyki Uniwersytetu w Michigan przyznał mi pełne stypendium. Ogromnie przejęty, przyfrunąłem z Ann Arbor jak na skrzydłach. Ale waga tego wydarzenia dotarła do mnie dopiero wówczas, gdy podzieliłem się radosną wiadomością z matką i bratem.

Gdy świętowaliśmy mój triumf, powiedziałem mamie, żeby podjęła pieniądze, które przez tyle czasu z samozaparciem oszczędzała na moje studia, i kupiła sobie nowy, tak bardzo jej potrzebny samochód. Ona jednak uparła się, że nie mogę być pokrzywdzony tylko dlatego, że odniosłem sukces, i że powinienem wydać te pieniądze dla własnej przyjemności. Wybór był oczywisty - używane pianino. Podczas jednego z moich rekonesansów znalazłem niezwykle tolerancyjną gospodynię, która miała pokój do wynajęcia, a jednocześnie lubiła muzykę klasyczną. Pozwoliła mi zamieszkać razem z pianinem, zastrzegając jedynie: „Tylko, na miłość boską, Matthew, błagam, żadnego rock and rolla!”.

Nie było dla mnie niespodzianką, że gdy zbliżał się wyjazd z domu, ogarnęły mnie mieszane uczucia. Z jednej strony, martwiłem się, jak poradzą sobie beze mnie mama i Chaz, z drugiej zaś - jak ja poradzę sobie bez nich.

Następne cztery lata mojego życia były pełne muzyki.

Aczkolwiek kursy przygotowawcze na akademię medyczną z założenia miały niewątpliwie uśmiercić duszę, to moje zafascynowanie muzyką czyniło ją niezniszczalną.

Poza fortepianem odkryłem bogactwo brzmienia orkiestry. Zakochałem się w operze i dlatego wybrałem język wioski, żeby zaspokoić moje potrzeby lingwistyczne. Mogłem teraz słuchać Wesela Figara i rozumieć, do jakiego stopnia talent librecisty wzbogacił maestrę kompozytora. Sam Mozart był wielki. Ale Mozart i da Ponte - to prawdziwa uczta duchowa.

Moje życie zmieniło się radykalnie.

Odkąd sięgam pamięcią, posuwałem się mozolnie przez ciemny labirynt pracy i zmartwień. Teraz znalazłem się nareszcie na zalanej słońcem równinie, rozpościerającej się aż PO błękitny, bezchmurny horyzont. I odkryłem nawet, że to dziwne nowe uczucie ma nazwę - szczęście.

Występując jako solista z różnymi zespołami kameralnymi, stałem się szalenie popularnym facetem na terenie uczelni, co znacznie dodawało mi pewności siebie w kontaktach z co ładniejszymi, inteligentnymi studentkami.

Jednakże najważniejszym wydarzeniem na pierwszym roku studiów było dla mnie poznanie Evie.

Była serdeczna i miła, o świeżej urodzie. Miała krótkie brązowe włosy, zaraźliwy uśmiech i duże piwne oczy, które zawsze promieniały optymizmem. A co najważniejsze, była nadzwyczaj utalentowaną wiolonczelistką.

Już od dzieciństwa spędzonego w Ames, w stanie Iowa, starała się naśladować swoją boginię, Jacqueline du Pré. Słuchaliśmy każdej płyty Jackie, która wpadła nam w ręce. Utalentowanej wiolonczelistce towarzyszył na fortepianie jej mąż Daniel Barenboim. Odtwarzaliśmy te płyty tak często, że praktycznie kompletnie je zdarliśmy.

Mimo że spędzaliśmy razem prawie wszystkie wolne chwile, Evie nie była moją dziewczyną w romantycznym sensie. Po prostu znajdowaliśmy w sobie nawzajem cechy, których szukaliśmy u najlepszych kumpli.

Gdy się poznaliśmy, była już studentką drugiego roku i na początku podejrzewałem, że w swej przyjaźni do mnie, naiwnego młodzieniaszka, kieruje się ukrytymi motywami. Chodzi mi o to, że wiolonczeliści potrzebują akompaniatorów, a jedynie ja mogę towarzyszyć im bez przygotowania.

Sądzę, że w tamtych czasach nie docenialiśmy w pełni wyjątkowego charakteru naszej znajomości. Zaczęła się od Mozarta i Bacha, a przerodziła się w coś, co można nazwać harmonią wzajemnego zrozumienia.

Rozmawialiśmy o sprawach, z których nigdy nie zwierzylibyśmy się nikomu innemu. Nie tylko o tym, co czujemy do osób, z którymi się spotykamy, lecz również o czymś znacznie ważniejszym, a mianowicie, że oboje borykamy się z problemem, co począć z resztą naszego życia.

Państwo Websterowie stanowczo sprzeciwiali się temu, by ich córka zajęła się zawodowo muzyką. Autentycznie byli przekonani, że nie da się tego pogodzić z małżeństwem, które według nich było dla każdej dziewczyny sprawą pierwszoplanową.

Gdyby rodzice postawili na swoim, Evie zapewne skończyłaby miejscowe kolegium nauczycielskie, przez kilka lat uczyłaby w szkole średniej, a następnie wyszłaby za jednego z miłych chłopców powracających do Ames z dyplomami.

- Czy chcesz powiedzieć, że rodzice nie rozumieją, jak wiele znaczy dla ciebie wiolonczela? - spytałem.

Próbowała to zbagatelizować. - Moja matka jest miłą kobietą, która szczerze uważa, że moje życiowe muzyczne „potrzeby” powinny być z nadwyżką zaspokojone, jeśli będę co niedziela śpiewała w chórze, a w każde Boże Narodzenie grała Mesjasza Haendla.

- Skąd zatem wywodzi się twoja miłość do tego instrumentu?

- Ciocia Lily, siostra mojej matki, studiowała we Włoszech, potem odbywała z triem tournée po Europie, a po pewnym czasie wróciła i uczyła tutaj aż do dnia swojej śmierci.

Nigdy nie wyszła za mąż. Od chwili gdy skończyłam pięć lat, zabierała mnie na każdy koncert, wszędzie tam, gdzie dało się dojechać samochodem - czasami aż do Des Moines.

Między innymi dlatego tak bardzo podziwiałam wirtuozów w rodzaju Rubinsteina i Heifetza, że chciało im się znosić trudy podróży wśród zimowej śnieżycy, by zagrać dla nas, wieśniaków. Gdy Lily umarła, zostawiła mi swoją wiolonczelę i pieniądze, specjalnie przeznaczone „na dalszą edukację muzyczną Evie”.

- To piękna historia. Powinnaś dać imię ciotki swojemu pierwszemu dziecku.

- Uczynię to - uśmiechnęła się Evie. - Ale pod warunkiem, że urodzi się dziewczynka.

Oczywiście, nie we wszystkich rozmowach obnażaliśmy dusze. Widywaliśmy się przecież codziennie i musieliśmy rozmawiać o zwykłych sprawach, takich jak prace semestralne, mecze futbolowe czy zbliżający się festiwal filmowy imienia Jeana Cocteau.

Mimo to Evie często musiała wyprowadzać z błędu swoich chłopców co do charakteru naszej znajomości. Niektórzy nadal nie byli przekonani, nawet gdy umówiła mnie z jedną czy dwiema co atrakcyjniejszymi koleżankami. Byłem jednak zbyt upojony moją muzyką - i moją nowo odkrytą wolnością - by zaangażować się w jakiś trwały związek.

I były te sobotnie noce, kiedy niczym dwoje fanatycznych mnichów wyrzekaliśmy się studenckich rozrywek - takich jak picie piwa i kręgle - i po prostu zostawaliśmy w szczególnym świecie, który sami dla siebie stworzyliśmy, pracując nad kolejnym utworem.

Najbardziej „namiętne” chwile w tamtych latach spędziliśmy z Evie podczas naszych wspólnych ćwiczeń. W sumie było to tyle godzin, że przerobiliśmy prawie wszystkie ważniejsze utwory na fortepian i wiolonczelę. Lubilem przyglądać się, jak bezwiednie przesuwają językiem po dolnej wardze, koncentrując się na przebieganiu palcami po strunach przy szczególnie trudnym pasażu. Czasami przez ponad godzinę nie odzywaliśmy się do siebie. Gdy człowiek gra z kimś, kogo naprawdę zna, rodzi się porozumienie instynktowne, bez słów - zbyt głębokie na zwykłą rozmowę. To właśnie przeżycia artystyczne uczyniły naszą przyjaźń bliższą i głębszą.

Oczywiście, wspieraliśmy się zarówno moralnie, jak i muzycznie. Przywołałem na pamięć taki właśnie jednoczesny przypadek, gdy akompaniowałem jej wiosną do *Sicilienne Faurégo*. Wybrała ten utwór na swój dyplomowy recital na ostatnim roku. Znałem moją partię na tyle dobrze, że mogłem spoglądać ukradkiem na twarze profesorów i widzieć, że Evie wywarła naprawdę świetne wrażenie.

Tak jak przewidywałem, otrzymała najwyższą ocenę - a ja najdłuższy, najserdeczniejszy uścisk, jakim kiedykolwiek mnie obdarzyła. Nazajutrz mój sweter wciąż jeszcze pachniał jej perfumami.

Zawsze odczuwałem wdzięczność, że była przy mnie i pomagała mi, gdy przechodziłem poważny kryzys osobowości, ponieważ z każdym mijającym semestrem zbliżałem się w sposób nieunikniony do rozstaju dróg.

Którą drogę mam wybrać?

Wykładowcy nie ułatwiali mi wyboru. Przypominało to zawody w przeciąganiu liny, jedni próbowali skłonić mnie do studiowania medycyny, drudzy - muzyki. Czulem się straszliwie rozdarty.

Evie była jedyną osobą, z którą mogłem o tym rozmawiać. Nie popychała mnie w żadną stronę, lecz podbudowywała moją pewność siebie, tak abym sam mógł dokonać wyboru.

- Możesz zajmować się muzyką profesjonalnie - zapewniała mnie. - Masz w sobie tę iskrę bożą, która odróżnia zwykłego technika od wirtuoza. Wiesz o tym, Matthew, prawda?

Skinąłem głową. Bez wątpienia pragnąłem grać przez resztę mojego życia. Jednakże jakaś cząstka mojego „ja” nie potrafiła wyobrazić sobie życia, nie związanego w jakikolwiek sposób z pomaganiem ludziom, z dawaniem im czegoś... być może odziedziczyłem to po mamie.

Evie rozumiała to również i zachowywała się bardzo mądrze i taktownie, starała się nie wpływać w żaden sposób na moją decyzję. Była jedynie współczującą słuchaczką mego nie kończącego się sporu z samym sobą.

Tamto lato stanowiło próbę.

Gdy Evie wyjechała na festiwal w Aspen i doskonaliła grę na wiolonczeli z Rogerem Josephsonem, ja tyrałem jako sanitariusz w szpitalu uniwersyteckim.

Pamiętam, że pewnej nocy na moim dyżurze na oddziale pediatrii wydało mi się, że leżąca tam uśpiona dziewczynka zaczęła cicho jęczeć. Doniosłem o tym pielęgniarce, one jednak twierdziły uparcie, że jest tak naszpikowana środkami znieczulającymi, że nie może odczuwać bólu.

Mimo to, gdy skończył się mój dyżur, wróciłem do małej, usiadłem przy łóżku i wziąłem ją za rękę. Natychmiast się uspokoila.

Pozostałem przy jej łóżku aż do świtu. Dziewczynka musiała zdawać sobie sprawę, że byłem z nią przez cały czas, albowiem gdy się obudziła, uśmiechnęła się do mnie słabo i powiedziała:

- Dziękuję, panie doktorze.

Zadzwoiłem do Evie i powiedziałem jej, że się zdecydowałem.

- Bardzo się cieszę, Matthew.

- *Że wybieram się na medycynę?*

- *Nie - odpowiedziała z czułością. - Ze wreszcie się zdecydowałeś.*

Ja również byłem zadowolony.

W połowie ostatniego roku Evie otrzymała wspaniałą wiadomość, że dzięki wstawiennictwu Josephsona udało jej się uzyskać stypendium do Juilliarda.

Prosiła mnie, żebym złożył papiery do akademii medycznej w Nowym Jorku, po to byśmy mogli nadal razem grać. Myślałem o tym. Perspektywa była kusząca - nawet mimo faktu, że Chaz został przyjęty do Michigan i nadchodzącej jesieni miał się zjawić w miasteczku studenckim.

W każdym razie udałem się do biura doradcy medycznego. Dostałem stertę broszur o Nowym Jorku oraz innych, bardziej egzotycznych miejscach i zacząłem to wszystko studiować.

Wreszcie nadszedł czas wyjazdu Evie. Myślę, że większość dobrych przyjaciół idzie razem na pożegnalną kolację czy coś w tym rodzaju, my jednak chcieliśmy spędzić nasz ostatni wieczór zupełnie inaczej. Udaliśmy się do naszej ulubionej sali ćwiczeń około szóstej po południu i byliśmy tam nadal o północy, gdy zjawił się woźny Ron, żeby nas stamtąd wyprosić. Gdy wyjaśniliśmy mu szczególny charakter tego spotkania, powiedział, że możemy tu jeszcze zostać, podczas gdy on będzie zamykał resztę pomieszczeń.

Tak więc zakończyliśmy Sonatę A-dur Cesara Francka, którą nagrali ostatnio Jacqueline du Pré i Daniel Barenboim.

Utwór był przepełniony smutkiem i tęsknotą, oboje atakowaliśmy go z głębią uczucia większą niż kiedykolwiek, gdy graliśmy razem.

Nazajutrz odwiozłem ją na lotnisko. Uścisnęliśmy się, po czym Evie odeszła.

Wracałem do domu bardzo pustym samochodem.

We wrześniu brat marnotrawny przyjechał do Ann Arbor, dorosły i gotów do życia.

Oczywiście, jego poglądy na życie były bez wątpienia ściśle uwarunkowane psychiczną niepewnością naszego dzieciństwa. Dlatego z ogromnym pośpiechem dążył do stabilizacji rodzinnej.

Na dowód tego, zanim jeszcze wybrał przedmiot specjalizacji, związał się na stałe z dziewczyną.

Minęło zaledwie kilka miesięcy, a on i Ellen Morris, jego piegowata koleżanka ze studiów, grająca na gitarze, zamieszkali szczęśliwie razem na najwyższym piętrze dwurodzinnego domu w Plainfield, dwadzieścia pięć minut jazdy autobusem od uniwersytetu.

Tymczasem ja pisałem moją pracę dyplomową z muzyki, przedzierając się jednocześnie z trudem przez chemię organiczną - naukowy odpowiednik potwornego bólu zęba.

Kilka razy w tygodniu (po jedenastej wieczorem, gdy opłaty są niższe) rozmawiałem z Evie przez telefon. Nie było to tak przyjemne jak nasze rozmowy „na żywo” - a już z pewnością nie tak satysfakcjonujące jak wspólne muzykowanie - ale chętnie słuchałem, co myśli o wszystkim, począwszy od dziewczyn, z którymi się spotykałem, na dysertacji kończąc. Więcej uwagi poświęcała temu ostatniemu tematowi. Uważała nawet, że praca nadaje się do publikacji.

Pisałem na temat jednego, pełnego natchnienia roku, podczas którego Verdi stworzył zarówno Trubadura, jak i Traviatę (1852-1853). Zauważyłem podobieństwo stylu oraz ewolucję kompozytora w instrumentacji. Czuję się, jak gdybym niemal penetrował jego głowę. Obaj recenzenci najwyraźniej podzielali opinię Evie, otrzymałem bowiem piątkę z plusem.

Gdy mama przyjechała do nas w odwiedziny na święto Dziękczynienia, przywiozła nam wielką niespodziankę. Nazywał się Malcolm Hearn, był lekarzem. Sprawdziło się moje przeczucie, że ktoś pojawił się ostatnio w jej życiu osobistym.

Malcolm - chirurg, rozwodnik, dorosłe dzieci - nie tylko sprawiał wrażenie ciepłego, solidnego faceta z poczuciem humoru (i światopoglądem kompletnie różnym od światopoglądu naszego ojca), ale był również w pewnym sensie muzykiem, a ściślej mówiąc, pierwszym tenorem. I to prawdziwym, takim, który potrafił wyciągnąć wysokie „c” bez oszukiwania i śpiewania falsetem. Już tylko ta cecha czyniła go mile widzianym gościem w każdym chórze. Maż był już gwiazdą szpitalnego kwartetu

wokalnego. Wywołałby uśmiech na ustach nawet najbardziej ponurych słuchaczy, gdyby usłyszeli, jak improwizuje górny kontrapunkt do You Gotta Have Heart. I co najważniejsze, naprawdę kochał mamę, która miała teraz prawdziwą drugą szansę na szczęście osobiste.

Evie autentycznie się ucieszyła, gdy usłyszała nowinę o Malcolmie. („Chirurg, miły facet i wysokie »c«? To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe!”).

Powiedziałem jej, że sama się przekona, gdy pozna go w czasie świąt Bożego Narodzenia.

- Uhm, zbierałam się na odwagę, żeby ci o tym powiedzieć, Matthew. Niestety, nie będę mogła przyjechać. Roger i ja...

- Roger? - spytałem, czując irracjonalne ukłucie zazdrości. - Czy mówisz o maestro Josephsonie?

- No... tak. Prawdę mówiąc, to właśnie on odebrał telefon.

- Oj, Evie - powiedziałem, nagle skrępowany. - Powinnaś była dać mi do zrozumienia, że przeszkadzam.

- Nigdy mi nie przeszkadzasz. Poza tym opowiedziałam mu wszystko o nas. Posłuchaj, może wybrałbyś się z nami na tydzień na narty do Sugar Bush?

- Chciałbym bardzo, ale jestem zawałony pracą. Ledwie uda mi się wyskoczyć na jeden dzień do domu. W każdym razie życzę ci wesołych świąt.

Odwiesiłem słuchawkę, czując się jak idiota. Złożyłem Evie życzenia świąteczne o cały miesiąc za wcześnie.

Zostałem w akademii medycznej w Ann Arbor. W ten sposób mogłem widywać się regularnie z Chazem i Ellen nawet po ich ślubie (równocześnie z rozpoczęciem studiów nauczycielskich podjęła pracę w Blue Cross, jako stażystka).

Małżeństwa szerzyły się tego roku jak epidemia. W sierpniu również Evie i Roger zawarli związek małżeński w Tanglewood, gdzie on grał Dworzaka pod kierownictwem Zubina Mehty. Na szczęście, przyjechałem dwa dni wcześniej, gdy Roger świętował swój wieczór kawalerski i nie było go w domu, a Evie wpadła nagle w coś, co mógłbym określić jedynie mianem kompletnego popłochu. („Chodzi o to, Matt, że on jest taki znany i... dorosły. Na co mu taki dzieciak jak ja?”).

Udało mi się przekonać ją, że facet w rodzaju Roger a jest dość bystry, by docenić, jak wyjątkową jest dziewczyną. Dlatego ktokolwiek się z nią ożeni, będzie najszczęśliwszym facetem na świecie. Nieunikniony kryzys minął do czasu, gdy zaczęły strzelać korki od szampana i błyskać flesze.

Jeśli idzie o mnie, najbardziej udaną częścią uroczystości był koncert jednego z gości po jej zakończeniu. A wzięła w niej osobisty udział chyba połowa moich kasetowych znakomitości.

Wróciwszy do domu, pogrążyłem się w świecie medycyny. Pewnego dnia tamtej jesieni Evie porzuciła naukę u Juilliarda, żeby móc podróżować z Rogerem, i stopniowo nasze orbity oddaliły się od siebie.

Nawet gdy Chaz był już małżonkiem pełną gębą, nadal spotykaliśmy się w niedzielne wieczory przy piwie i braterskiej pogawędce.

W dalszym ciągu miał talent do zadawania denerwujących pytań.

- Czy nie żałujesz, że nie poślubiłeś Evie, skoro miałeś szansę? - spytał naiwnie.

- To małżeństwo nigdy by się nie sprawdziło. Łączy nas bratersko-siostrzane uczucie.

- Czemu więc jesteś taki nieszczęśliwy?

- Nie jestem nieszczęśliwy, Chaz. Po prostu denerwuję się z powodu mojej rozmowy kwalifikacyjnej przed wyjazdem do Afryki.

- Do Afryki? - spytał z niedowierzaniem. - Ach, pewnie wstąpiłeś do Legii Cudzoziemskiej, żeby zapomnieć o Evie.

- Przestań! - ofuknąłem go. A następnie wyznałem, że zgłosiłem się do pracy w Médecine Internationale, organizacji, która zakłada szpitale w najgorętszych punktach Trzeciego Świata i zajmuje się leczeniem ofiar ubóstwa i polityki.

- Hm, to pasuje dokładnie do twoich altruistycznych zapędów. Czy to przedsięwzięcie jest niebezpieczne?

- Zależy, dokąd cię wysyłają. Mam nadzieję pojechać do Erytrei. Toczy się tam wojna domowa. Jednakże z tego, co słyszałem, żadna ze stron nie jest na tyle głupia, żeby strzelać do lekarzy.

- Cóż, pamiętaj, żeby nosić plaketkę „lekarz medycyny” na pizamie - zażartował Chaz z jawną troską. - Kiedy będziesz coś wiedział?

- W przyszłym tygodniu, po rozmowie kwalifikacyjnej w Paryżu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś już na etapie rozmowy kwalifikacyjnej i nie zdradziłeś się ani słowem własnemu bratu?

- Myślałem, że w przypadku niepowodzenia lepiej będzie, jeśli nikt się o tym nie dowie.

- Daj spokój, Matt. Z pewnością ci się uda.

- No cóż - odpowiedziałem z uśmiechem. - To może być moja wielka szansa.

Rozdział 6

Mediolan, wrzesień 1953

Stali kolejno według rangi. Najpierw Bóg. Potem Maria Dziewica. A następnie dziecko.

Ważniejsi goście, którzy zebrali się w katedrze mediolańskiej, znali już blisko pierwszych dwoje. Dziecko natomiast dopiero się urodziło.

Była to córka Giana Battisty Dalessandra, właściciela FAM-y (Fabbrica Milanese Automobili), największego włoskiego potentata samochodowego. A to był jej debiut towarzyski.

Gdy premier podniósł dziecko, a kardynał wyrecytował łacińskie słowa, udzielając chrztu Silvii Marii Dalessandro, jej matka Caterina szepnęła mężowi do ucha:

- Chciałabym wierzyć w Boga, by móc Mu podziękować.

Uśmiechnął się szeroko i przytulił żonę do siebie.

- On istnieje, *carina*. W przeciwnym razie, czy udałoby się nam odnaleźć siebie?

Jakkolwiek dygnitarze przylecieli z różnych zakątków świata, tym, który w pewnym sensie przebył najdalszą drogę, był Mario Rinaldi. Albowiem konkurent i najbliższy przyjaciel Giana Battisty urodził się w małej wiosce na południu Włoch i nie miał nawet własnej pary butów, dopóki nie skończył dziesięciu lat. Obecnie był prezesem Grup-METRO (Metalmeccanica Torinese) i drugim pod względem zamożności człowiekiem we Włoszech. Jego firma produkowała najrozmaitsze towary, od suszarek do włosów począwszy, na helikopterach skończywszy - nie wspominając opon do wszystkich samochodów, które schodziły z Unii montażowej FAM-y.

Mimo że uroczystość świętował Gian Battista, wokół którego, niczym satelity, krążyli z szacunkiem przemysłowi potentaci, Mario pocieszał się jednym - nawet po dwóch małżeństwach i przy całych swych pieniądzach Gian Battista nie mógł kupić sobie syna i spadkobiercy. A on go miał.

Gdy prałat skropił wodą głowę dziecka, Mario szepnął do nastolatka o pochmurnej urodzie, który stał u jego boku:

- To jest twoja przyszła żona.

Szesnastoletni Nico nie potrafił orzec, czy był to rozkaz, czy przepowiednia.

Spadkobierca fortuny METRO osiągnął wiek męski, nie przepracowawszy nawet jednego dnia w życiu - i nie zamierzając tego robić.

Żeby sprawić przyjemność ojcu, Nico udawał, że studiuje, gdy tymczasem grupka ubogich kolegów pisała za niego prace semestralne, a nawet zdawała egzaminy. On miał ciekawsze rzeczy do roboty.

Od dziecka kochał szybkość - na ziemi, w powietrzu, na wodzie. Ta wszystkożerna namiętność dostarczała mu przez okrągły rok okazji do ryzykowania życia.

Latem cumował łódź wyścigową w nicejskim porcie i przejmował wspaniały dom gościnny w posiadłości rodziców. Podążał za nim zmieniający się bez przerwy orszak przyjaciół.

Mimo że ojciec starał się zaszczepić Silvii instynktowną ostrożność wobec obcych, syna swego sąsiada z Riwiery nie uważał za obcego. Poza tym Nico był ulubionym tenisowym partnerem Giana Battisty i co roku walczyli ze sobą w maratońskim, trwającym całe lato turnieju. Żaden z nich nie lubił przegrywać.

Silvia zawsze siedziała z boku kortu, wstając co pewien czas, by ogłosić wynik po angielsku, francusku i włosku.

Ostatnia *principessa* Nica, rubensowska Simona Gatto-pardo, była absolutnie oczarowana.

- Może zechciałabyś zagrać czasami ze mną mecz? - zaproponowała.

- O jaką stawkę? - spytała niewinnie mała dziewczynka. - Nico i tatuś grają zawsze o duże pieniądze.

- Powiedziała to tylko po to, żeby cię wprawić w zakłopotanie - przerwał im nagle głos Nica.

- Twoja siostrzenica jest wprost urocza.

- Ona nie jest moją siostrzenicą. To mój kumpel - wyjaśnił, obejmując Simonę ramieniem i ruszając z nią w stronę tarasu.

Silvia przyglądała im się z przykrym uczuciem - nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że jest to zazdrość.

Oczywiście, Nico był zbyt zajęty swoimi sprawami, by zauważyć, że mała dziewczynka go uwielbia.

*

Pewnej zimy ojciec Silvii i Mario zabrali ją na zawody bobslejowe w Cortina d'Ampezzo, w których brał udział Nico. Przyglądając się, jak jej bohater i jego partner fruną po torze, czuła, że jakaś jej część, zwykle osaczona i stłamszona przez ochroniarzy, również rozwija skrzydła. Albowiem Nico był faktycznie uosobieniem jej marzenia o wolności.

Późnym popołudniem jego sanki natrafiły na kałużę wody, Nico stracił nad nimi panowanie i przekoziółkował kilkakrotnie. Jego partner wypadł z sanek, najwyraźniej nie odnosząc żadnej kontuzji.

Silvia załżała się łzami. Gian Battista wziął dziewczynkę na ręce, żeby ją uspokoić.

W punkcie opatrunkowym lekarze zbadali wstępnie połamane kości Nica i przygotowali go do podróży helikopterem do Mediolanu.

- Czy wyzdrowiejesz? - spytała go Silvia z troską.

- Oczywiście, carina - odparł niefrasobliwie. - Jestem niezniszczalny.

Gian Battista odwiedził Rinaldiego juniora w przestronnym szpitalnym pokoju na najwyższym piętrze, po czym zdał sprawozdanie żonie i córce.

- Sądzę, że spędzi w szpitalu kilka miesięcy.

- Może lekarzom uda się przeszczepić nieco zdrowego rozsądku do jego głowy - zauważyła z niesmakiem Caterina. - A wówczas może wymyśli dla siebie coś wartego zachodu.

- Chyba już czegoś dla siebie szuka. Lista jego gości przypomina *Who is who* świata biznesu. Myślę, że od tej chwili będzie walczył o złote medale właśnie w tej dziedzinie.

- Świetnie. Najwyższa pora, żeby się ustatkował. Na co on czeka?

W tym momencie Silvia, która bawiła się spokojnie w pobliżu, zaszczebiotała:

- Na mnie.

Wiosną 1964 roku Caterina Dalessandro została porwana przez grupę terrorystów. Zażądano nieprzyzwoicie wysokiego okupu.

Wykazując się nietypową dla niej szybkością działania i skutecznością, włoska policja zamknęła wszystkie rachunki bankowe Dalessandra, żeby nie mógł spełnić żądań terrorystów.

W tym momencie obaj Rinaldi, ojciec i syn, dali świadectwo swej przyjaźni.

Gdy Mario poleciał do Londynu po dolary, Nico pośpieszył do Lugano, by przywieźć franki szwajcarskie, co miało umożliwić Gianowi Battistie zapłacenie okupu porywaczom.

Niestety, karabinierzy, którzy założyli podsłuch w telefonach, dopadli terrorystów, nim dostarczono im pieniądze.

Podczas wymiany ognia, która nastąpiła, Caterina zginęła od kuli.

Gdy Gian Battista otrzymał wiadomość o jej śmierci, zamknął się w swoim pokoju, nie umiejąc stawić czoła światu.

Mimo iż wiedział, że córka go potrzebuje, nie miał dość siły emocjonalnej, żeby wyjść jej naprzeciw. Zupełnie jak gdyby żył za szklaną ścianą. Widział ludzi, ale nie mógł ich dotknąć.

Zadanie pocieszenia Silvii przypadło Nicowi.

W dniu poprzedzającym pogrzeb, gdy ojciec Nica był sam z Gianem Battista w jego gabinecie, młody Rinaldi wszedł do pokoju zabaw dziecięcych.

Pokój był pusty, mimo że wszędzie leżały porzrzucone lalki i inne zabawki.

Zszedł wobec tego do ogrodu, minął basen, nieruchomy i cichy, a następnie tak samo opustoszały kort tenisowy.

Wreszcie, gdy jego spojrzenie powędrowało ku fontannie, dostrzegł Silvię siedzącą na ławce i zapatrzoną w przestrzeń. Guwernantka, panna Turner, próbowała rozerwać ją, czytając głośno.

Dziesięcioletnie dziecko wyglądało na absolutnie zrozpaczone i niepokieszone.

Nawet gdy Silvia wreszcie go zobaczyła, nie uśmiechnęła się ani nie zerwała z ławki, by rzucić mu się w ramiona.

Skinąwszy głową guwernantce, Nico usiadł obok dziewczynki i przemówił do niej cicho:

- Silvio, nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo jest mi przykro. Z powodu twojej matki... i ciebie.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Silvia powiedziała głuchym głosem:

- Świat wydaje mi się takim okropnym miejscem.

- Tak, potrafię zrozumieć, że w tej chwili życie musi być dla ciebie trudne do zniesienia. Ale nie wolno ci się poddawać. Wiesz, czego pragnęłaby twoja matka.

Silvia pokręciła głową. Na jej twarzy, oprócz bólu, malowało się zakłopotanie.

- Nico, mój ojciec nie rozmawia ze mną. Czy zrobiłam coś złego?

- Daj mu po prostu trochę czasu. Próbuje poradzić sobie z tym najlepiej, jak potrafi.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Czy wierzysz w Boga?

- Przecież chyba uczą cię o Nim w szkole?

- Owszem, ale ja pytam ciebie. Wierzysz?

- No cóż, czasami.

- Chciałabym tylko móc zadać Mu pytanie, czym mama tak bardzo zgrzeszyła, że ją ukarał.

Tak, pomyślał Nico. To jest zdecydowanie jedna z tych sytuacji, kiedy brakuje mi wiary.

Spojrzał w kierunku horyzontu i rzekł, starając się, żeby zabrzmiało to niewymuszenie:

- Nie wiem jak tobie, ale mnie jest zimno. Chodźmy do domu i napijmy się czegoś gorącego.

Nie odpowiedziała.

- Chodź, moja kumpelko - poprosił, wyciągając do niej rękę. - Zrób to dla mnie.

Wstała powoli i ruszyli we trójkę w stronę domu.

Pogrzeb był prywatny, tragedia natomiast bezlitośnie Publiczna.

Natrętni paparazzi z teleobiektywami stali za murem cmentarnym na pośpiesznie zbudowanych platformach, ich aparaty karmiły się rozpaczą ofiar niczym padliną.

Żałobnicy podążali wolno za trumną. Nico trzymał Sil. wię za rękę, idąc o krok za Gianem Battistą i Mariem Rinaldim.

Pod koniec smutnej uroczystości, gdy dygnitarze zaczęli się rozchodzić, Silvia stanęła nad otwartym grobem i szepnęła:

- Żegnaj, mamó.

Po czym odwróciła się, ujęła z powrotem Nica za rękę i odeszli.

Rozdział 7

Nagle cała ludność Paryża została zredukowana do Silvii i mnie.

Siedzieliśmy obok siebie przez cały dzień na zajęciach, a wieczorami jadaliśmy razem kolację w różnych pobliskich bistrach. Potem, przebrnąwszy przez materiał zadany na następny dzień, zamykaliśmy książki i po prostu rozmawialiśmy.

Jeśli mówić o jednej właściwości, najbardziej charakterystycznej dla Silvii, to była to pasja.

Dokładała wszelkich starań, żeby zostać dobrym lekarzem, kochała operę i była fanatyczką zawodowej koszykówki, do wszystkich aspektów życia podchodząc z ogromnym entuzjazmem. Gdy teraz wspominam tamte czasy, myślę, że wywoływała we mnie ekstatyczne uczucie porównywalne z tym, którego doznawałem, słuchając chóru finałowej części *IX Symfonii* Beethovena: „Radość, niebiański blask, córa Elizjum...”.

Jakimś cudem ani brzemień nadmiernego bogactwa, ani rany bolesnego dzieciństwa nie upośledziły jej w żaden sposób.

A przynajmniej tak mi się wydawało na początku.

Wyraźnie żyła pod kloszem i miała niewielu bliskich Przyjaciół - jeśli w ogóle ich miała. Albowiem była szczerą i kompletnie pozbawioną sztuczności, nie czyniła żadnych wysiłków, by ukryć zamęt, który maskowała nieskazitelna fasada. Ciekawa rzecz, bardzo często wspominała matkę.

- Wychodząc za ojca, mama była redaktorem naczelnym „La Mattina”, największej włoskiej gazety porannej. Jednakże od chwili, gdy się poznali, właściwie nie spędzili żadnej nocy osobno. Kiedy się urodziłam, przystosowała skrzydło domu na pomieszczenia biurowe i za pomocą szaleńców na motorach, czyli posłańców, ogromnego wdzięku - i bardzo donośnego głosu - zarządzała wszystkim z domu. A mimo to w niczym nie przypominała kobiet tak zajętych własną karierą, że nie mają czasu dla swoich dzieci. Dzień i noc była zawsze tam, gdzie jej potrzebowałam.

Biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął od tamtego okresu, i żal, który wciąż odczuwała, trudno było powiedzieć, czy jest to prawdziwy portret matki, czy też mocno go wyidealizowała.

- Jak sobie radziłaś potem?

- No cóż, został mi przecież ojciec - powiedziała cicho. W jej tonie przebijała raczej rodzinna lojalność niż autentyczne przekonanie. Po chwili wyznała cicho: - Prawdę mówiąc, on potrzebował nawet więcej wsparcia ode mnie niż ja od niego. Właściwie nigdy nie doszedł do siebie. Wciąż usiłuje zapracować się na śmierć. Martwię się o niego.

- Ale kto martwił się o ciebie? Kto się z tobą bawił? Kto odprowadzał cię do szkoły?

- Różni ludzie. Nie pamiętam nikogo w szczególności. Może dlatego, że wszyscy byli jednakowo ubrani.

W tym momencie nie potrafiłem wstrzymać się od komentarza.

- Zawsze uważałem, że są dwie rzeczy, których nikt nie zrobi za ciebie - nie pójdzie się za ciebie ostrzyć ani nie będzie dobrym ojcem czy matką.

Uśmiechnęła się. Był to porozumiewawczy uśmiech aprobaty.

- Sara Conrad, moja najlepsza przyjaciółka w szkole, praktykowała psychiatrię bez uprawnień. Uważała, że stanowię typowy przypadek osoby pozbawionej rodziny. Twierdziła, że jeśli nie oddam się pod opiekę psychoanalityka, prawdopodobnie spaprzę każdy związek w moim życiu.

Nie ze mną, pomyślałem. I spróbowałem rozwiązać tę nieoczekiwaną niepewność i słabość.

- Daj spokój, Silvio. Od każdej reguły są wyjątki. Niektórzy ludzie z dużych, zżytych rodzin są równie pokręcani jak samotnicy. Przytoczę ci tylko jeden klasyczny przykład: *Old Woman Who Lived in a Shoe*¹.

- Tak - roześmiała się Silvia, a następnie zacytowała: - „Sprawiała im solidne lanie, a potem kładła do łóżek”.

- Bardzo dobrze. A propos, jak to brzmi po włosku?

- Nie wiem, Nico czytał mi po angielsku.

- Ach, Nico.

- Tak. Nauczył mnie również grać w tenisa. I w szachy. I zabierał mnie do cyrku.

- Wobec tego sądzę, że za niego wyjdiesz - stwierdziłem, maskując nieprzyjemny pesymizm, dotyczący moich własnych szans.

- Czemu tak mówisz? To było całe wieki temu. Nico ma teraz ze sto lat.

¹ *Old Woman Who Lived in a Shoe* (Babcia, która mieszkała w bucie) — wierszyk, którego angielskie dzieci uczą się w przedszkolach (przyp. llum.).

- Wcale nie. Jest wystarczająco młody, by się z tobą bawić, a z drugiej strony dość dorosły, byś patrzyła na niego jak na autorytet. Przede wszystkim jednak chyba zawsze był przy tobie. A to jest dla ciebie bardzo ważne, prawda?

Skinęła twierdząco głową, gasząc ostatnie iskierki nadziei, które jeszcze tliły się we mnie.

- Do pewnego stopnia masz rację - ustąpiła. - To znaczy, był naprawdę cudowny w okresie, który wspominam jako moje „uwięzienie”.

- Co przez to rozumiesz?

- To oczywiste, że po tym, co zdarzyło się z mamą, ojciec dostał obsesji na punkcie zapewnienia mi ochrony. Zabrał mnie ze szkoły i załatwił mi prywatne lekcje w domu. Możesz sobie wyobrazić, jakie środki bezpieczeństwa zastosowali jego ludzie wobec tych nieszczęsnych palantów. A co do mojego życia towarzyskiego - dodała żartobliwie - niektórzy mogą uważać, że szalenie elegancko jest mieć własne kino w domu, w dodatku z popcornem. Ale przestaje być miło, gdy co weekend stanowisz jedyną widownię z kilkorgiem tych samych dzieciaków. Miałam czternaście lat, gdy odkryłam, że to, co się dzieje na ekranie, jest najmniej ważne. Rozpaczliwie brakowało mi towarzystwa innych ludzi.

- Jak w końcu udało ci się wyrwać? Również przy pomocy signora Nico?

- Przestań mi dokuczać - zbesztła mnie. - Ale właściwie zawsze mnie zachęcał, żebym studiowała za granicą. Mimo to nie potrafiłam zostawić ojca, dopóki znów nie stanął na nogach.

Jakie to dziwne, instynkt rodzicielski u dziecka.

- W końcu doszłam do wniosku, że jeśli ojciec ma kiedykolwiek wrócić na łono społeczeństwa, muszę wyjechać. Myślałam, że jeśli pozostawię go samemu sobie, będzie zmuszony rozejrzeć się za kimś innym. W każdym razie Anglia była jedynym krajem, który uważał za bezpieczny. Oczywiście, szkoła musiała być katolicka. Tak więc sprowadziło się to do St. Bartholomew's w Wiltshire. Byłam tam szczęśliwa, chociaż minęło trochę czasu, nim przyzwyczaiałam się do wszystkich tych religijnych bzdur. Poza tym, że spotykałam się z moją najserdeczniejszą przyjaciółką Sara i miałam się wszelkich męskich sportów, zdobyłam gruntowne wykształcenie. Jednakże co rano i co wieczór modliłam się, żeby ojciec zjawił się w kolejnym dniu odwiedzin ze śliczną damą, uwieszoną na jego ramieniu. Nigdy jednak się tego nie doczekałam - dodała ze smutkiem.

- To oznaczało - mówiła dalej - że muszę spędzić z nim kolejne lato we Włoszech. Nienawidziłam myśli, że jest sam. Nie spotykałam się z wieloma rówieśnikami, ale

spędzałam miło czas z ojcem. Wiem, że lubił zabierać mnie sobą, gdy wizytował fabryki. Był ze mnie taki dumny. Właściwie tylko wtedy opuszczał swoją skorupę i wydawał się naprawdę ożywiony. Gdy przedstawiał mnie ludziom, na jego twarzy wykwiłał tak rzadki uśmiech. Mnie się to również podobało. Pracownicy chyba naprawdę go lubili.

Ten fakt był potwierdzony w artykule, na który natrafiłem ostatnio w „Le Monde”. Wspominano w nim o ojcu Silvii jako o jednym z pierwszych północnowłoskich przemysłowców, który zaoferował tanie mieszkania dla swoich na wół zesłanych pracowników z południa, którzy w przeciwnym razie musieliby zostawić rodziny w domu.

- Ale najżywsze wspomnienia pozostały mi z weekendów, które spędzaliśmy razem w „La Locanda”, niewielkim hoteliku w górach Toskanii, przeznaczonym dla tych przedstawicieli wyższych sfer z Mediolanu i Turynu, którzy nie są hałaśliwi i krzykliwi.

- W takim razie musi być rzeczywiście niewielki - zażartowałem.

Roześmiała się.

- Masz rację, Matthew, właśnie dlatego to miejsce było takie szczególne. Wbrew swej prostej nazwie, „Zajazd” był spokojny i elegancki. Wieczorem podawano kolację w ogrodzie przesyconym zapachem jaśminu. W moich oczach nastolatki wszyscy mężczyźni wydawali się tacy przystojni - opaleni, w białych lnianych garniturach. Żaden jednak nie był atrakcyjniejszy od mojego ojca. Kobiety nosiły najmodniejsze, choć celowo skromne suknie, a do tańca przygrywało trio.

- Fortepian, perkusja i skrzypce, tak?

- Tak, mój oblatany muzycznie przyjacielu - uśmiechnęła się.

- Wyobrażam sobie, że skrzypce wprowadzały romantyczny nastrój.

- Owszem - skinęła głową - niestety, nie dla piętnastolatki i jej ojca.

Nie jestem taki pewien, pomyślałem sobie.

- Każdego lata miałam nadzieję, że tym razem tatuś pozna kogoś odpowiedniego.

Odczułem dziwne wzruszenie, gdy wyobraziłem sobie Silvię wirującą na parkiecie ze swym ojcem i dyskretnie wypatrującą przy stolikach wdów do wzięcia.

- Pewnego wieczora spostrzegłam dwie damy siedzące przy sąsiednim stoliku. Młodsza była ciemnowłosa, atrakcyjna, w idealnym wieku. Siedziały na tyle blisko, że widziałam, iż nie nosi obrączki. Podczas kolacji zerknęły na nas co chwila i szeptały coś do siebie. Tuż przed podaniem kawy starsza kobieta wstała, pocałowała młodszą na dobranoc i odeszła.

- No, no, to się staje coraz bardziej interesujące. Kto uczynił następny krok?

- Oczywiście, ja. Nagle rozboleła mnie głowa, przeprosiłam ojca, nalegając, żeby został i dokończył kolację. Gdy wychodziłam z restauracji, obejrzałam się i zobaczyłam, że ojciec sięga po cygaro. Najwyraźniej się nie śpieszył. Od dawna czekałam na tę chwilę. Nie mogłam spać ani czytać. Spędziłam godzinę przy oknie, wyciągając szyję, by dostrzec, co się dzieje w restauracji, czy przypadkiem nie tańczą. Nazajutrz po obudzeniu snułam fantazje, że tamta kobieta będzie jadła z nami śniadanie na tarasie u ojca. Nie było jej tam, ale ojciec miał tak dobry nastrój, że pomyślałam sobie, iż poczynił plany na lunch. Nie wytrzymałam i spytałam go wprost, co myśli o pięknej brunetce, która wieczorem siedziała przy sąsiednim stoliku.

Umilkła, kręcąc głową z konsternacją.

- Pozwól, że zgadnę - powiedziałem. - Woli blondynki.

- Nie, idioto. W ogóle jej nie zauważył.

- Chyba za bardzo się rozgadałam, co? - rzekła przeprasząc Silvia. Dochodziła pierwsza w nocy, staliśmy w pustym holu „Pchłami” (jeszcze jedno z przydomków, które odąłem naszemu nędznemu hotelikowi).

- Wcale nie - odpowiedziałem szczerze. - To najlepszy sposób, żeby kogoś poznać.

- Poznać to nie znaczy polubić - powiedziała nieśmiało.

- W twoim wypadku, Silvio, nie może znaczyć niczego innego.

Pocałowaliśmy się na dobranoc w policzek i Silvia wsiadła do windy. Ja, niepoprawny Amerykanin, postanowiłem zaliczyć codzienną porcję ćwiczeń i wszedłem piechotą po skrzypiących schodach na dziesiąte (a może tak mi się wydawało o tej godzinie) piętro, gdzie mieścił się mój pokój na poddaszu. Wspinając się, pomyślałem - a może byłem zbyt pijany nadzieją - że jej rzekomo niewinna ostatnia uwaga miała podtekst. Nico jeszcze jej nie zdobył. Wciąż miałem szansę.

Nazajutrz wieczorem w „Café de Flore”, gdy zrealizowaliśmy ostatni punkt naszego planu nauki - a mianowicie, przestudiowaliśmy gruntownie początki, rozwój oraz leczenie *schistosomiasis*, pospolitej infekcji krwi, wywołanej skażoną wodą - zamówiłem karafkę białego wytrawnego wina i, jak to stało się już naszym codziennym rytuałem, wznowiliśmy otwieranie naszych psychicznych albumów rodzinnych.

Rozmawialiśmy o sprawach, które w pierwszym rządzie Pociągały nas w medycynie.

- Prawdę mówiąc - powiedziała Silvia - odkąd sięgam pamięcią, zawsze chciałam zostać lekarzem. Myślę, że zaczęło się od Giorgia.

- A kim był Giorgio?

Oparła się o blat stołu, jak zwykła to czynić, dzieląc się ze mną swymi najskrytszymi myślami. A dzisiaj, gdy opowiadała mi o Giorgiu Rizutto, dzięki wycięciu swetra mogłam rozkoszować się widokiem jej ślicznych piersi.

- Był moim pierwszym „chłopcem”. Oboje mieliśmy po siedem lat. Chudy, o czarnych, okrągłych jak spodki oczach, był znacznie niższy od nas wszystkich. Podczas przerwy, gdy inni chłopcy biegali i wygłupiali się, on siedział sam z boku, a ja dotrzymywałam mu towarzystwa. Nigdy jednak nie przychodził pobawić się do naszego domu. Okazało się, że co wieczór po szkole musi jeździć do szpitala na dializę.

Westchnęła głęboko.

- Do diabła, chociaż od tamtej pory minęło tak wiele czasu, wciąż trudno mi o tym mówić. Najwyraźniej niewiele jeszcze życia miał przed sobą. Mój ojciec zaofiarował się, że pokryje mu koszt wyjazdu do Ameryki w celu transplantacji nerki. Byłam naprawdę dumna. Uważałam ojca za półboga, któremu zawsze wszystko się udaje.

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- Giorgio był operowany w klinice w Bostonie. Nigdy nie obudził się z narkozy.

Silvia zwiesiła głowę.

- Ojcu nie dawało to spokoju przez całe życie. Ale wyobraź sobie panią Rizutto. Gdybyśmy się nie wtrącili, jej syn żyłby jeszcze przez pół roku, może nawet rok. Medycyna przyśpieszyła tylko jego śmierć.

Przez kilka chwil milczałam, następnie powiedziałem cicho:

- I dlatego zdecydowałam się zostać lekarzem.

- Nieświadomie, ale to musiało tkwić we mnie. Ojciec Sary, profesor medycyny w Cambridge, był dyrektorem hospicjum dla nieuleczalnie chorych. Pewnego dnia pozwolił mnie i Sarze towarzyszyć sobie podczas obchodu. Jon Conrad był wspaniały. Gdy poświęcał czas pacjentowi, sprawiał, że tamten czuł się najważniejszą osobą na świecie. Potrafił słuchać cierpliwie o problemach chorych i znajdował właściwe słowa, by dodać każdemu odwagi. Leżał tam mały, ośmioletni chłopiec. Mimo że był bardzo słaby, wciąż bawiły go żarty doktora i nawet udawało mu się śmiać. Nagle pomyślałam, że żałuję, iż

Giorgio nie mógł umrzeć w takim humanitarnym miejscu, otoczony troską. Tamtego dnia, wracając do St. Barts, podjęłam decyzję.

- Potrafię wyobrazić sobie reakcję twojego ojca.

- Chyba jednak nie potrafisz. Mimo że był zaskoczony, wydawał się akceptować moją decyzję. Dopiero później pokazał rogi. Zaczął oczywiście od odpowiedzialności.

- To typowe dla rodziców.

- Gdy to nie poskutkowało, przedstawił mi trudy, jakie niesie ze sobą edukacja medyczna.

- Niech mi pani opowie o tym, pani doktor - uśmiechnąłem się. - Czy opisał trzydniowe dyżury bez chwili snu?

- Z najdrobniejszymi szczegółami. Argumentowałam jednak, że skoro inni to przeżyli, przeżyję i ja. A potem... próbował mnie przekupić. zaproponował, że stworzymy coś w rodzaju Fundacji Forda, przydzielającej dotacje na wszelkiego rodzaju godne uwagi przedsięwzięcia medyczne. Przyznaję, że była to pokusa nie lada. Wreszcie jednak, po trwających całe lato bezskutecznych próbach wyperswadowania mi mojego zamiaru, poddał się. Całując mnie na pożegnanie, szepnął, że najważniejszą na świecie rzeczą jest, bym robiła to, dzięki czemu będę szczęśliwa.

- W każdym razie - zapaściłem próbną sondę - czy tak naprawdę nie jest to kwestia tego, co będziesz robiła, zanim poślubisz Nica?

- Boże mój! - popatrzyła na mnie z żartobliwym rozdrażnieniem. - Jesteś jeszcze gorszy od mojego ojca. Skąd się bierze twoje przekonanie, że zakochałam się w Nicu? Czy kiedykolwiek wspomniałam o tym choćby jednym słowem?

- No cóż, byłaby to wspaniała fuzja - odparłem, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

- Temu trudno zaprzeczyć - zgodziła się.

- Jaką zatem datę ustaliłaś? - Nagle przestałem być pewny, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

- Prawdę mówiąc - powiedziała z figlarnym uśmiechem - ojcowie proponowali niedawno ostatni weekend sierpnia.

- Mówisz o nadchodzącym sierpniu? Skinęła twierdząco głową.

- Oczywiście teraz będą musieli odłożyć całą uroczystość.

Zacząłem znów oddychać.

W końcu zrozumiałem ukryte przyczyny jej pragnienia, by wstąpić do Médecine Internationale.

Nie tylko umożliwi jej to zajmowanie się chorymi dziećmi, ale będzie oddalona o całe światy od Nica Rinaldiego i presji rodziny.

- Powiedz mi, Silvio, czy twoja decyzja wyjazdu do Afryki nie wiąże się przypadkiem z faktem, że z tego powodu nie będziesz mogła uczestniczyć we własnym ślubie?

Bezskutecznie usiłowała powstrzymać uśmiech.

- Właściwie wyjaśniłam im, że potrzebuję czasu i przestrzeni, żeby wszystko przemyśleć.

- Jak to przyjęli?

- Nie mieli wyboru. Jestem w takim samym stopniu córką mojej matki, co ojca. Zawsze podkreślała wobec wszystkich swoją niezależność. A teraz, panie natrętny reporterze, czy otrzymał pan już odpowiedzi na wszystkie swoje pytania?

Nie, odpowiedziałem sobie w duchu. Przyszło mi właśnie na myśl sto następnych.

Rozdział 8

O piątej po południu ostatniego dnia naszego szkolenia François zapalił papierosa i uczynił kilka płynących z głębi serca uwag.

- No, dobrze. Zakończyliśmy formalne wprowadzenie, które, jak przekonacie się natychmiast po przyjeździe na miejsce, nie przygotowuje do niczego. Praktyczną wiedzę będziecie zdobywać każdego dnia w terenie, my możemy jedynie spróbować przygotować was psychicznie do ewentualnej sytuacji kryzysowej, po czym z pewnością okaże się, że właśnie do tej konkretnej was nie przygotowaliśmy. Chciałbym tylko przeprosić tych, których niesłusznie się czepiałem. A ci, których się nie czepiałem... niech się nie martwią, dopadnę ich, gdy już znajdziemy się w Erytrei.

Jego uwaga została powitana cichym śmiechem. Myślę, że pod pozorami gburowatości krył się nieśmiały, sympatyczny człowiek.

- A teraz życzę wszystkim powodzenia - zakończył, dodając zdanie, którego nigdy w życiu bym się po nim nie spodziewał: - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Wyjazd zaplanowano na następny wieczór, toteż trzy czwarte dnia mogliśmy spędzić w Paryżu, jak nam się żywnie podobało.

Rankiem poszliśmy z Silwią do muzeum Rodina, a następnie po raz ostatni pojawiliśmy się w Médecine Internationale.

Musieliśmy podpisać rozmaite dokumenty, łącznie ze zleceniami bankowymi, polisą ubezpieczeniową na wypadek choroby, ubezpieczeniem na życie, wypłacanym najbliższej rodzinie. Zadysponowałem, że w przypadku mojej śmierci mama i Chaz wzbogacą się o pięć tysięcy dolarów każde.

Potem rozdzieliliśmy się, by zrobić zakupy dla naszych ukochanych rodzin. Wysłałem mamie i Malcolmowi „antyczny” zegar z połączanego brązu, jako spóźniony prezent ślubny, i trochę ślicznych dzieciennych ubranek z „Le Bon Point” mojej bratowej, która od niedawna była w ciąży.

Wracając do hotelu, wstąpiłem do „La Voix de son Maitre”, by po raz ostatni trochę tam poszperać. Nie potrafiłem naturalnie wyjść stamtąd, nie kupiwszy trzech kaset, z których jedną kazałem pięknie opakować dla Silvii.

*

Spacerowałem nerwowo na zewnątrz autobusu. Robiło się późno i groziło nam, że jeśli za chwilę nie ruszymy, nie zdążymy na samolot. Spoglądałem co chwila na zegarek, zastanawiając się, co u licha mogło się jej przytrafić.

- Ej, Matthew - zagrział François. - Wsiadaj wreszcie. Nie martw się, jeśli odjedziemy bez niej, dogoni nas limuzyną.

Ani mnie to nie rozśmieszyło, ani nie pocieszyło, usłuchałem go jednak.

Ledwie zdążyłem usiąść, na stopniach stanęła Silvia, za którą podążał jej zwykły cień.

Wyglądała rewelacyjnie w luźnym niebieskim swetrze, obcisłych džinsach i czarnych skórzanych butach z cholewkami. Opadła na sąsiednie siedzenie i poklepała mnie uspokajająco po ręce.

- Przepraszam, ale oni po prostu uwiesili się na telefonie. Nie mogłam skończyć rozmowy.

Pomyślałem, że lepiej nie pytać, kim są ci „oni”.

Gdy ugrzęźliśmy w korku na Place de l'Etoile, François zawołał:

- Przyjrzyjcie się dobrze, chłopcy i dziewczęta, zobaczycie przez okno więcej samochodów niż w całej Erytrei.

Zawsze wierny Nino zajmował sam ostatni rząd siedzeń. Gdy napotkałem jego wzrok, kiwnąłem do niego serdecznie, by się do nas przyłączył. On jednak udał, że tego nie zauważył. Był wciąż na służbie i nie zamierzał się spoufalać.

Na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, gdy rzuciliśmy nasze bagaże na wózki i zaczęliśmy popychać je w stronę stanowisk odprawy, cerber Silvii nadal obserwował ją z dyskretnej odległości. Gdy wreszcie dotarliśmy do kontroli paszportów, nastąpił oficjalny koniec jego służby. Podszedł do nas i przestępując z zakłopotaniem z nogi na nogę, ze wzrokiem wlepionym w czubki własnych butów, pożegnał się.

- Życzę signorinie Dalessandro szczęśliwej podróży. Przykro mi, że nie będę mógł dłużej się nią opiekować. Ale... - Umilkł, zbyt nieśmiały, by powiedzieć coś więcej.

- Jesteś naprawdę kochany - odpowiedziała ciepło. - Dziękuję za wszystko. Proszę pozdrowić serdecznie żonę i córeczkę. Arrivederci.

Spojrzał na mnie z ukosa, jak gdyby chciał powiedzieć: „Liczę na pana. Niech pan nie spieprzy roboty”. Po czym odwrócił się i ruszył powoli korytarzem.

- Będzie ci go brakowało? - spytałem szeptem.

- Nie - zaprzeczyła kategorycznie.

Wzięłem ją za rękę i dołączyliśmy spieszenie do reszty kolegów w sklepie wolnocłowym, kupując w ostatniej chwili Podstawowe artykuły, takie jak koniak i szkocką whisky. Maurice Hermans taszczył wielką dwulitrową butlę dżinu holenderskiego.

- Czy wiesz, że ten dżin spreparował po raz pierwszy z jagód jałowca holenderski profesor medycyny? - zauważył, lekko zakłopotany.

- Chyba masz go dosyć, żeby wyleczyć całą Erytreę - powiedziałem z lekkim rozbawieniem.

- No cóż, taka butelka była akurat w sprzedaży i pomyślałem, że może się przydać, gdyby pilotowi zabrakło paliwa.

Staliśmy całą jedenastką przy stanowisku odprawy, rozmawiając i udając, że wcale się nie denerwujemy.

Wreszcie zapowiedziano lot numer 224 Etiopskich Linii Lotniczych do Asmary. François tkwił w drzwiach samolotu niczym sierżant musztrujący rekrutów, upewniając się, że jego wszyscy wyszkoleni medycznie komandosi znaleźli się na pokładzie. Rzecz jasna, skomentował złośliwie zakup Maurice'a.

- Ta butelka jest groteskowa. To takie infantylne z pańskiej strony, doktorze Hermans. Mógł pan przynajmniej kupić coś przyzwoitego, na przykład courvoisier.

Skrytykował mój plecak, z którego wystawała duża prostokątna paczka.

- Czy mógłby mnie pan oświecić, co to jest, doktorze Hiller? Czekoladki Hersheya?

- Przykro mi cię rozczarować, François - odparłem - ale to mój fortepian. Opowiadałem ci o nim.

- Rzeczywiście - przypomniał sobie. - Czekam z niecierpliwością na to, że go nie usłyszę.

Przemknęliśmy obok niego z Silvią i z trudem precyzyjnie się wąskim, zatłoczonym przejściem do naszych foteli.

Gdy wreszcie zapięliśmy pasy, uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- Czemu się uśmiechasz? - spytałem.

- Bez powodu - odpowiedziała. - Jestem po prostu *piena di... sentimenti*.

„Przepelniona różnymi uczuciami”. To odzwierciedlało również stan moich uczuć. I również nie potrafiłem ich zdefiniować.

Sięgnąłem do kieszeni i wręczyłem jej pudełko.

- Do tego twojego nowomodnego japońskiego magnetofonu.
- Dziękuję. Czy są to „Największe przeboje Hillera”?
- To coś o niebo lepszego.

Rozerwała niecierpliwie papier i zobaczyła, że kupiłem jej wybór najbardziej znanych fragmentów z Orfeusza i Eurydyki, osiemnastowiecznej opery Glucka.

- Nigdy tego nie słyszałam - wyznała.
- Cóż, jest tam wyrażona w najdoskonalszy sposób w muzyce tęsknota kochanków.

Podawała mi magnetofon.

- Znajdź to dla mnie.

Założywszy słuchawki, przewinąłem szybko taśmę do określonego miejsca i zwróciłem jej magnetofon. Z zamkniętymi oczami zaczęła słuchać „*Che faro senza Euridice?*” („Cóż pocznę bez Eurydyki?”).

Mniej więcej w połowie chwyciła mnie za ramię i powiedziała:

- *Che faro senza te?* Cóż pocznę bez ciebie?

Pochyliłem się i pocałowałem ją. Długo. Powoli. Zmysłowo.

Nagle samolot z rykiem silników wystartował i wznosił się w wieczorne niebo.

Naiwnie sądziłem, że lot przyniesie nam chwilowe wytchnienie od naszego tyrana. Nie doceniłem jednak jego troskliwości.

Gdy zaczęto serwować posiłek, z głośnika rozległ się znajomy głos.

- Mówi doktor Pelletier. Chciałbym przypomnieć wszystkim podróżnym - a zwłaszcza mojej grupie - żeby nie zapomnieli o połknięciu profilaktycznie pigułek przeciwko malarii. Dziękuję. *Bon appetit.*

Dotarliśmy do Asmary o pierwszej w nocy. Wszyscy byliśmy podnieceni i kompletnie rozbudzeni.

Moje wspomnienia pierwszych chwil w czarnej Afryce są ogromnie żywe. Było właśnie tak - czarno. Gdy tylko nasz samolot wylądował, światła na pasie startowym zostały wygaszone i błyszczące w ciemności jedynie białka oczu i zęby sprawiały niesamowite wrażenie.

Odprawa celna była czystą formalnością i wkrótce wszyscy zostaliśmy upchnięci na platformie astmatycznej furgonetki. Trzy inne leciwe ciężarówki z całym naszym bagażem jechały za nami. Silvia drzemała oparta o moje ramię, podczas gdy samochód trząsał się na wertepach przez blisko dwie godziny.

Dojechaliśmy w końcu do Adi Shuma i naszym oczom ukazała się ogrodzona osada, złożona z wałących się prostokątnych chat z dachami ze stalowej falistej blachy, mających w najbliższej przyszłości służyć nam za dom.

Gdy miejscowi pracownicy rozładowywali nasz bagaż, François odwołał mnie na bok.

- Matthew, organizuję zakwaterowanie i jedynie z praktycznego punktu widzenia chciałbym wiedzieć, gdzie planujesz spędzać noc.

- Posłuchaj, François - odpowiedziałem szczerze - w tej chwili nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Czy nie możesz nas po prostu położyć na razie gdziekolwiek?

Wzruszył ramionami i odszedł, mrużąc coś pod nosem o „amerykańskich purytanach”.

Tak więc tę pierwszą noc spędziłem z Gillosem Naglerem, krępy, poważnie wyglądającym Francuzem w okularach w drucianej oprawce.

Rozpakowaliśmy się przy blasku świecy, ponieważ prymitywny, napędzany benzyną generator prądu obsługiwał jedynie zabudowania szpitalne.

Gilles zauważył moją dużą paczkę, którą zostawiłem nie rozpakowaną, i zdenerwował się.

- Co to jest? - spytał z nie ukrywanym niepokojem.

- Fortepian - odpowiedziałem.

- Pytam serio, nie wygłupiaj się.

- Wcale się nie wygłupiam. To po prostu sama klawiatura, bez właściwego instrumentu.

- To znaczy, że nie robi żadnego hałasu?

- Hałasu? Wypluj to słowo, Gilles. Jeśli coś „robi”, to tylko muzykę, i w dodatku jedynie w mojej głowie.

- Na wszelki wypadek muszę cię ostrzec - powiedział, wyjmując pięć lub sześć lornetek z torby. - Jestem fanatykiem schludności. Mam nadzieję, że ty również będziesz utrzymywał porządek w tym miejscu.

- Nie panikuj. Nie będziesz musiał mnie bez przerwy kontrolować. Nie należę do osób zaśmiecających miejsca publiczne.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie zerkać na jego kolekcję sprzętu optycznego, toteż poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

- Jeśli zastanawiasz się, na co mi to wszystko - powiedział z dumą - to lubię obserwować ptaki.

- To bardzo interesujące - zauważyłem i wpełzłem do łóżka, żeby je wypróbować i uciąć sobie krótką drzemkę.

- Jeśli mi szczęście dopisze, może zobaczę warzęchę czerwonicą.

- Brzmi wspaniale. Dobranoc.

Nie mam pojęcia, jak długo spałem, pamiętam natomiast, że wstałem o świcie. Nasz pokój był już nieprzyjemnie wilgotny i z każdą chwilą robiło się coraz gorzej.

Podszedłem do okna i spojrzałem po raz pierwszy na Erytreę w świetle dnia. To, co zobaczyłem, wprowadziło mnie w absolutne zdumienie.

- Mój Boże! - zachłysnąłem się z wrażenia.

Mój współlokator natychmiast się obudził, namacał okulary i wyskoczył z łóżka.

- Co? Co się stało? - spytał.

- Nic - odparłem. - Ale myślę, że wieczorem odbędzie się tu wielki koncert rockowy.

- Padło ci na mózg?

- Cóż - nabijałem się z niego dalej - na dworze stoi tłum fanów. Nie wyobrażam sobie, na co innego mogłoby czekać tylu ludzi. Ale Marta jest już na zewnątrz i chyba rozdaje programy.

Gilles gapił się zdumiony na kolumnę ludzi, która zdawała się nie mieć końca - wychudzonych, pokrytych kurzem, najwyraźniej chorych - tłoczących się przed drzwiami kliniki.

- Jezu! - wykrztusił. - Czy oni nie wiedzą, że nie zaczynamy przed siódmą?

- Nie wszyscy wzięli ze sobą swoje rolexy, Gilles. W każdym razie zanoszą się, że przez cały dzień będziemy mieli ręce pełne roboty.

- Masz rację, Hiller. Marta zaczęła już chyba klasyfikować pacjentów. Muszę wypić moje dwie poranne kawy. Potem możemy natychmiast zaczynać.

Był trochę spięty, ale wyraźnie oddany. Podczas gdy się ubieraliśmy i goliliśmy pośpiesznie, Gilles opowiadał z entuzjazmem o ptakach. Jak to ma nadzieję w czasie naszej „wizyty” wypatrzeć takie skrzydlate cuda jak żuraw koroniasty czy - nie żartuję - bąkojad żółtodzioby. Paplał na ten temat przez całą drogę do „refektarza” - dużego (w porównaniu z naszą chatą) drewnianego budynku przypominającego stodołę, najwyraźniej zbudowanego w wielkim pośpiechu.

Prawie cała reszta siedziała już przy długim kulawym stole, łącznie z Silvia, która pomachała do mnie, wskazując miejsce obok siebie.

Po drugiej stronie znajdowało się coś w rodzaju kuchni z piecem na drewno, gdzie stało kilka powgniatanych sta-lowych garnków. Zapewniono nas, że miejscowe kucharki znają podstawowe zasady higieny i gotują wszystko dwukrotnie przed podaniem. Czy zostały poinstruowane co do reszty spraw, miało się dopiero okazać.

Nasze śniadanie leżało na ladzie: trochę owoców papai, banany i owczy ser, do tego injara, rodzaj gumowatej bułki, pieczonej z teff, miejscowego zboża. DzbANEK z kawą wyglądał tak, jak gdyby w poprzednim wcieleniu był baryłką olejem jadalnym (rzeczywiście był). Usiadłem obok Silvii.

- Jak się czujesz, Silvio?

- Jestem śmiertelnie przerażona. A ty?

- Hm, powiedziałbym, że przede wszystkim zniecierpliwiony. Chcę stąd wyjść i wreszcie zacząć. Przecież po to tu jesteśmy, prawda?

Skinęła bez słowa głową.

Pochłaniając łapczywie jedzenie, przyglądałem się twarzom kolegów i wyczuwałem w nich energię podobną do mojej.

Tylko Silvia wydawała się przygnębiona.

- Czy coś się stało? - spytałem.

Pokręciła przecząco głową.

- Nagle kompletnie wywietrzały mi z głowy objawy schistosomiasis.

- Daj spokój - powiedziałem, obejmując ją ramieniem. - Znałaś je na pamięć tamtego wieczora w „Café de Flore”. Denerwujesz się bez powodu. Poza tym, te choroby świecą w twojej głowie jak neonowe tablice ogłoszeń na Times Square. Wierz mi, nie możesz ich zapomnieć.

Uśmiechnęła się z przymusem, po czym przypomniała sobie, że nie przedstawiła mnie młodemu Tigrejczykowi, siedzącemu po przeciwnej stronie stołu. Rozmawiała z nim, zanim się zjawiłem.

- Pozwól, Matthew, to jest Yohannes. Mam szczęście. Będzie pracował ze mną jako pielęgniarz i mówi po angielsku najlepiej z miejscowych.

Młody mężczyzna rozpromienił się, słysząc tę pochwałę.

- Pani doktor bez wątpienia się myli - powiedział. - Nie jestem aż tak dobrym lingwistą.

To, co do tej pory usłyszałem, świadczyło, że ma rację. Miałem nadzieję, że przynajmniej będzie umiał przetłumaczyć pacjentom istotne pytania - a zwłaszcza przekazać odpowiedzi.

- A gdzież to nasz wielki człowiek? - zauważyłem nagle nieobecność François. - Nie powiesz mi chyba, że zasnął?

- Chyba żartujesz - odezwała się Denise. - François i Maurice są na sali operacyjnej, odkąd tylko przyjechaliśmy. Kilku poważnie rannych partyzantów czekało już na naszą pomoc i François nie chciał ryzykować przetrzymywania ich do rana.

- Na ich szczęście - powiedziałem, po czym wstałem i oświadczyłem, nie zwracając się do nikogo w szczególności: - Podążmy za ich przykładem i chwyćmy byka za rogi.

Na odchodnym Marta zawołała:

- Pamiętajcie, że tutaj nie istnieje coś takiego jak lunch. Możecie wpadać, by cokolwiek przegryźć, gdy będziecie mieli chwilę czasu. Kolacja jest o wpół do ósmej, a spotkanie zespołu o dziewiątej. Wierzcie mi, dzień jest całkowicie wypełniony.

- Wierzę jej - powiedziałem cicho do Silvii, gdy wyszliśmy na palacę promienie słońca i ruszyliśmy w kierunku poradni dla pacjentów (nędznej chałupy), do której zostaliśmy przydzieleni razem z Denise.

Pocałowałem Silię w czoło, ona zaś ścisnęła kurczowo moją rękę.

- Czy mogę zwrócić się do ciebie, gdybym potrzebowała konsultacji?

- Jasne... ale nie będziesz potrzebowała.

Czemu Silvia poddała się tak nietypowej dla niej tremie? Głowiłem się nad tym dokładnie przez dwie i pół minuty, czyli w przybliżeniu tyle, ile zajęło mi dojście do wyznaczonego gabinetu, włożenie białego fartucha, umycie rąk i zdiagnozowanie mojego pierwszego przypadku gruźlicy, nawet bez przykładania stetoskopu.

Ta mała dziewczynka była tak ewidentnie zarażona, że po jej oddechu rozpoznałem zmiany w płucach....

Od tej chwili straciłem rachubę czasu. Przez następne trzy godziny przed moimi oczami przewinęło się więcej przypadków egzotycznych chorób niż pod-czas całej mojej dotychczasowej praktyki lekarskiej. Zetknąłem się chyba ze wszystkimi „rzekomo wygasłymi” chorobami, o których mówił Jean-Michel Gottlieb, nie wyłączając trądu.

Moją pielęgniarką była doświadczona weteranka o imieniu Aida. W przeciwieństwie do słynnej operowej heroiny można było o niej powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest „boska”.

Była drobna i silna. Muszę przyznać, że najpierw wydała mi się zbyt agresywna wobec chorych. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, że jej zachowanie ukształtowały lata doświadczeń. Albowiem wielu pacjentów, którzy próbowali stawiać się wobec innych, posłusznie podporządkowywało się jej pokrzykiwaniom, a niekiedy i kuksańcom.

Pomogła mi również zacząć naukę języka tigrejskiego. Pierwszy słowem, którego się nauczyłem, było yekanyela - dziękuję - najsympatyczniejsze słowo dla lekarza.

Pod koniec dnia potrafiłem już spytać, gdzie boli, i zorientować się, od jak dawna pacjent cierpi. A gdy dziękował mi, pełen wdzięczności, potrafiłem odpowiedzieć: „Proszę bardzo”.

Byłem tak zajęty, że dopiero wówczas, gdy przerwałem pracę na chwilę, by wypić obowiązkowy litr wody, dostrzegłem, jak straszliwie jestem spocony.

Z jakiegoś powodu przypomniła mi się rozmowa kwalifikacyjna w Paryżu (miałem wrażenie, że odbyła się całe lata świetlne temu) i żartobliwe pytanie François, czy będzie mi brakowało takich hedonistycznych rozkoszy cywilizacji, jak telewizja czy McDonalds. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że nie wspomniał o czymś takim jak klimatyzacja.

To jedyne ustępstwo na rzecz wygody człowieka istniało na sali operacyjnej (może dlatego sprytny zabojad ją zaanektował).

Reszta szpitala miała otrzymać urządzenia klimatyzacyjne „w niedalekiej przyszłości”. Co w dokładniejszym tłumaczeniu oznaczało: „nigdy”.

Gdy rozkoszowałem się chwilą wytchnienia, której sobie udzieliłem, nagle przypominałem sobie o Silvii.

Zostawiłem Aidę, by sprawowała nad wszystkim pieczę podczas krótkiej przerwy. Nie potrafiłem nawet wymówić słowa „jedzenie”, albowiem niemal wszyscy pacjenci znajdowali się na krawędzi wycieńczenia głodowego.

Słońce, ognista kula, było właśnie w zenicie - zaczynał się trzygodzinny okres, podczas którego personelowi nie wolno było wychodzić na zewnątrz, chyba że bardzo blisko. I tylko w razie absolutnej konieczności.

Oczywiście pacjenci nie mieli wyboru, musieli siedzieć w straszliwym żarze, osłaniając się w miarę możliwości częściami zniszczonego ubrania. Cierpieli w milczeniu i - w każdym razie większość z nich - posłusznie czekali na swoją kolejkę, by poddać się badaniu ubranych na biało lekarzy z innego świata.

Matki siedziały bez ruchu niczym posążki z brązu, karmiąc kwilące niemowlęta, a nad nimi brzęczały bezustannie muchy. Obok stali w milczeniu starzy, wychudzeni ludzie, zgarbieni pod brzemieniem lat.

Wielu wędrowało przeszło pół dnia, żeby się tu dostać, i teraz byli przygotowani na długie oczekiwanie. Oznaczało to, że będą spali tu, gdzie stoją, i dostawali tylko wodę, symboliczną miskę owsianki i słowa pocieszenia: „następnym razem będzie lepiej”.

Gdy spojrzałem na ich twarze - choć usiłowałem tego nie robić - serce mi się ścisnęło.

Kiedy wszedłem do budynku, w którym pracowała Silvia, zastałem tam kompletny chaos. Krzyki, piski, przepychaniu. W jednej chwili zrozumiałem, że przy całej swej elokwencji Yohannes nie potrafił poradzić sobie w przypadku fizycznego naporu bardziej stanowczych pacjentów, z czym Aida nie miała najmniejszych kłopotów.

Moją uwagę przyciągnęły natychmiast jęki i przekleństwa wijące się z bólu kobiety. Następnie zobaczyłem Denise, która zszywała ranę szarpaną brzucha zawodzącej pacjentce przytrzymywanej przez ochotników.

- Co ty, u diabła, robisz? - spytałem. - Nie możesz dać jej trochę więcej lignokainy?

- Nie! - syknęła Denise przez zaciśnięte zęby. - Zabrakło mi kilka minut temu.

- Zaraz ci przyniosę - krzyknąłem.

Wlepiała we mnie płonący gniewem wzrok.

- Skończyła się w ogóle, ty tępy amerykański sukinsynu! A teraz zostaw mnie w spokoju. Myślisz, że mnie to bawi?

- Gdzie jest Silvia? - spytałem z zawstydzeniem.

- Nie wiem, prawdopodobnie w salonie piękności - parsknęła ze złością Denise. - Jeśli ją znajdziesz, powiedz, żeby natychmiast przytargała tu z powrotem swój tyłek i zaczęła wypełniać obowiązki. - Jej ton zmienił się nagle, jęknęła bezradnie: - Proszę, Matt. Jestem u kresu wytrzymałości.

Widziałem, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Najwyraźniej z jakiegoś niewiadomego powodu Silvia zostawiła ją samą na placu boju. Co się, u licha, stało? Pośpieszyłem do refektarza i w wejściu niemal zderzyłem się z François.

Z wyrazu jego nie ogolonej twarzy jasno wynikało, że nie jest w nastroju do żartów. Musiał przed chwilą wyjść z sali operacyjnej.

- Jeśli szukasz swojej przyjaciółki, to korzysta właśnie z najdłuższej w historii przerwy na kawę - powiedział z niesmakiem. - Powinienem był wykazać więcej rozsądku. Ale łapówka Dalessandra była zbyt ordynarna, bym potrafił przejść nad nią do porządku dziennego. Myślę, że cała ta sytuacja przerasta rozpieszczoną, przewrażliwioną panienkę.

- O czym ty mówisz?

- Ona o tym nie wie, ale kiedy zgłosiła się do nas, jej ojciec zaproponował milion dolarów...

- Jeśli ją zabierzecie?

- Nie, jeśli ją odrzucimy. To mnie tak cholernie wkurzyło, że ją przyjąłem. A teraz, przepraszam, ale mam mnóstwo pracy, zresztą ty również.

I wyszedł wściekły, nie mówiąc już ani słowa.

Zauważyłem Silvię siedzącą w drugim końcu stołu, z głową wspartą na dłoniach, wpatrzoną żałośnie w filiżankę z kawą. Próbowałem opanować gniew, ale czułem się zawiedziony i, tak, zażenowany. Z jej powodu i z mojego.

Ale gdy podszedłem bliżej, uświadomiłem sobie, że François z pewnością już nieźle zmył jej głowę i kolejne sztorcowanie jest jej najmniej potrzebne. Najwyraźniej przechodziła kryzys wiary we własne siły i potrzebowała wsparcia.

- Cześć, Silvio - powiedziałem cicho. - Chcesz porozmawiać?

Pokręciła przecząco głową.

- Daj spokój, poczujesz się lepiej, gdy wyrzucisz to z siebie.

Milczała przez chwilę, po czym wreszcie wydusiła z oporami:

- Matthew, tak bardzo mi wstyd. Przez wszystkie te miesiące byłam taka pewna, co chcę robić. Jednak w chwili, gdy zobaczyłam tamte dzieci, omal mi serce nie pękło, załamalam się.

A więc to tak. Straciła dystans, który powinien cechować każdego lekarza. Czy nie zdawała sobie sprawy, że nie czas teraz na współczucie?

- Powinnam być twardsza - ofuknęła samą siebie.

- Ale wówczas nie byłabyś sobą - powiedziałem cicho.

- Za to byłabym dzielniejsza. Ci ludzie żyją w piekle, a ja nie potrafię nawet spojrzeć im w oczy jako osoba postronna.

- Przestań już. François oczekiwał zbyt wiele pierwszego dnia. A przy okazji, czy pijesz regularnie wodę?

Unikała mojego wzroku.

Dalsze strofowanie nie miało sensu. Podeszedłem tylko do półki i przyniosłem Silvii dwie litrowe butelki wody.

- Wypij teraz jedną do dna i nie zapomnij potem o drugiej. A co się tyczy innych spraw, mam ci tylko jedno do powiedzenia.

- Tak? - Spojrzała na mnie z niepokojem.

- Dorośnij.

Z jakiegoś powodu moja rada wywołała uśmiech na jej twarzy.

Gdy wreszcie w dziesięć minut później wychodziliśmy z jadalni, gotowa była podjąć najtrudniejsze medyczne wyzwania.

Tuż za drzwiami zarzuciła mi ramiona na szyję i powiedziała:

- Dziękuję, Matthew.

Po czym pocałowała mnie z namiętnością, przy której nasz pocałunek w samolocie wydawał się jedynie przyjacielskim muśnięciem warg.

Był to niezwykle dzień.

W przerwach między operowaniem ran postrzałowych u partyzantów zdiagnozowałem i poddałem leczeniu więcej pacjentów, niż zdołałem policzyć. Wielu z nich umarłoby, gdybyśmy nie udzielili im pomocy w stosownym momencie.

Poza tym nasz przyjazd zapobiegł ślepotcie u co najmniej tuzina dzieci z jaglicą. Ta zdradziecka infekcja oczu, zawsze najgorsza tam, gdzie szwankuje higiena, kosztowałaby je wzrok. Ale dzięki zastosowaniu w porę doxycykliny (takie proste - kto potrafi wyobrazić sobie życie bez antybiotyków?) ich stan uległ zdecydowanej poprawie.

Nigdy nie zapomnę ostatniego przypadku jaglicy, z którym zetknąłem się tamtego dnia. Pacjentem był pogodny mały chłopczyk o imieniu Dawit, który podczas godzin oczekiwania nauczył się kilku angielskich słów. Bawiło go zwracanie się do mnie per „dokta” w różnych tonacjach i za każdym razem wybuchał radosnym śmiechem. Jego stan był poważny, ale jeszcze nie nastąpiło zbliznowacenie spojówki ani rogówki. Seria zabiegów z zastosowaniem doxycykliny wyleczyłaby schorzenie, zapobiegając trwałym uszkodzeniom.

Nie mieliśmy jednak pod ręką maści i poleciłem Aidzie by wytłumaczyła matce Dawita, że ma przyprowadzić go nazajutrz rano.

Ale następnego dnia nigdzie nie można było znaleźć matki i syna.

Okazało się też, że nie mamy nawet jednej tubki doxycykliny. Od chwili gdy uzupełniliśmy jej zapasy i przez resztę mojego pobytu w Afryce szukałem tego małego chłopca, aby uratować go przed ślepotą. Nigdy go nie znalazłem.

Myślę, że najlepszymi lekarzami są ci, którzy pamiętają swoje niepowodzenia na równi z sukcesami. To ich uczy niezbędnej pokory. Dlatego, gdy wspominam Erytreę, myślę o tych, których nie uratowałem. O małym Dawicie.

I o Silvii.

Rozdział 9

Kolacja przebiegała w nastroju przygnębienia równego intensywnością porannemu ożywieniu.

Oczywiście, ostrzegano nas wiele razy, że jedziemy tam, gdzie właściwie brakuje wszystkiego. Nikt z nas jednak, nawet nasz zaprawiony w walce przywódca, nie widział nigdy, żeby ludzie żyli w tak skrajnej nędzy i zaniedbaniu. Zastanawiałem się, czy uda mi się jeszcze kiedykolwiek pójść na zwykłą pizzę, skoro wiem, że tak wiele dzieci płacze nocami z głodu w ramionach matek.

Dzień był tak gorączkowy, że ledwie pamiętałem o problemie, który miała Silvia. Po południu uspokoiła się i stała się jedną z nas. Jej diagnozy były pewniejsze, zachowanie dodawało pacjentom otuchy. Prawdę mówiąc, w pewnym momencie naprawdę się popisała.

Denise badała sześciolletnią dziewczynkę, która tydzień wcześniej, podczas pobytu w jej wiosce ambulansowego zespołu medycznego ONZ, była leczona antybiotykami z powodu infekcji w obrębie klatki piersiowej. Teraz przywieziono ją w pośpiechu do naszej kliniki, bladą, spoconą, z ledwie wyczuwalnym, szybkim, nitkowatym pulsem. Denise, która nawet przez stetoskop nie mogła dosłyszeć bicia serca, przeraziła się i zawołała Silvię, żeby osłuchiwała dziecko.

- Boże! Dawajcie tu natychmiast ultrasonograf - zareagowała bezzwłocznie Silvia.

- O czym ty mówisz, Dalessandro? Przecież to infekcja wirusowa.

Silvia tylko machnęła ręką i powtórnie zwróciła się do pielęgniarka:

- Pośpiesz się, Yohannes.

Wybiegł posłusznie z sali.

- Daj spokój - zaprotestowała Denise. - Nie masz zielonego pojęcia, co robisz, prawda?

- Zamknij się, Lagarde. Chyba na coś wpadłam.

Po kilku minutach wrócił Yohannes, pchając prymitywny ultrasonograf, który przywieźliśmy ze sobą. Silvia włączyła go szybko i przytknęła sondę do piersi dziecka. Jej podejrzenia natychmiast się potwierdziły.

- Wiedziałam. Ma płyn w osierdziu, który powoduje ucisk na serce. Nic dziwnego, że niczego nie słyszałaś. Jesteś pewna, że nie mamy żadnych środków do znieczulenia miejscowego?

- Absolutnie.

- Cholera, będę musiała wkluć się na żywca.

Poleciała Denise, by pomogła Yohannesowi przytrzymać małą pacjentkę, i powiedziała półgłosem, próbując dodać sobie odwagi:

- No, Dalessandro, nie masz wyboru. Po prostu musisz to zrobić szybko i zdecydowanie.

W chwilę później rozległ się cichy okrzyk bólu, gdy Silvia wprowadziła igłę poniżej mostka dziewczynki i błyskawicznie ściągnęła trochę mętnego płynu. W ciągu kilku sekund ucisk ustąpił i dziecko zaczęło oddychać normalnie.

Silvia pochyliła się i pogłaskała małą po głowie.

- Przepraszam - powiedziała cicho - ale musiałam to zrobić. Wiem, że bolało, ale nie miałam wyjścia.

Denise pozostało tylko jedno.

- Świetna robota, Dalessandro - rzekła z podziwem.

Do czasu gdy François zwołał wieczorną naradę naszego nadającego ze zmęczenia zespołu, wszyscy już dowiedzieli się o natchnionej akcji Silvii.

- Załatwię to krótko, moi drodzy - powiedział - ponieważ wiem, że wszyscy wręcz się palicie, żeby zakosztować miejscowego nocnego życia.

Byliśmy zbyt skonani, żeby nagrodzić go nawet symbolicznym śmiechem.

- W każdym razie - dodał - jedno musimy koniecznie dzisiaj omówić, a mianowicie, w jaki sposób najlepiej wykorzystać tę niewielką ilość lekarstw, jaką zostawili nam złodzieje.

- Czy powiedziałaś: „złodzieje”? - spytał ze zdumieniem Maurice.

- Cóż, tutaj nazywają ich shifta, staruszku. Ale obojętnie, jak ich nazwiesz, są tymi samymi czarnorynkowymi spekulantami, którym - dokądkolwiek pojedziemy - zawsze udaje się jakimś sposobem zwędzić lwią część naszych medykamentów.

- Z całym szacunkiem, François... - zacząłem protestować.

- Przestań chrzanić, miałeś na myśli: bez szacunku.

- A więc, bez szacunku, François. Skoro wiedziałeś, że spróbują nas ograbić, czemu nie postawiłeś straży przy naszych ciężarówkach?

- Za kogo ty mnie, do diabła, uważasz, Hiller? Sądzisz, że tego nie zrobiłem? Niestety, wczoraj „strażnicy” sami ukradli całą cholerną ciężarówkę.

Gdy już sprawił, że poczułem się jak rozgnieciona pluskwa, zwrócił się do reszty:

- Musimy bardzo starannie ustalać kolejność zabiegów chirurgicznych.

Gdy ręcznie napisana lista zaczęła krążyć wśród nas, pomruki niezadowolenia stawały się coraz głośniejsze. Maurice był wściekły.

- Nie wierzę! - wybuchnął, uderzając dłonią w kartkę. - Z tego, co widzę, nie mamy lignokainy ani erytromycyny i zaledwie połowę przywiezionego halotanu. Co możemy zoperować, François? Kilka wrastających paznokci?

Zauważyłem, że oprócz tych ważnych leków zniknęły dosłownie wszystkie tubki oftalmicznych antybiotyków. W nie dającej się przewidzieć przyszłości Dawit i dziesiątki jemu podobnych, którym będziemy codziennie stawiać diagnozy, odejdą z kwitkiem.

- Kiedy możemy się spodziewać uzupełnień? - spytałem ze złością.

- Dopiero gdy naszym chłopcom w Paryżu wypłaca ubezpieczenie - odpowiedział François. - I nie pieprz mi o biurokracji. I tak jesteśmy w cholernie szczęśliwym położeniu, że w ogóle mamy ubezpieczenie.

W tym momencie Silvia podniosła rękę.

- Tak, panno FAMA? - spytał, nie próbując ukrywać irytacji.

- Czy mogę zatelefonować?

Nie czekając na odpowiedź François, inni wykrzyknęli zgodnym chórem:

- Nie!

- Po to, żeby się dowiedzieć, kiedy masz najbliższy powrotny lot, Dalessandro? - parsknęła z pogardą Denise.

Ale po spędzeniu niemal czterech bitych godzin w ogniu walki, Silvia przestała być mimozą, którą widzieli przy śniadaniu. I kompletnie jej nie obchodziło, jakie ma notowania w sondażu opinii publicznej.

- Wiem, że nie cieszę się dzisiaj zbytnią sympatią, i przepraszam wszystkich, a zwłaszcza Denise za to, że nawaliłam dzisiaj rano. Ale moja prośba o pozwolenie skorzystania z telefonu jest podyktowana wyłącznie chęcią niesienia pomocy.

- Słucham - powiedział François, krzyżując ramiona.

- Chciałabym zadzwonić do ojca.

Rozległy się kolejne pomruki, gwizdy i okrzyki. Zespół wyraźnie znalazł sobie kozła ofiarnego.

Miałem po dziurki w nosie ich pełnej samozadowolenia obłudy- Wstałem i opierając się o stół, powiodłem po kolei wzrokiem po ich twarzach.

- Dobra, mądrale, zamknijcie się. Pozwólcie jej mówić.

Podziałało. Silvia mogła przedstawić swój plan.

- Jak wszyscy wiecie, mój ojciec, brudna kapitalistyczna świnia, ma kontakty z innymi biznesmenami, między innymi w przemyśle farmaceutycznym, i być może udałoby mu się przyspieszyć transport niezbędnych leków.

Pierwszą reakcją była kompletna cisza. Wszyscy utkwili wzrok w naszym przywódcy, który, o dziwo, zareagował dobrodusznie.

- Cóż, jak mogłoby mówić etiopskie przysłowie: „Trzeba shifta, żeby zrozumiał shifta”. Może więc damy szansę tatusiowi-grubej rybie?

Wyjął z kieszeni klucz i podał go Silvii.

- Skoro już dzwonisz, to może przy okazji poprosisz go, żeby przysłał kilka skrzynek chianti riserva?

Silvii udało się wyjść z pokoju z podniesioną głową, wiedziała bowiem, że po jej wyjściu koledzy użyją sobie na niej bezlitośnie.

- Typowa burżujka - powiedziała złośliwie Denise. - Biega ze wszystkim do tatusia.

- Daj spokój, zejdź z niej - warknąłem. - Zważywszy na szacunek, jakim już ją darzysz, czy nie uważasz, że wyrwanie się spod wpływu ojca wymagało sporo odwagi? Czy żadne z was nie przeżyło chwili obawy czy niepewności? Nadal myślę, że Silvia naprawdę ma swoje zalety.

- Tak - wtrąciła ironicznie Marta. - Wiem nawet jakie. Pieniądze.

Wejście Silvii przerwało pogardliwe śmiechy. Wszyscy nagle umilkli.

- Dziękuję - powiedziała cicho do François, oddając mu klucz. - Ojciec wie, do kogo zadzwonić. Możemy się spodziewać zastępczego transportu leków pod koniec tygodnia.

- Brawo! - ucieszył się mój współlokator, Gilles. - Świetnie się spisałaś, Silvio. A propos, twoja popołudniowa diagnoza była cholernie trafna.

Jego inicjatywę poparło kilka uprzejmych, acz powściągliwych pomruków uznania. Było to dalekie od przyjacielskiej reakcji, ale przynajmniej nagonka na Silvię się skończyła.

- No, dobra, chłopcy i dziewczęta - oznajmił François - zebranie dobiegło końca, idźcie się trochę przespać.

W chwilę później zostaliśmy z Silvią sami. Każde z nas trzymało w ręku świecę. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Dziękuję, że stanąłeś w mojej obronie.

- A ja dziękuję za to, co zrobiłaś. To nam bardzo pomoże.

Wyglądała prześlicznie w migotliwym blasku świecy.

- Co słyhać w Mediolanie? - spytałem, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

- Wszystko w porządku...

- Jak się miewa Nico?

- Nie pytałam.

- Ojciec ci nie powiedział?

- Jeśli chcesz znać prawdę, był szczęśliwy, wypytyjąc o mnie i dowiadując się, jacy wszyscy jesteście.

Nagle przyszedł mi na myśl Nino. Jaki raport przekazał ojcu Silvii? I jak wiele jego pracodawca już o mnie wiedział?

Postanowiłem nie rozmyślać nad tym dłużej. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Chodź, Silvio, robi się późno. Zdmuchnij świecę.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytała, jak gdyby moje spojrzenie parzyło ją w policzek.

- Ponieważ chcę cię zapamiętać właśnie taką.

Po czym, nie mówiąc już ani słowa, zdmuchnęliśmy małe płomyki i otoczyła nas ciemność.

Objąłem Silvię i zapaliłem moją latarkę. Ruszyliśmy powoli w stronę jej chaty.

Na terenie naszej małej osady panowała absolutna cisza, jedynie z daleka dolatywały głosy nocnych ptaków, których nazwy znał wyłącznie Gilles i jemu podobni. Chaty i drzewa były tylko cieniami w poświacie księżyca, temperatura zrobiła się niemal znośna.

- Wiesz co? - odezwała się szeptem. - Dzień, który w swym zaraniu był najgorszym dniem w moim życiu, zakończył się wspaniale. I to wyłącznie z jednego powodu. - Ścisnęła moje ramię. - Jak mam ci dziękować?

- To naprawdę drobiazg - odpowiedziałem.

Staliśmy przy drzwiach do jej chaty. Spojrzała na mnie.

- Nie chcę, żeby ten dzień się skończył.

W chwilę później znaleźliśmy się w środku, obejmując się żarliwie w blasku świecy.

Nie potrafię wyrazić słowami, co czułem, dotykając i całując Silwię Dalessandro, nie wiem, jak opisać pełnię moich doznań, gdy połączyliśmy się w uścisku.

- Muszę ci coś wyznać, Matthew. - Oderwała się nagle ode mnie. - Strasznie się boję. Nigdy przedtem nie byłam z mężczyzną.

Byłem autentycznie zdumiony. Nigdy nie uwierzyłbym, że dziewczyna tak bywała jak Silvia jest dziewicą. Jednak wyraz jej twarzy świadczył, że mówi prawdę. To dało mi wiele do myślenia na temat tego, czym dla niej jestem.

I tak kochaliśmy się po raz pierwszy w małym pokoiku, w walącej się chacie, w zapadłej etiopskiej wiosce.

Rozdział 10

To nie był sen.

Obudziłem się chyba w środku nocy przy boku Silvii, Oddychała spokojnie w moich ramionach. Ledwie mogłem w to uwierzyć. Wyglądała piękniej niż zwykle. Pragnąłem ją pocałować, a jednocześnie nie chciałem zakłócić jej snu.

Spojrzałem na zegarek - było po piątej. Przez prowizoryczne okiennice widziałem pierwsze zwiastuny jutrzeńki na ciemnym niebie. Musiałem wracać.

Mimo że ubierałem się najciszej, jak potrafiłem, Silvia otworzyła nagle oczy, wsparła się na łokciu i przyjrzała mi się w *chiaroscuro* poranka.

Najpierw patrzyła bez słowa, potem powiedziała:

- Nie.

- Co nie?

- Nie możesz odejść, Matthew.

Przybliżyłem twarz do jej twarzy.

- Czy chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli?

- A czy to ma jakieś znaczenie? I tak mam to wypisane na twarzy.

- Tak. - Uśmiechnąłem się. - Czy ja również?

Skinęła twierdząco głową.

- Wobec tego możesz zostać.

- Nie. Nie chcę, żeby Gilles był zazdrosny - zażartowałem.

Gdy się roześmiała, wyzwoliłem się spod jej uroku i zmusiłem się, żeby zrobić to, co uważałem za właściwe.

- Matthew.

Zatrzymałem się i powiedziałem cicho:

- Nie martw się, dopiero zaczynamy nowy rozdział. Do zobaczenia później.

Gilles poruszył się, gdy wszedłem do chaty. Sięgnął szybko po okulary, ale uspokoilem go.

- Nie panikuj, jest jeszcze wcześnie. Wyszedłem po prostu na mały spacer.

- Ach tak, oczywiście - powiedział tonem, którego nie potrafiłem rozszyfrować. - I nie przejmuj się, nie przeszkodziłeś mi. Trenuję wczesne wstawanie, by obserwować ptaki. Skoro nie śpisz, może wybierzesz się ze mną?

Podziękowałem mu za miłe zaproszenie i obiecałem, że skorzystam innym razem. Czułem dla niego wdzięczność za to, że albo nie miał pojęcia, co się dzieje, albo był na tyle wielkoduszny, że udawał. Tak czy owak, miałem nadzieję, że wypatrzy tego ranka rajskiego ptaka szczęścia.

Ta komedia trwała przez prawie czterdzieści osiem godzin. Nasi koledzy zdawali się nie zauważać żadnej zmiany w naszym zachowaniu, a my byliśmy szczęśliwi, że zostawiono nas samym sobie.

Trzeciego ranka François wysłał nas oboje furgonetką na wizytę do niedomagającego wodza. Powinienem był się domyślić, że kieruje się wspaniałomyślnością, pozwalając mi zabrać przyjaciółkę tam, gdzie bez wątpienia wystarczyłby jeden lekarz.

Gdy wróciliśmy, powitał nas szerokim uśmiechem.

- Kochani, musiałem was przenieść. Od tej chwili mieszkanie oboje w chacie numer jedenaście. Oczywiście jeśli nie macie nic przeciwko temu...

Wymieniliśmy z Silvią spojrzenia.

- Nie - odpowiedziałem za nas oboje. - Jakoś się do tego zmusimy.

Nagle mnie olśniło.

- Zaraz, zaraz, przecież jest tylko dziesięć chat.

- No cóż, możesz mi wierzyć lub nie, Hiller, ale już przenieśliśmy twoje rzeczy do najnowszej rezydencji w naszej osadzie.

- Moje też? - spytała Silvia z pełnym rozbawieniem zdziwieniem.

- Nie, pomyśleliśmy, że będziesz wołała zrobić to sama.

Oczywiście, po godzinach pracy. W każdym razie część naszych wracających do zdrowia pacjentów ma fantastycznie zręczne dłonie. Zbudowali tę chatę w rekordowo szybkim czasie, gdy wyjechaliście dzisiaj rano.

Z pewnością na to właśnie wyglądało. Budowlę można było zaliczyć do architektonicznej klasyki - stanowiła połączenie prostokątnego kształtu budki telefonicznej z łagodną pochyłością wieży w Pizie. Ale wszystko to niewiele znaczyło wobec absolutnie

nieocenionej zalety, a mianowicie, była oddalona od magazynu oraz od innych chat. Poza tym, choć nader skromny, był to nasz pierwszy dom. Staliśmy z Silvia, trzymając się za ręce i przyglądając się naszemu świeżo wzniesionemu schronieniu.

- Jesteś szczęśliwa? - spytałem.

Uśmiechnęła się.

- Powiedziałam ci, że wszyscy natychmiast wyczytają to z mojej twarzy.

- Świetnie. Zaoszczędzi nam to przynajmniej kłopotu informowania ich.

W tym momencie dobiegł nas z daleka głos François:

- Chciałbym wam przypomnieć, że nie może to być dla was pretekstem, by spóźnić się po południu do pracy.

Nie trzeba dodawać, że nasze noce pozostawiły niezatarte wspomnienie.

I że byliśmy bardzo szczęśliwi.

Jednakże w bezlitosnym upale nie mogliśmy nie zwracać uwagi na otoczenie.

Ziemia była straszliwie spieczona.

Odnosiliśmy wrażenie, że oprócz buntowniczo odważnych fioletowych kwiatów drzew jacaranda nic tu nie kwitło ani nie rosło. Krajobraz był przytłaczająco monochromatyczny, matowobrazowy z ledwie dostrzegalną domieszką czerwieni. W chwilach refleksji wyobrażałem sobie czasami, że jest to rezultat wchłonięcia przez ziemię krwi zabitych.

Do naszego szpitala dobiegały niekiedy odgłosy strzelaniny. Były niepokojące, albowiem zwiastowały rychłe przybycie ofiar na salę operacyjną. Oczywiście, nie pytałem o przynależność polityczną moich rannych pacjentów. Niektórzy z nich byli tak młodzi, że czasami wątpiłem, czy sami ją znają. Co tylko świadczyło dobitnie o bezsensowności wojny.

Ojciec Silvii potrafił poruszać odpowiednie tryby. Nim zakończył się nasz pierwszy tydzień w Erytrei, helikoptery z jego przedsiębiorstwa badania złóż ropy naftowej na Dahlak Islands przywiozły bezpiecznie nowy transport leków z lotniska w Asmarze prosto na nasz teren. Pacjenci zgromadzeni przed kliniką powitali je radosnymi okrzykami i odtańczyli entuzjastyczny taniec na cześć czarodziejskich ptaków.

My zaś uczuliśmy ten fakt wzmożoną liczbą operacji. I zastosowaniem kuracji doxycyliną chorym na jaglicę (niestety, nie licząc Dawita).

Jedynie tempo naszej pracy czyniło ją do zniesienia. Nie mieliśmy po prostu czasu bać się straszliwych chorób, z którymi się stykaliśmy. Co innego oglądać ilustracje w książce, a zupełnie co innego zobaczyć taki przypadek in vivo na rażąco zeszpeconej twarzy dziecka, która przedtem zapewne była anielsko śliczna.

Poza godzinami pracy spędzaliśmy z Silvia każdą wolną chwilę razem. Monotonia życia kompletnie wyczerpywała naszych kolegów - każdy dzień był taki sam. Dla nas było to nieprzerwane pasmo czystego szczęścia. Jednakże straty, które ponosiliśmy codziennie, a z którymi nie mogliśmy się pogodzić, powoli odciskały na nas swoje piętno.

Ja próbowałem odegnać cierpienie, grając na atrapie fortepianu, ale Silvia nie miała takiej odskoczni i musiała rozmawiać o swoich uczuciach. Nawet jeśli nie napomknęła ani słowem, że coś ją gryzie, doskonale wyczuwałem, kiedy było jej szczególnie trudno i potrzebowała pociechy.

Wracała do domu, przebierała się w płaszcz kąpielowy i udawała się spieszenie pod prowizoryczny prysznic na zewnątrz, w którym - jeśli wybrało się dobrą porę - woda wciąż jeszcze była nagrzana słońcem.

Potem siadała obok mnie na łóżku, a ja „grałem” z uniesieniem, trzymając instrument na kolanach. Muzyki nie było słyhać, toteż odgadnięcie utworu, który wykonywałem, było niemożliwe. Musiałem jej więc wyjaśniać:

- To druga część tak zwanej *Sonaty księżycowej* Beethovena. Ktokolwiek nadał jej ten idiotyczny tytuł, nigdy tej części nie słyszał.

Dla podkreślenia potęgi akordów tłukłem z całej siły w klawisze. Jednakże jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos uderzeń opuszek palców w drewno.

- Zagrałeś wspaniale, Matthew - powiedziała, całując mnie w kark. - Jesteś zadziwiającym artystą. Gdy przyglądam się twojej twarzy, widzę, że muzyka absolutnie cię pochłania. - Uśmiechnęła się. - Czasami też słyszę muzykę.

Potem odkładałem instrument i rozmawialiśmy o minionym dniu. Ponieważ musieliśmy. Jedynie w ten sposób udawało nam się pozostać przy zdrowych zmysłach.

Silvia miała tendencję do obwiniania siebie o śmierć pacjenta. Gdy pewnego popołudnia odebrała poród martwych bliźniąt, prawie przez cały wieczór czyniła sobie wyrzuty.

Musiałem zmobilizować cały mój dar przekonywania, by uwierzyła, że w tym kraju opieka przedporodowa nie tyle jest kiepska, ile żadna. Rzeczywiście, często się zdarza, że brzemiennie kobiety, przebywające piechotą wiele kilometrów, tracą dzieci, zanim do nas dotrą. Silvia milczała przez chwilę, po czym powiedziała cicho i uroczyście:

- Czasami nienawidzę tego miejsca.
- Nie, to nieprawda - sprzeciwiłem się, biorąc ją w ramiona.

Ponieważ refektarz był jedynym „rekreacyjnym” budynkiem z elektrycznym oświetleniem, zatrzymywaliśmy się tam wszyscy po kolacji, by przeczytać gazety sprzed tygodnia, napisać listy, pogadać lub - tak - zapalić papierosa. Żyliśmy w naprawdę potwornym stresie i kilkoro z nas wróciło do dawnego nałogu.

Próbowaliśmy często złapać wiadomości serwisu zagranicznego BBC na małym tranzystorze. Słuchaliśmy szczególnie gorliwie wzmianek o walce erytrejskich rebeliantów, mającej na celu uzyskanie niepodległości i oderwanie się od Etiopii. W Londynie wiedzieli chyba więcej o tym, co się dzieje na naszym podwórku, niż my sami.

Niektórzy lekarze nie prowadzili właściwie żadnego życia towarzyskiego. Gilles miał oczywiście swoje ptaki. Większość czasu spędzał samotnie, czytając lub włócząc się. Mimo to nie wydawał się szczególnie zadowolony z własnego towarzystwa. Próbowiałem namówić go, żeby się do nas przyłączył, ale nie miał na to ochoty.

- Te rozmowy kończą się zawsze na opowiadaniu życiorysów - rzekł sucho.
- I co z tego? To może być interesujące.
- Nie w moim przypadku. Nic mi się ciekawego w życiu nie przydarzyło.
- Zawsze możesz ubarwić opowiadanie - nalegałem jako samarytanin. - Jestem pewien, że większość tak właśnie postępuje.
- Nie mam wyobraźni.

W tym momencie wyczerpały się moje zapasy duszpasterskiej wielkoduszności.

Tak więc, gdy ostatni czytający wymienili się ostatnimi broszurami, nie pozostawało nam nic innego, jak poplotkować trochę przed pójściem spać.

Stopniowo nauczyliśmy się na pamięć historii życia każdego z nas, poznaliśmy rozmaite przygody i niepowodzenia, które sprawiły, że spotkaliśmy się w tej oazie nudy. W sposób nieunikniony przeszłość kolegów stała się naszą główną rozrywką.

Łatwo było przewidzieć, że na pierwszy ogień pójdzie François. Wiedzieliśmy, że jest żonaty, ponieważ nosił obrączkę na palcu lewej dłoni. Domyślaliśmy się też z wiecznej nieobecności madame Pelletier, że tego małżeństwa nie można zaliczyć do najbardziej udanych - nie pojawiła się nawet na lotnisku, by pożegnać odlatującego męża.

Pewnego wieczora François zainspirował ożywioną dyskusję na temat małżeństwa, wspominając o sobie mimochodem jako o „szczęśliwym małżonku”.

- Doprawdy? - wyrwało mi się.

- Doprawdy, Hiller - potwierdził. - Jesteśmy razem od dwudziestu lat i dochowaliśmy się trójki świetnych dzieciaków.

- Ile czasu spędzasz z nimi?

- Te sprawy są niewymierne, staruszk.

- Wiem, wiem, ale biorąc pod uwagę czas, który spędziłeś za granicą, twoje krótkie przeżycia rodzinne muszą być nieprawdopodobnie intensywne.

W tym momencie Maurice Hermans zadał pytanie, które wszyscy gorąco pragnęliśmy zadać.

- Wybacz śmiałość, François, ale jakie korzyści z ta-kiego układu czerpie twoja żona?

- No cóż - zaczął powoli, zapalając papierosa - jest mężatką, a jednocześnie mąż nie płące jej się wiecznie pod nogami. Oczywiście, chlubi się moją pracą. Sama jest dyrektorem naszego biura zdobywającego fundusze oraz dobrą matką.

Jak dotąd, bez punktu, pomyślałem. Ale François jeszcze nie skończył.

- Co rok, w sierpniu, przypominamy sobie w naszym domku w Normandii, że seks jest niczym dobry szampan - gdy musuje na początku, po dwudziestu latach jest nawet lepszy. I wypełniamy naszą przelotną bliskość tyloma głębokimi rozmowami, że zapominamy na chwilę, iż przestaliśmy się kochać.

Nie trzeba dodawać, że dalszych pytań nie było.

W miarę upływu czasu do naszych codziennych rozmów coraz częściej zaczęły się wkradać zdania typu: „Gdy wrócę do Paryża...”. Co trochę musieliśmy wszyscy przypominać sobie, że to idealizm przywiódł nas do tego odległego, niespokojnego miejsca. Albowiem wszyscy powoli zmienialiśmy się w postaci z dramatu Przy drzwiach

zamkniętych Sartre'a. Tyle że piekło bycia „innymi ludźmi” okazało się Piekłem bycia „tymi samymi ludźmi”.

Na początku naszej odysei, gdy Maurice Hermans grał na harmonijce ustnej, był na tyle dobrze wychowany, że siadywał na ganku, gdy nachodziła go chęć muzykowania.

Jednakże z czasem nie tylko przeniósł swe występy do środka, lecz nawet zaczął konkurować z BBC.

W zasadzie byłoby to do wytrzymania. Niestety, jego repertuar składał się jedynie z *Red River Valley* i *My Darling Clementine*. Tu i ówdzie rozlegały się nawet ciche szepty o linczu.

Pewnej nocy, na początku maja, usłyszeliśmy przez radio że były premier Włoch, Aldo Moro, został porwany i za-mordowany przez skrajnie lewicowych terrorystów. Silvia była wstrząśnięta. Nie tylko powróciły straszliwe wspomnienia losu, który spotkał jej matkę, lecz Aldo Moro był w dodatku bliskim przyjacielem jej ojca.

Starąłem się ją pocieszyć.

- Tutaj przynajmniej jesteś bezpieczna. Nic takiego się nie zdarzy. - Kazałem jej obiecać, że nie będzie więcej słuchała wiadomości. - To przynajmniej korzyść przebywania w miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi. Mamy dość problemów z naszymi pacjentami.

Skinęła głową i ścisnęła mnie za rękę.

- Masz rację, powinniśmy pielęgnować troskliwie te chwile.

Dla mnie jej słowa miały odcień smutku. Przypomniały mi, że idylla nie będzie trwała wiecznie.

Od czasu do czasu ośmielałem się myśleć o przyszłości. Wydawała się jednak tak brzemienna cierpieniem, że nie potrafiłem znieść nawet myśli o naszym nieuniknionym rozstaniu.

Jednakże mimo podszeptów mego rozsądnego umysłu, marzyłem o poślubieniu Silvii. Pewnej nocy sytuacja wymagała, bym dokonał nieoczekiwanie cesarskiego cięcia. Musiałem pomóc położnej, która nie mogła sobie poradzić z porodem pośladowym. Gdy owinąłem maleństwo kocykiem i podałem matce, oczyma duszy zobaczyłem twarz dziecka, które moglibyśmy spłodzić z Silvią. Była to chwila czystej radości, po czym moja fantazja mnie zawiodła.

Nie potrafiłem w żaden sposób wyobrazić sobie życia w realnym świecie, gdzie mielibyśmy szansę być razem. To znaczy, czy mogłaby wrócić ze mną do Dearborn i pracować tam jako lekarka? Mało prawdopodobne. Czy ja pojechałbym do Włoch? Też raczej wątpliwe. Nie sądzę, żeby jej mediolański krąg znajomych przyjął mnie z otwartymi ramionami.

Zacząłem wierzyć, że jesteśmy igraszką losu, który zetknął nas tylko po to, żebyśmy przeżyli większy ból przy rozstaniu. Nie udało mi się ukryć tych myśli przed Silvią, która skwapliwie przyznała, że ją też dręczą myśli o rozłące.

- Jesteśmy teraz tacy szczęśliwi - twierdziłem uparcie - Czemu nie mamy żyć tak zawsze?

- Zgadzam się.

W pierwszej chwili nie uwierzyłem, że dobrze słyszę.

- Wszystko układa się teraz cudownie - powiedziała. - Może zostaniemy tutaj, w Afryce? Jest tu tyle do zrobienia.

- Mówisz serio, Sivio? To znaczy, czy naprawdę jesteś gotowa porzucić swój świat?

- Dla mnie mają znaczenie tylko miłość i praca, Matthew. Mój świat zaczyna się i kończy tutaj.

- Ja chcę dzielić życie z tobą, jeśli jesteś pewna, że naprawdę tego pragniesz.

- Naprawdę tego pragnę.

- A zatem wyjdiesz za mnie?

- Moja odpowiedź składa się z trzech słów - tak, tak, tak. - Jej ciemne oczy błyszczały, zarzuciła mi ramiona na szyję. - Wobec tego, może pojedziemy na spotkanie z księdzem?

- Jeśli idzie o mnie, nie widzę przeszkód. - Było mi całkiem obojętne, w jaki sposób się pobierzemy, byle małżeństwo stało się faktem dokonanym.

Zaproponowałem, że zatelefonuję do kościoła katolickiego w Asmarze i ustalę termin. Spytałem Silvię, kiedy chce pojechać.

- Im prędzej, tym lepiej - odpowiedziała.

Nagle mnie olśniło.

- Chyba nie jesteś w ciąży?

- Nie, ale ten pomysł całkiem mi się podoba. - Następnie dodała poważniejszym tonem: - Prawdę mówiąc, skoro już się zdecydowaliśmy, wołałabym, żebyśmy postawili

mojego ojca przed faktem dokonanym. Nie potrafię tego wyjaśnić, tak mi podpowiada instynkt.

Wiedziałem, że ma rację. Im dłużej zwlekaliśmy, tym większe istniało prawdopodobieństwo, że jakimś sposobem wieść dotrze do tego potężnego człowieka, który potrafił poruszyć niebo i ziemię - i bez wątpienia Erytreę - aby oderwać córkę ode mnie.

Nie podając powodu, poprosiliśmy François o dłuższy zaległy urlop, żebyśmy mogli pojechać do Asmary.

- Oczywiście - zgodził się dobrodusznie. - I koniecznie wstąpcie do restauracji na piątym piętrze hotelu „Nyala”. Stoły są tam rozstawione jak małe namioty. Ich zigini jest całkiem zabawne.

W dwa dni później wyjechaliśmy z Adi Shuma o siódmej rano i dobrze przed południem znaleźliśmy się na przedmieściach stolicy Erytrei, miasta położonego wyżej o całe tysiąc pięćset metrów. Zmiana klimatu była nieprawdopodobna - zostawiliśmy za sobą lato, rozżarzone piekło, i znaleźliśmy się w samym środku wiosny.

Gdy wjechaliśmy do miasta, przeżyliśmy kulturalny wstrząs. Po długim pobycie na jałowej afrykańskiej pustyni trafiliśmy nagle do okolicy, która przypominała przedmieścia Mediolanu. I nie bez powodu. Architektura pochodziła w większości z czasów podboju miasta przez Włochów w 1889 roku, po którym stało się ono siedzibą afrykańskiego imperium Włoch.

Asmara, „las kwiatów”, w pełni zasługiwała na swoją nazwę, tyle tu rosło bugenwilli i jacarandy. Ulice były nieskazitelnie czyste, z kafejkami na świeżym powietrzu i prawdziwymi sklepami zamiast handlu towarami na kocu. Ale nawet tutaj nasza zdezelowana furgonetka wyglądała nie najgorzej, prawie połowę pojazdów stanowiły bowiem zaprzęgi konne.

Ponieważ jednak to nie zwiedzanie miasta było naszym celem, pojechaliśmy prosto Liberty Avenue i zaparkowaliśmy w pobliżu katolickiej katedry, ogromnej budowli w stylu włoskim, górującej nad otoczeniem. Zostało nam jeszcze kilka minut do umówionego spotkania, postanowiliśmy zatem zwiedzić wnętrze katedry i obejrzeć dwudziestowieczne witraże, które udawały, że są gotyckimi arcydziełami.

Nagle moją uwagę przyciągnęło coś cudownego, nieoczekiwanie spełniło się moje wielotygodniowe marzenie, moja tęsknota. I nie pytając o pozwolenie, usiadłem przy katedralnych organach. Nie grałem od tak długiego czasu.

Naturalnie, musiała to być wspaniała fuga g-moll Bacha i po pierwszych taktach poczułem się jak w niebie. Nagle moją ekstazę przerwał donośny głos, który zagłuszył nawet dźwięki muzyki:

- Czy mogę spytać, kim pan jest?

Byłem tak uszczęśliwiony, mogąc znowu grać, że moja odpowiedź zabrzmiała trochę lekceważąco:

- W tej chwili jedynie pokornym sługą Jana Sebastiana Bacha. Jesteśmy umówieni z kanclerzem biskupim Yifterem.

- Czy wie pan, gdzie możemy go znaleźć?

- Macie go przed sobą - odpowiedział mężczyzna. - Witajcie, moje dzieci - dodał górnolotnie. - Najwyraźniej przyfrunęliście tutaj na skrzydłach miłości.

Jak większość wieśniaków, monsignor Yifter był niezbyt wysoki, choć znacznie bardziej krępy od ludzi zamieszkujących okolice Adi Shuma. Zaczynał łysieć, miał też zaczątki drugiego podbródka, okulary w drucianej oprawce siedziały mu mocno na nosie, nadając jego twarzy wyraz bystrej inteligencji. Patrzył na mnie znacząco przez dłuższą chwilę, zakładając, że jego słowa wreszcie do mnie dotrą, w końcu jednak zmuszony był powiedzieć:

- Wystarczy już tej muzyki, doktorze Hiller. Proszę chodźcie ze mną oboje.

W gabinecie pełnym książek czekały trzy filiżanki z kawą. Zwróciłem uwagę na obfitość tekstów łacińskich.

- Częstujcie się, proszę - powiedział, wskazując na kawę - ziarna zostały wyhodowane przez miejscowych ojców kapucynów.

- Ach - nie potrafiłem powstrzymać się od uwagi - zatem pijemy prawdziwą kawę cappuccino.

Popatrzył na mnie dziwnie, po czym na jego wargach pojawiło się coś, co prawdopodobnie miało uchodzić za uśmiech.

- A więc, moje dzieci, jesteście bardzo daleko od domu.

Czy spotkaliście się tutaj, w Afryce?

- Nie, monsignore, trzy miesiące temu, w Paryżu, podczas szkolenia przed podróżą.

- Ach - zauważył duchowny - zatem nie znacie się długo?

Czy mi się wydawało, czy też wyczułem podejrzliwość w jego pytaniu?

- Jeśli weźmiemy pod uwagę aspekt czysto chronologiczny, rzeczywiście znamy się raczej krótko - odpowiedziałem za nas oboje. - Ale od momentu pierwszego spotkania w Paryżu przebywaliśmy stale razem - rozumiem przez to pracę, dzień w dzień, noc w noc. W takich warunkach można naprawdę poznać drugiego człowieka.

- O, tak - zgodził się monsignor Yifter. - Wieści o tym, ile czynicie dobrego, dotarły nawet do nas tutaj. Można wam pogratulować. A więc, od czego zaczniemy?

Cóż, pomyślałem, można by zacząć od nieco przyjaźniejszego powitania. Przypuszczam, że nie ma aż tylu „klientów”, żeby mógł pozwolić sobie na odprawianie z kwitkiem ewentualnych nawróconych, takich jak ja.

Odchylił się na oparcie krzesła, splatając dłonie, i spojrzał na Silvię.

- Małżeństwo to nader poważne przedsięwzięcie, panno Dalessandro. I, rzecz jasna, wieczny i nierozzerwalny związek.

Silvia popatrzyła na mnie. Moja mina zdradzała rosnące zniecierpliwienie z powodu protekcyjnego zachowania duchownego.

- Rozumiemy to w pełni, monsignore - powiedziała pojednawczo. - Dlatego właśnie przyjechaliśmy tutaj. Ukończyłam St. Bartholomew's w Wiltshire.

Najwyraźniej spodobało mu się to, albowiem jego słowa były skierowane bezpośrednio do Silvii.

- No właśnie.

Co, u licha, miało to oznaczać?

Teraz Silvia przeszła do natarcia.

- A więc udzieli nam ksiądz ślubu?

- Oczywiście, oczywiście, wszystko w swoim czasie. Kościół jednak ma za zadanie przygotowanie par do małżeństwa podczas pięciu lub sześciu wizyt. Czy jesteście gotowi spotykać się ze mną co miesiąc?

Nie byłem pewien, ale uznałem, że w ten sposób odwleka nasz ślub mniej więcej o pół roku. Myliłem się.

- Oczywiście w tym przypadku - dodał - mamy do czynienia z niekatolickim partnerem. - Popatrzył na ranie. - Czy dobrze rozumiem, że chce pan odbyć nauki przedmałżeńskie?

- Tak. A czy ja dobrze rozumiem, że nie muszę przechodzić formalnie na wiarę katolicką, jeśli się nie zdecyduję?

- Owszem, jeśli zgodzi się pan wychowywać dzieci w prawdziwej wierze.

Przez ułamek sekundy nie reagowałem. Zapewniłem już Sulwię, że pragnę wychowywać dzieci w wierze katolickiej, ale buntowałem się przeciwko stawianiu mnie pod murem przez tego faceta. Znałem wszakże jedyne słowo, dzięki któremu mogliśmy się wymigać, odrzekłem więc:

- Tak.

- Świetnie. - Była to najbardziej entuzjastyczna reakcja, na jaką się dzisiaj zdobył. - Jestem pewien, że komuś z pańskim wykształceniem nie zajmie to więcej niż dodatkowe trzy miesiące.

W tej chwili jego taktyka opóźniała nasz ślub już o całe dziewięć miesięcy.

Skinąłem tylko głową.

- Wspaniale. - Wstał z krzesła. - Czy ta pora dnia odpowiada państwu?

- Tak, monsignore - odpowiedziała uprzejmie Silvia. - To znaczy, że zdążymy przyjechać tutaj i wrócić tego samego dnia.

- Jasne. Czy możemy się wobec tego spotkać... - Sięgnął do kieszeni sutanny i wyjął elegancki skórzany kalendarzyk. Przekartkował starannie strony, po czym zaproponował: - Czy możemy ustalić termin następnego spotkania na dwudziestego czwartego?

To jeszcze całe trzy tygodnie.

- Doskonale - odpowiedziała Silvia za nas oboje, po czym chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła na zewnątrz.

Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem jego słuchu, szepnęła:

- Oddychaj głęboko, Matthew, oddychaj głęboko. Zaczekaj, dopóki nie wyjdziemy na ulicę.

Wracając do samochodu, musieliśmy przejść ponownie przez kruchtę.

Dopiero wtedy zauważyliśmy tabliczkę z brązu na ścianie w głębi. Nosiła datę z 1922 roku i upamiętniała pierwszych dobroczyńców kościoła. Nie było tam nikogo poza Vincenzem Dalessandrem, założycielem korporacji FAMA, i jego przyjacielem, któremu służył tak wiernie, Il Duce, Benitetem Mussolinim.

- No cóż, to wiele wyjaśnia - zauważyłem ironicznie. - Czy wiedziałaś, że to kaplica rodzinna?

- Czy sądzisz, że gdybym o tym wiedziała, podsunęłabym ci myśl, żeby tu przyjechać?

Popatrzyła na mnie swoimi pięknymi oczami i spytała czule:

- Czy nadal chcesz mnie poślubić?
- Oczywiście, Silvio. Wszędzie, tylko nie tu.

Nasze doświadczenia w ambasadzie włoskiej i amerykańskiej były kompletnie inne. Przyjaźni miejscowi urzędnicy obiecali uczynić wszystko, co w ich mocy, by uzyskać odpowiednie zezwolenia rządowe na zawarcie związku małżeńskiego za granicą. W obu ambasadach zapewniono nas, że możemy zaplanować uroczystość za dwa tygodnie.

Ryzykując, że sprawimy zawód François, anulowaliśmy rezerwację na wieczór w hotelu „Nyala” i przed wyruszeniem w drogę powrotną wypiliśmy szybką kawę w „Cafe Park”.

- O czym myślisz, Matthew? - spytała Silvia.
- Tak się po prostu zastanawiam - odpowiedziałem.
- Nad czym?
- Ile czasu zajmie twojemu ojcu wytropienie nas.

Chwyciła mnie za rękę.

- Nie wygłupiaj się. Nie ma takiej siły, która mogłaby nas rozdzielić.
- Nie bądź zbyt pewna.
- Daj spokój, zachowaj rozsądek. Oboje jesteśmy pełnoletni, skończyliśmy już dwadzieścia jeden lat. W jaki sposób mógłby nas powstrzymać?

- Silvio - powiedziałem tylko półzartem - przy powiązaniach twojego ojca nie zdziwiłbym się, gdyby wysłał cię z pierwszą włoską ekspedycją kosmiczną na Marsa.

Wróciliśmy do domu bardzo późno, ale byliśmy tak szczęśliwi, że znaleźliśmy się w znajomym otoczeniu, że kochaliśmy się przez wiele godzin.

Gdy leżeliśmy później spokojnie w swoich ramionach, Silvia powiedziała cicho:

- Matthew, to naprawdę nie ma znaczenia.
- Co?
- Jesteśmy już małżeństwem.

Przytulilem ją mocno. Naprawdę nic innego się nie liczyło.

Rozdział 11

- Nie, François, nie zmusisz mnie do tego.

Gdybym służył w wojsku, zostałbym oddany pod sąd wojenny za niesubordynację.

Decydując się na udział w tej misji, sądziłem, że nie istnieje zadanie na tyle wstrętne czy wstrząsające, żebym nie mógł go wykonać, myliłem się jednak. Okazało się, że nie potrafię wycelować broni w drugiego człowieka i nacisnąć spustu. Jak na ironię, to François testował mój pacyfizm.

- Daj spokój, Matthew, bądź realistą. Sto metrów od naszej bramy toczy się wojna. Może znajdziesz się w sytuacji, że będziesz musiał zapewnić bezpieczeństwo swoim pacjentom. Ze względu na nich, a także na siebie, powinieneś umieć posługiwać się bronią palną.

Ale język ciała zdradzał jego prawdziwe uczucia - potrafiłem wyczytać ze sposobu, w jaki pistolet automatyczny kaliber 38 zwiślał z jego palców, że François również buntuje się wewnętrznie przeciwko trzymaniu narzędzia śmierci w dłoni nawykłej do ratowania życia.

- Wiesz co, zaproponuję ci pewien kompromis, który powinien złagodzić twoje poczucie winy. Naucz się posługiwać tym przedmiotem i wstrzymaj się z decyzją użycia go do chwili, gdy niebezpieczeństwo zajrzy ci prosto w twarz.

Umilkł, wciągnął nerwowo powietrze i dodał:

- Przynajmniej obiecaj mi, że weźmiesz pod uwagę taką możliwość.

Poddałem się.

Przez kolejne dwa tygodnie zbieraliśmy się o szóstej trzy. dzieści rano w odległym kącie naszego terenu, jak najdalej od tłumy pacjentów, którzy zjawiali się codziennie na długo przedtem, nim lekarze otworzyli drzwi.

François zdradził ukrywaną dotąd smykałkę artystyczną wykonując z kartonu trzy postaci ludzkie z narysowanymi tarczami wokół serc. Potem ustawił „Harpa”, „Chica” i „Groucha” w odległości dziesięciu, dwudziestu i trzydziestu metrów, a następnie zademonstrował nam z bezlitosną dokładnością, jak ich uśmiercić. Niektórych z moich kolegów, w tym i Silwię, bawiły te ćwiczenia. A jednak - o ironio! - to ja okazałem się najlepszym strzelcem. Zaimponowałem nawet François.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz miał dość leczenia ludzi, Hiller, zawsze możesz zostać płatnym mordercą mafii - zażartował. Rzecz jasna, nie rozśmieszyło mnie to ani trochę.

Pistolet François szybko zyskał status talizmanu. Stał się naszym Ekskaliburem - miał nas strzec od wszelkiego zła i pozwolić, byśmy wykonywali nasze hieratyczne obowiązki bez szwanku.

Nasz przyjazd nastąpił w 1978 roku, gdy wojna domowa osiągnęła nową niebezpieczną fazę. Na scenie pojawili się jak zawsze zdradzieccy Sowieci, dozbierając potężnie etiopski reżim. Dzięki znacznie zwiększonej sile ognia, oddziały reżimowe zwróciły się przeciwko erytrejskim separatystom i wycofując się, siały wszędzie krwawe spustoszenie.

To pogorszenie sytuacji spowodowało falę uchodźców i pracownicy ONZ pośpiesznie zakładali dla nich obozy. Ostatni, który powstał w naszej okolicy, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Kamchiwy, miał zaledwie dwie pielęgniarki, sprzęt konieczny do udzielenia pierwszej pomocy oraz trochę podstawowych środków, na przykład do leczenia nieuniknionych biegunek, które dawały się we znaki szczególnie dzieciom. Ponieważ byliśmy najbliższym odpowiednikiem „szpitala”, regularnie wysyłaliśmy dwójkę lekarzy, by zajmowali się pilniejszymi przypadkami wśród uchodźców.

Mimo że w owym czasie wydawało się to dość lekkomyślne nie mogliśmy się z Silwią doczekać wspólnych wyjazdów. Stwarzały nam możliwość wykazania altruizmu, a jednocześnie cieszenia się własną bliskością, zdobycia „punktów zuchowych” i przyjemnego spędzenia wielogodzinnej podróży w towarzystwie ukochanej osoby.

Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że w podróży czyhały nas pewne niebezpieczeństwa. Wojska etiopskie, erytrejscy partyzanci i shifta odbywający zwykle porachunki, które przypominały walki konkurencyjnych miejskich gangów, nie zważali na to, kto znajdzie się na linii ognia.

Wyruszyliśmy właśnie w naszą trzecią podróż do Kamchiwy. Podczas ostatnich chwil przygotowań François i Marta pomagali nam skontrolować, czy załadowaliśmy wszystkie potrzebne lekarstwa na tył naszej zdezelowanej furgonetki. Bez słowa komentarza François wyjął pistolet ze schowka na rękawiczki i sprawdził, czy jest naładowany.

Gdy pocałował Silwię na pożegnanie, poprosiłem go, by mnie oszczędził tej demonstracji uczuć. Nie, żebym go nie kochał, ale po prostu nie mogłem znieść z tak bliskiej odległości smrodu gauloise'ów.

Jak na dziedziczkę FAM-y przystało, Silvia prowadziła z klasą. Gdybym jej na to pozwolił, siedziałaby za kółkiem przez całą drogę. Wczesnym rankiem pogoda była możliwa i jazdę samochodem można było od biedy nazwać przyjemnością.

Zostałem zdegradowany do funkcji pilota i dyskdzokeja (jako pierwszą kasetę wybrałem koncerty na trąbkę Tele-manna, by podkreślić optymistyczny nastrój budzącego się dnia). Potem zaś rozmawialiśmy, rozkoszując się tym, że jesteśmy sami.

Zaczeliliśmy od rozegrania jeszcze jednej rundy zabawy którą niedawno wymyśliliśmy: kto byłby najbardziej wkuł rzony, gdybyśmy nie zaprosili go na nasz ślub? W ten sposób przejechaliśmy dalsze kilka kilometrów, po czym poruszyliśmy następny żelazny temat: jak długo pozostaniemy tutaj, gdy wygaśnie nasz kontrakt?

- Cóż, jeśli idzie o mnie - powiedziałem czule - nawet wieczność nie wydaje mi się zbyt odległym terminem. O co chodzi, Silvio, zatęskniłaś nagle za domem?

- Z jakiego powodu?

- Bo ja wiem, może za talerzem naprawdę dobrego makaronu.

- Nie martw się, Matthew, przysięgam, że nauczę się gotować - odpowiedziała, czerwieniąc się lekko.

- Daj spokój, żartowałem sobie tylko z twoich umiejętności kulinarnych. Z drugiej strony, gdy już zdecydujemy się mieć dzieci...

- Myślisz o tym, gdzie będziemy je wychowywać?

- Tak - odrzekłem, ukrywając moje nagłe pragnienie ojcostwa. Żadne z nas nie miało łatwej odpowiedzi na to pytanie.

Przejechaliśmy kawałek drogi, słuchając, jak Renata Scotto i Placido Domingo napełniają pustynię dźwiękami Toski. Silvia wydawała się zamyślona.

- *Birr* za twoje myśli, signorina.

- Czy sądzisz, że kiedykolwiek wrócimy?

- Dokąd?

- No, przecież wiesz, tam, skąd pochodzimy.

- Tak, na wesele naszego pierwszego wnuczka.

Uśmiechnęła się.

Przez następne dwie godziny podróży Glenn Gould grał (moim zdaniem, zbyt szybko) Wariacje Goldbergowskie Bacha, powietrze zrobiło się gorące jak w piecu. Gdy dotarliśmy do kępy drzew eukaliptusowych, powiedziałem Silvii, żeby się zatrzymała.

Napiliśmy się herbaty z miodem (według przepisu matki François - do popijania soli w tabletkach, by ustrzec się udaru cieplnego), a następnie przejąłem obowiązki Nikiego Laudy.

W kilka minut później droga wyprowadziła nas na szeroki pas przestrzeni wśród wzniesień. Ostrzegano nas wcześniej, że taka rzeźba terenu jest najbardziej niebezpieczna, ponieważ ewentualni napastnicy mogą nas wypatrzeć, sami nie będąc widzianymi. Byliśmy jednak młodzi i zakochani, nie przeszło nam nawet przez myśl, że ktoś mógłby chcieć zrobić nam krzywdę.

W chwilę później okazało się, że nie mieliśmy racji. Usłyszeliśmy dźwięk przypominający stuk kamienia o blachę. W samym środku afrykańskiego odludzia? Oczywiście, nie chciałem uwierzyć, że to pocisk przebił maskę samochodu po prawej stronie. Nagle jednak para zaczęła uchodzić z sykiem z uszkodzonej chłodnicy. Pozostało mi tylko zahamować i stanąć. Pamiętam moją elokwentną ocenę sytuacji:

- Cholerne gówno!

- Co to? - spytała teraz już przestraszona Silvia.

- Nie „co” - poprawiłem ją - tylko „kto”. Ciekaw jestem, czy honorują tutaj moją kartę AAA²? - dałem popis wisielczego humoru.

Krew tętniła mi w skroniach, gdy sięgnąłem do schowka na rękawiczki, wyjąłem z niego pistolet i wygramoliłem się z samochodu, żeby sprawdzić, co się dzieje. W tejże chwili stanąłem twarzą w twarz z napastnikami - dwoma żyłastymi bojownikami o mahoniowej skórze, z ładownicami przewieszonymi na rzemieniu przez ramię. Wyglądali groźnie, trzymali na wysokości pasa wycelowaną w nas broń - rosyjskie karabiny.

Niepoprawny intelektualista, próbowałem wciągnąć ich w rozmowę.

- Czego chcecie, chłopaki? - warknąłem, jak najlepiej umiałem, w dialekcie tigrinya. Serce waliło mi jak młotem bałem się, że nie usłyszę ich odpowiedzi.

Przeżyli chwilowe zaskoczenie, że cudzoziemiec używa ich języka. Wyższy zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem. Absurdalnie, w tle słyszeliśmy wciąż Wariacje w interpretacji Glenna Goulda.

- Idzicie z nami - szczerknął. Nie było takiej siły na ziemi, która skłoniłaby mnie, żebym pozwolił tym dwóm typom zabrać ze sobą Siliwę. Mogliby to zrobić tylko dosłownie po moim trupie.

² AAA – American Automobile Association – polski odpowiednik PZMot-u (przyp. tłum.)

- Z drogi! - wrzasnąłem, dodając kilka dosadnych przekleństw, które słyszałem od miejscowych pacjentów, gdy już nie mogli wytrzymać bólu. Mój bogaty repertuar w ich rodzimym języku znów ich na chwilę sparaliżował. Zawołałem do Silvii, żeby usiadła za kierownicą i dała mi znać natychmiast, gdy będzie gotowa ruszyć.

Najwyraźniej była w szoku.

- Nie, Matthew, może powinniśmy zrobić to, co nam każą.

- Słuchaj mnie, do cholery! - ryknąłem na nią, próbując wyrwać ją z odrętwienia. - Nie chcesz chyba zostać ich więźniem. Natychmiast rób, co ci każę!

W tym momencie jeden z napastników kiwnął na mnie swoim karabinem, żebym się zbliżył. Pokręciłem przecząco głową, mimo że wiedziałem, iż gotów jest pociągnąć za spust.

- Pośpiesz się, Silvio! - krzyknąłem znowu.

Żadnej reakcji.

Oczy mężczyzny zapłonęły gniewem, jego zamiary były absolutnie jasne. W jednej sekundzie zamieniłem się w zwierzę, kierujące się instynktem i broniące za wszelką cenę swej samicy.

Kula świsnęła mi koło ucha, zrywając moje ostatnie więzy z cywilizacją. W przypływie dzikiej wściekłości wycelowałem pistolet prosto w klatkę piersiową mężczyzny i wypaliłem. Omal go nie trafiłem, padł na kolana, unikając o włos kuli. Zanim zdążył się podnieść, wskoczyłem na stopień samochodu. Nagle dostrzegłem trzeciego bandytę po drugiej stronie drogi. Podnosił karabin do ramienia, celując prosto w Silvię.

Instynktownie, bez chwili wahania, wystrzeliłem. Upadł do tyłu. Mój Boże, właśnie zabiłem człowieka! Był to najstraszliwszy moment w moim życiu, a jednak nie miałem czasu, by się zastanawiać. Szarpnąłem Silvię za ramię i wykrzyknąłem jej imię, ile sił w płucach. Ocknęła się z odrętwienia, włączyła bieg i ruszyliśmy, wzbijając tuman kurzu.

Teraz kule świsnęły z obu stron. Gdy powoli nabieraliśmy szybkości, wystawiłem rękę przez okno i opróżniłem cały magazynek w kierunku wroga. Rozpętało się istne piekło. W powietrzu wisiała śmierć.

W następnej sekundzie poczułem, że coś otarło się o moją skroń. Głowę rozświetlił mi nagle błysk jak fajerwerki w dniu czwartego lipca.

A potem wszystko pogrążyło się w ciemności.

CZEŚĆ 2

Lato 1978

Rozdział 12

Łagodne promienie słońca zaglądały przez okno, muskając moją twarz, gdy powoli odzyskiwałem świadomość. Stopniowo docierało do mnie, że leżę na szpitalnym łóżku. Głowa mnie bolała, w moim ramieniu tkwiła igła do kroplówki. Nade mną stała ze znużoną i zatroskaną twarzą moja matka. Co ona tu robi? I gdzie ja jestem?

Gdy otworzyłem oczy, na twarzy mamy odmalowała się ogromna ulga.

- Matthew, czy rozumiesz, co mówię? - spytała z obawą.

Mimo że jeszcze całkiem nie wróciłem do przytomności, moją pierwszą myślą było: „Gdzie jest Silvia?”.

Rozpaczliwie usiłowałem coś powiedzieć, łykając powietrze, jednakże z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Poczułem, że ktoś dotyka z czułością mojej dłoni, i usłyszałem głos brata:

- Spokojnie, Matthew, przeszedłeś prawdziwe piekło. Będziesz miał się naprawdę czym chwalić wnukom - dostałeś postrzał w głowę i przeżyłeś, żeby móc o tym opowiadać.

Wreszcie udało mi się wykrztusić:

- Chaz, czy ona żyje? Udało jej się uciec?

Wydawał się nie rozumieć mojego pytania i rzekł po prostu kojąco:

- Spróbuj się rozluźnić. Najważniejsze, że wyszedłeś z tego.

- Nie, nieprawda - zaprotestowałem, wpadając w coraz większe podniecenie.

W moim polu widzenia pojawił się krępy, siwowłosy mężczyzna w białym fartuchu, udaremniając naszą dalszą rozmowę. Mówił po angielsku z dziwnym akcentem.

- Doktorze Hiller, czy wie pan, gdzie się pan znajduje?

W tej chwili nie byłem nawet pewny, kim jestem.

- Znajduje się pan w Universitätsspital - szpitalu uniwersyteckim w Zurychu - wyjaśnił uprzejmie mężczyzna z tym samym dziwnym akcentem.

Szwajcaria! Ta wiadomość ani trochę nie rozjaśniła mi w głowie. Co ja tutaj robię?

- Nazywam się profesor Tammuz. Pięć dni temu przyjęliśmy pana z kulą, która utkwiała w kości klinowej, bardzo blisko mózgu. Sytuacja była bardzo poważna. Operowałem natychmiast i bardzo się cieszę, widząc, że wrócił pan do nas.

Moja matka pośpieszyła z dalszymi wyjaśnieniami:

- Malcolm przyleciał z nami w zeszłym tygodniu i asystował profesorowi Tammuzowi podczas całej operacji. Powiedział, że to był absolutny majstersztyk. Niestety, miał nie cierpiące zwłoki przypadki w Dearborn i musiał wracać.

Byłem oszołomiony, w głowie mi się kręciło, ale to, co słyszałem, wcale niczego mi w niej nie rozjaśniało.

- Jak, u diabła, się tutaj dostałem?

- Najwyraźniej zostałeś przywieziony prywatnym powietrzny ambulans - powiedział Chaz.

Poszukałem wzrokiem pomocy u profesora.

- Kto jeszcze był ze mną?

- Młody neurolog i pielęgniarka.

- Czy nie było również młodej Włoszki? - Błagałem go spojrzeniem o odpowiedź. - Musiała być. Silvia była ze mną, wiem, że była. Piękna, ciemnowłosa, mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu.

- Niestety, w samolocie nie było nikogo innego - powtórzył Tammuz ze stanowczością chirurga.

Musiałem być bardzo oszołomiony lekami, albowiem miałem kłopot z przekazaniem mojej rodzinie, jakie to ważne. Dotąd nie wiedziałem nawet, czy Silvia żyje. Ta myśl sprawiła, że serce mi się ścisnęło.

- Chaz - spojrzałem na brata - skąd się dowiedziałeś, gdzie jestem?

- Zadzwoił do nas lekarz z Mediolanu. Nie był szczególnie rozmowny. Zawiadomił nas po prostu, że zostałeś ranny i odtransportowano cię do Zurychu na operację, którą ma przeprowadzić najlepszy neurochirurg na świecie.

Z tego, co widzę, miał absolutną rację.

W tym momencie profesor znowu przejął inicjatywę.

- Czy pamięta pan cokolwiek z tego, co zdarzyło się, zanim został pan postrzelony? - spytał.

Próbowałem myśleć. Jednak wysiłek umysłowy, by przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia, był nieopisanie trudny. Mimo bólu, próbowałem zaatakować fortecę mej pamięci i zrobić wyłom w jej kamiennych murach.

- Pamiętam dwóch mężczyzn... nie, trzech. Z karabinami. Próbowali wziąć nas do niewoli. Otworzyli ogień. Ja też zacząłem strzelać. Chyba trafiłem jednego z nich. - nawet w tej chwili nie potrafiłem pogodzić się z myślą, że naprawdę zabiłem człowieka. Bardziej obchodziła mnie kobieta, którą kochałem, wykrzyknąłem więc, nie kierując mojego pytania do nikogo w szczególności: - Gdy nas zaatakowano, byłem z Silvia Dalessandro. Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co się z nią stało?

Odpowiedziała matka, jej ton zdradzał, że sama jest zmartwiona.

- Matthew, nie wiemy nic poza tym, co powiedział ci doktor. W kraju podano tylko krótką wiadomość w dzienniku - że amerykański ochotnik został postrzelony w Erytrei. Nie wspomniano o żadnej innej ofierze.

- Z pewnością w przypadku kogoś tak znanego - dodał mój brat - nagłówki głosiłyby: „Porwano dziedziczkę fortuny” czy coś w tym stylu.

Znalazłem się w kropce.

- To niemożliwe - wybuchnąłem. - Nie mogła tak po prostu zniknąć.

Moja rozpacz była zaraźliwa. Mama i Chaz coraz bardziej niepokoiли się o moje samopoczucie. Oboje próbowali znaleźć jakiś sposób, żeby mnie uspokoić.

- Może doktor Pelletier coś wie - podsunął Chaz. - Dzwonił wczoraj i obiecaliśmy, że go zawiadomimy, gdy odzyskasz przytomność.

- Świetny pomysł - zgodziłem się ochoczo. - Zadzwońmy do niego od razu.

Uzyskanie połączenia z Erytreą zajęło nam dwie godziny, wreszcie jednak usłyszałem głos François, dobiegający jak gdyby zza grobu.

- Cieszę się, że odzyskałeś przytomność, Matthew. Podziwiam twoją odwagę, ale co cię opętało, żeby bawić się w tani heroizm?

- Przestań pieprzyć, dobrze? Silvia żyje czy nie?

Zawahał się przez ułamek sekundy, po czym odpowiedział bezbarwnym tonem:

- Żyje, oczywiście, dzięki tobie. To ona przywiozła cię z powrotem.

- To gdzie jest teraz?

- Nie mam pojęcia, Matthew. Przysięgam, że mówię szczerą prawdę.

Dzięki Bogu, pomyślałem, kobieta, którą zamierzam poślubić, jest cała i zdrowa. Czemu jednak nie ma jej przy mnie?

- Kto załatwił transport powietrzny? - spytałem.

- Eee... ja - odpowiedział. Mimo że byłem jeszcze półprzytomny, wyczułem, że coś przede mną ukrywa.

- A dokąd pojechała Silvia?

- Przypuszczałem, że jest z tobą w Zurychu. Gdy ją widziałem po raz ostatni, trzymała cię za rękę, kiedy ładowano cię do helikoptera.

- Jakiego helikoptera?

- Jednego z tych włoskich, które obsługują platformy wiertnicze na Morzu Czerwonym. Tego, który pomógł nam przetransportować leki z lotniska. Pamiętasz. Ona poleciała z tobą. Człowieku, przecież uratowałeś jej życie!

- François, czy masz numer jej telefonu w Mediolanie?

- Tak, ale wątpię, żeby ci się na coś przydał.

Co takiego wiedział, czego nie chciał mi powiedzieć?

- Tak czy owak, podaj mi go.

Oddałem słuchawkę Chazowi, który zanotował serię cyfr podanych przez François. Pożegnałem się krótko i poprosiłem brata, żeby natychmiast zadzwonił pod ten numer.

Odebrał mężczyzna o niskim głosie.

- Czy mogę mówić z Silvią Dalessandro? - spytałem uprzejmie po włosku.

- Przykro mi, ale nie - padła lakoniczna odpowiedź.

Do diabła, nie mogłem nawet wycisnąć z niego, czy Silvia jest w domu, czy nie. Nie mając nic do stracenia, postanowiłem zaryzykować.

- Czy mogę mówić z panem Dalessandro?

- *Prego?*

- Posłuchaj, nie zgrywaj idioty. Dawaj swego szefa. Chodzi o jego córkę, tę, której uratowałem życie.

Jakimś cudem zrobiło to na nim wrażenie. Kazał mi zaczekać. W kilka chwil później słuchawkę podjął mężczyzna mówiący po angielsku z manierą spikera BBC.

- Dobry wieczór, doktorze Hiller. Dalessandro przy telefonie. Nie mam słów wdzięczności za to, co pan zrobił. I cieszę się ogromnie, że czuje się pan lepiej. Denerwowałem się ogromnie, dopóki nie usłyszałem ostatnich rokowań.

Chryste! To znaczy, że ten facet miał przez cały czas informacje na temat stanu mojego zdrowia i nie pofatygował się nawet, żeby zadzwonić i podziękować mi? Czułem instynktownie, że nie zostało mi wiele czasu, toteż wypaliłem prosto z mostu:

- Gdzie jest Silvia?

Jego odpowiedź, choć gładka jak jedwab, nie była odpowiedzią na moje pytanie.

- Była bardzo przygnębiona, Matthew. Jestem pewien że potrafi pan to zrozumieć.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać?

- Nie sądzę, żeby to była odpowiednia chwila.

Co za protekcyjny sukinsyn.

- Kiedy zatem, u diabła, pańskim zdaniem nastąpi ta chwila?

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli skończymy tę rozmowę - odpowiedział uprzejmie, lecz stanowczo. - Do widzenia, doktorze.

Miałem złe przeczucie, że to mój ostatni kontakt z rodziną Dalessandro, zdecydowałem się więc nie ustąpić i postawić wszystko na jedną kartę.

- Do cholery, panie Dalessandro, czy zdaje pan sobie sprawę, że prawdopodobnie zabiłem dla niej człowieka?

Ale nawet mój dziki wybuch go nie poruszył. Odpowiedział z niezmaconym spokojem i najwidoczniej głęboką szczerością:

- Matthew, do końca życia będę ci wdzięczny za uratowanie mojej córki.

I odwiesił słuchawkę. Opadłem na poduszkę kompletnie wyczerpany i udręczony.

Żałowałem, że kula, która utkwiała w mojej czaszce, nie dokonała swego dzieła.

Rozdział 13

We Włoszech „Królewski mariaż”, który jednoczy dwie dynastie

Mediolan, 4 sierpnia 1978

Dzisiaj w Mediolanie odbyła się uroczystość, przypominająca królewski ślub, jakiej już chyba nigdy nie zobaczą współczesne Włochy. Połączyła kawalera, który jest najlepszą partią w kraju, Niccola Rinaldiego, lat 41, syna i spadkobiercę prezesa międzynarodowej korporacji METRO, i doktor Silvie Dalessandro, lat 25, córkę dyrektora coraz potężniejszej korporacji FAMA. Obserwatorzy przewidują, że doprowadzi to w sposób nieunikniony do największej fuzji w historii włoskiego przemysłu. Uroczystość nosiła prywatny charakter i wzięła w niej udział jedynie najbliższa rodzina młodej pary. Panna młoda, rodowita mediolanka, kształciła się w St. Bartholomew's, rzymskokatolickiej szkole w Wiltshire, w Anglii, i uzyskała dyplom lekarza w University of Cambridge. Młodzi zamieszkają w Mediolanie.

Naiwnie, mama i Chaz próbowali ukryć tę wiadomość przede mną. Nie zdawali sobie sprawy, że cały świat kocha takie bajkowe wydarzenia. Mówiono o tym na każdym kanale telewizyjnym w szpitalu. Obejrzałem więc wszystko i wysłuchałem, w Bóg wie ilu językach, nieskończona ilość razy.

Przez następne dwa tygodnie mój stan psychiczny oscylował między niedowierzaniem a paranoją. Czasami modliłem się o to, żeby wszystko okazało się sennym koszmarem, z którego się w końcu obudzę i ku swej ogromnej uldze przekonam się, że wszystko jest jak dawniej.

W apogeum mojego szaleństwa wyobraziłem sobie, że tamte zbiry zostały nasłane przez ojca Silvii po to, by mnie zabić i zmusić dziewczynę do powrotu.

Przed wszystkim jednak byłem kompletnie zdezorientowany. Nie wiedziałem, co myśleć o Silvii, o świecie, o sobie.

Byłem poddawany dalszym katuszom. Przez następne kilka tygodni nie było gazety ani czasopisma, gdzie nie znalazłyby się zdjęcia z ich podróży poślubnej.

- Matthew - powiedział Chaz tak łagodnie, jak tylko potrafił. - Ona odeszła. A ty musisz pogodzić się z faktem, że możesz nigdy się nie dowiedzieć, co naprawdę zaszło. Powinieneś dziękować Bogu, że żyjesz i wkrótce całkiem wydobrzejesz.

To nie pociecha, pomyślałem. To kara.

Późnym popołudniem, na trzy dni przed moim wypisaniem ze szpitala, siedziałem w otwartych drzwiach na taras, próbując czytać i oddychać świeżym powietrzem. Nagle weszła pielęgniarka, zapowiadając nieoczekiwanego gościa.

- Sara Conrad, przyjaciółka przyjaciółki - przedstawiła się krótko młoda kobieta.

Była niezaprzeczalnie ładna, miała krótkie kasztanowate włosy o pięknym połysku, łagodny wyraz oczu i miły głos. Jej angielski akcent, typowy dla osób wykształconych, natychmiast zdradził mi, kim jest. Domyśliłem się, czemu przysłała i poprosiła, by zostawiono nas samych. Przyglądała mi się trochę niepewnie, aż wreszcie spytała:

- Dobrze się czujesz?

- To zależy, kto chce wiedzieć - odpowiedziałem podejrzliwie. - Czy ona cię przysłała?

Sara skinęła twierdząco głową.

- Byłaś na ślubie?

- Tak.

- Dlaczego to zrobiła?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami Sara. - Nie jestem pewna, czy ona sama wie. Chyba miała to zapisane w gwiazdach. - Zdawała się ważyć każde słowo, mówiła z najwyższą ostrożnością.

- Ale to było przed Paryżem, przed Afryką.

Początkowo nic na to nie powiedziała. Siedziała na brzeжку krzesła niczym grzeczna uczennica, zaciskając mocno dłonie. Nie patrzyła mi w oczy, w końcu jednak wyjęła kopertę. Wstała, podała mi ją i ruszyła ku wyjściu.

- Nie, zaczekaj - wykrzyknąłem, po czym dodałem ze skruchą: - Proszę.

Usiadła z powrotem, zdenerwowana, ja zaś rozerwałem kopertę.

Mój najdroższy przyjacielu!

Winna Ci jestem życie i wyjaśnienie. Zawsze będę wdzięczna losowi, że pozwolił mi spędzić część życia z kimś tak cudownym jak Ty. Chciałabym tylko, żeby zakończenie było inne.

W obecnej sytuacji mogę jedynie powiedzieć, że zrobiłam to, co uważałam za słuszne. Dla nas obojga.

Proszę, zapomnij o mnie. Jestem pewna, że znajdziesz szczęście, na które zasługujesz. Przez resztę życia będę pieczołowicie przechowywała w pamięci radość, jaką dało mi nasze spotkanie.

Uściski, Silvia

Uświadomiłem sobie, że do tej chwili tliły się we mnie jeszcze iskiere nadziei. Ale Silvia własnoręcznie zniszczyła resztki moich złudzeń.

- Powiedz mi szczerze, w jaki sposób zmusili ją, żeby go poślubiła? - spytałem Sarę, całkiem pokonany.

- Nikt nie przystawiał jej pistoletu do głowy - odpowiedziała prawie szeptem. Zaczerwieniła się, najwyraźniej żalując, że wybrała taką metaforę.

Z absolutnym brakiem realizmu miałem nadzieję, że jeśli będę ją wypytywał dość długo, wydobędę z niej tajemnicę.

Sara to wyczuła, ale mimo moich uporczywych pytań pozostawała nieugięta. Niewzruszenie lojalna wobec Silvii. Wreszcie wstała.

- Miło mi było cię poznać - powiedziała z zakłopotaniem. - To znaczy, cieszę się, że czujesz się coraz lepiej. Jeśli jest coś, czego byś potrzebował...

Nie dokończyła zdania. Wyraźnie omal nie odstępowała od zaakceptowanego scenariusza.

- Czy mógłbym przekazać jej przez ciebie jakąś wiadomość?

Rozłożyła bezradnie ręce.

- A więc to tak? - zadałem pytanie bardziej sobie niż jej. - Spotykamy się, zakochujemy się w sobie, a potem ona po prostu znika z powierzchni ziemi, nie mówiąc nawet: „żegnaj”.

- Przykro mi, Matthew - wyszeptała Sara. - Ale nie tylko ty cierpisz.

Ruszyła powoli ku drzwiom.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zawołałem za nią. - Co to, u diabła, ma znaczyć?

Zatrzymała się i odwróciła ku mnie. Ze zdumieniem zauważyłem, że jest bliska łez.

- Silvia miała rację, Matthew. Jesteś dokładnie taki, jak mówiła.

I wyszła. A ja zostałem sam z ostatecznymi słowami pożegnania Silvii.

Gdy wreszcie uznano, że czuję się na tyle dobrze, by opuścić szpital, profesor Tammuz polecił mi stanowczo, żebym się oszczędzał i unikał stresujących sytuacji. W typowy dla siebie uczony sposób zauważył, że nasi przodkowie mieli rację. W ciągu dwóch tysiącleci nikt nie wymyślił lepszego lekarstwa niż Hipokrates, który twierdził, że czas leczy wszystkie rany.

- Matthew wciąż ledwie trzyma się na nogach - pouczył moją rodzinę. - Łatwo się męczy i musi odzyskać zarówno siły psychiczne, jak i fizyczne.

Odprowadziliśmy z Chazem mamę na lotnisko. Uściskała mnie na pożegnanie i, najwyraźniej pełna obaw, wsiadła na pokład samolotu do Michigan. Przekonaliśmy ją, że Malcolm jej potrzebuje. A ponieważ Ellen, w trzecim trymestrze ciąży, była pod opieką swoich rodziców, Chaz mógł spokojnie dotrzymać mi towarzystwa.

W dwie godziny później siedzieliśmy w pociągu i jechaliśmy w nieznaną, przynajmniej ja.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytałem brata z irytacją.

Chaz był naprawdę święty, znosząc moje humory, ja jednak nie potrafiłem się powstrzymać, by nie znajdować wciąż dziury w całym. - Szwajcaria ma dwie rzeczy w nadmiarze - zegary z kukułkami i góry. Jaki jest sens pokonywać całą tę drogę tylko po to, żeby zobaczyć jeszcze jedno zarośnięte wzgórze.

- Po pierwsze, podróż sama w sobie jest piękna - rzekł cierpliwie. - Po drugie, znajdziemy się właściwie na dachu świata, skąd rozciąga się widok aż po Matterhorn. Po trzecie, nie ma tam absolutnie nic do roboty, będziemy tylko spacerowali, odpoczywali i patrzyli na śnieg.

- Jest zbyt wcześnie - mruknąłem. - O tej porze śniegu nie będzie.

- Na lodowcach zawsze jest śnieg - odpowiedział triumfującym tonem. - Jestem pewien, że znowu zaczniesz sypiać i przybierzesz trochę na wadze. A co najważniejsze, może znajdziesz osobę, której szukasz.

- Tak? Kogo?

- Siebie, idioto.

*

Wysiedliśmy z pociągu w Sionie i przeszliśmy piechota do kolejki linowej, jadącej prosto w górę. W niecałe dwadzieścia minut później znaleźliśmy się o tysiąc pięćset metrów wyżej, w miasteczku Crans-Montana.

Czy to przypadkiem, czy celowo, Chaz wybrał „Hotel du Parc”, który był na początku stulecia sanatorium dla chorych na gruźlicę. We wszystkich pomieszczeniach wyczuwało się jakoś atmosferę rekonwalescencji. Przyczyniał się do tego również majestatyczny widok na Matterhorn.

Wbrew twierdzeniu, że rzadkie wysokogórskie powietrze nie pozwala zasnąć przez kilka pierwszych nocy, gdy tylko znaleźliśmy się w naszym pokoju, wyciągnąłem się na łóżku i zasnąłem w ubraniu. Ostatnie, co zapamiętałem, to Chaz ściągający mi buty.

- Tak, tak, braciszku, odpoczywaj. Jesteśmy na czarodziejskiej górze. Jeszcze trochę, a poczujesz się lepiej. Wiem, że tak będzie.

Nawet najbardziej zatwardziały mizantrop otrząsnąłby się z pesymizmu na widok potężnej góry w śniegowej czapie, lśniącej w jaskrawym letnim słońcu. Chleb pochodził z piekarni po drugiej stronie ulicy, masło od krowy z sąsiedniego gospodarstwa, ser przywożono z pobliskiej wioski.

Niczym dwaj uczniacy załadowaliśmy masę bułek do naszego panier, na piknikowy lunch, który zamierzaliśmy zjeść na stoku lodowca, jeszcze o tysiąc pięćset metrów wyżej.

Gdy wysiedliśmy z wagonika kolejki linowej na wysokości trzech tysięcy metrów, zabrakło mi tchu, tak rzadkie było powietrze. Przed nami rozciągała się ogromna wklęsła niecka pokryta śniegiem.

Zawsze sumienny przewodnik wycieczki, Chaz, zwrócił moją uwagę na co bardziej atrakcyjne narciarki w mikroskopijnych kostiumach bikini.

- I co z tego? - spytałem kwaśno. - Ty jesteś żonaty, a mnie to guzik obchodzi. Lepiej zjedzmy lunch.

Chaz wybuchnął śmiechem.

- O co ci chodzi? - spytałem.

- Czy wiesz, że jest dopiero dziesiąta? W każdym razie bardzo się cieszę, że odzyskałeś apetyt.

*

Po tygodniu pobytu wśród spokojnych lasów, nie zanieczyszczonych jezior, nad którymi położone były małe miasteczka i wioski, po wielu godzinach spacerów, zacząłem odzyskiwać siły. Nawet psychiczne rany zdawały się dokuczać mi nieco mniej.

Zaproponowałem bratu, żebyśmy wybrali się na narty.

- Ale profesor Tammuz powiedział, że powinieneś się oszczędzać.

- Daj spokój, lodowiec jest płaski jak naleśnik. Jeśli miałbym gdzieś jeździć na nartach, to właśnie jest wymarzone miejsce.

Mimo że nie czułem się z początku zbyt pewnie na nogach, potrafiłem się utrzymać w pionie i już w południe zjeżdżałem z góry w całkiem przyzwoitym stylu. Było to radosne uczucie. Można powiedzieć, że Chaz był umiarkowanie zadowolony.

W kilka dni później szliśmy głównym placem, szukając miejsca, gdzie moglibyśmy zjeść lunch, gdy zauważyłem na murach kościoła plakat, zapowiadający koncert słynnego Vladimira Horowitza. Crans, położone strategicznie między Genewą a Mediolanem, przyciąga nadzwyczaj kosmopolityczne towarzystwo.

Tamtego popołudnia, pośrodku sanktuarium o surowych białych ścianach, ustawiono platformę, ozdobioną wspaniałym hebanowym fortepianem, idealnie wypolerowanym.

Gdy zbliżała się pora koncertu, zacząłem odczuwać coraz większe podniecenie. Od tak dawna nie słuchałem muzyki na żywo (właściwie przez ostatnie kilka miesięcy „słuchałem” muzyki tylko w głowie, gdy ćwiczyłem na mojej klawiaturze).

O czwartej nieduży kościół był wypełniony po brzegi Horowitz wszedł na podium, chudy jak szczapa i przygarbiony. Miał ptasią twarz, sprawiał wrażenie podenerwowanego.

Ale tylko dopóki nie usiadł przy fortepianie. Wtedy zanim nawet zagrał pierwszy akord, emanowała już z niego niezwykła pewność siebie.

To było niezapomniane przeżycie. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś grał tak subtelnie, a równocześnie wkładał w to tyle uczucia. Przez jedną ulotną chwilę żalowałem mojej życiowej decyzji sprzed lat.

Zróznicowany program dowodził, że Horowitz nie boi się żadnego stylu. Jego interpretacje były oszołamiające, a tempo zawsze żywe. Odnosiłem wrażenie, że chce zademonstrować, iż człowiek potrafi grać bardzo szybko i jednocześnie być artystą, a nie tylko sprinterem.

Część *allegretto* sonaty fortepianowej Mozarta była dość szybka. *Scherzo* Chopina jeszcze szybsze. Ale *piece de resistance* był finał, trwająca zaledwie półtorej minuty *Etiuda F-dur* Maurycego Moszkowskiego, mało znanego kompozytora polskiego, która pozbawiła tchu zarówno publiczność, jak i solistę.

A jego bis był dla mnie niespodzianką i podniecającym przeżyciem. Była to aranżacja własna Horowitza utworu Johna Philipa Sousa *Stars and Stripes Forever*, odegranego z taką werwą i klasą, że gdy naśladował *piccolo obbligato* w wielkim finale, brzmiało to tak, jak gdyby miał troje rąk. Wstałem pierwszy, gotując mu owację, powodowany zarówno patriotyzmem, jak nabożnym podziwem dla geniuszu artysty.

Atmosfera kościoła sprawiła, że słuchacze poczuli się zjednoczeni. Wielu z nich podchodziło spontanicznie, by uścisnąć mistrzowi dłoń, jego twarz zdradzała, że nie jest do tego przyzwyczajony. Gdy stałem, czekając, aż nadejdzie moja kolej, spojrzałem na klawisze z kości słoniowej wspaniałego Steinwaya, z pożądaniem człowieka, który po niezwykle długim pobycie na bezludnej wyspie widzi po raz pierwszy zmysłową kobietę. Zauważywszy moje opętanie, Chaz szepnął:

- Pokręć się tutaj trochę i zagraj, kiedy wyjdzie.

W końcu Horowitz umknął swoim sympatykom i w kilka chwil później kościół opustoszał. Pozostaliśmy tylko Chaz, ja i fortepian.

- Myślisz, że zamykają kościół na klucz?

- To mała miejscowość - odpowiedział. - Nikt niczego nie zamyka. Dalej, zafunduj sobie ucztę. Pójdę kupić kilka pocztówek. Spotkamy się w hotelu.

Pokusa była ogromna. Po raz pierwszy od bardzo dawna usiadłem na stołku przy fortepianie, nie osmielając się dotknąć klawiszy. Zastanawiałem się, co powinienem zagrać w pierwszej kolejności.

A potem przyszła myśl, co mogę zagrać.

Powoli, z rosnącym przerażeniem, poznałem odpowiedź - nic. Kompletnie nic.

I wtedy dotarło do mnie, że być może przeżyłem fizycznie utratę Silvii, ale muzyka odeszła bezpowrotnie.

Z moich rąk. Z mojej głowy. Z mego serca.

Rozdział 14

Czułem się prawie niewidzialny, idąc w tłumie wesołych turystów, rozmawiających z ożywieniem, co zamierzają zjeść na kolację.

Postanowiłem nie mówić nikomu o mojej wewnętrznej niemocie. Nie będę martwił bliskich.

Po powrocie do hotelu dokładałem wszelkich starań, żeby podczas posiłku rozmowa była interesująca, zdając sobie sprawę, że prędzej czy później Chaz zada mi to przykre pytanie. Gdy tego samego wieczora siedzieliśmy spokojnie na werandzie, rzeczywiście spytał:

- I jak poszło?

- Co?

- Ponowne zjednoczenie z fortepianem.

- Tak sobie - powiedziałem, wykonując niedbały gest ręką.

Nie zaniepokoił się.

- Daj sobie szansę. Wszystko wróci.

Nie wiedział. Skąd mógł wiedzieć?

Po kilku dniach rozmyślań podjąłem decyzję. Koniec żałoby. Nie pozwolę, żeby moja rodzina gryzła się przeze mnie. Gdyby nie było przy mnie Chaza, prawdopodobnie rzuciłbym się w przepaść z pierwszego lepszego malowniczego urwiska. Ale teraz dzięki Chazowi i Ellen zostanę stryjkiem. Czas skończyć z ukrywaniem się w świecie fantazji, gdzie sceneria jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa.

Chazowi udało się przekonać mnie, że motto Scotta Fitzgeralda (zapożyczone od George'a Herberta) mówi prawdę: dobre życie jest najlepszą zemstą.

- W twoim przypadku - dodał mój brat z nową dojrzałością, którą wyniósł ze swej próby - zadowolilibym się na początek zwykłym życiem.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Musiałem nauczyć się na nowo tej reakcji mimicznej, tak potrzebnej w codziennych kontaktach towarzyskich.

Nieco później tego samego dnia zacząłem wcielać w życie moją decyzję. Chaz stał obok mnie, patrząc z niepokojem, jak wrzucam ubrania do walizki.

- Nie mówisz serio, prawda? - spytał. - Nie zamierzasz naprawdę wrócić do Afryki?

- Cóż, widzę, że wciąż jesteś dostatecznie młody, by nauczyć się czegoś od swego starszego brata, Chaz. To się nazywa dotrzymywaniem zobowiązań. Podpisałem kontrakt na trzy lata i wiem, jak bardzo jestem tam potrzebny. Wracam tam, gdzie mogę dokonać czegoś pożytecznego.

Widział, że podjąłem nieodwołalną decyzję, i pogodził się z tym - postanowił pomóc mi w przygotowaniach do powrotu na pustynię. Mieliśmy do dyspozycji mnóstwo pieniędzy, ponieważ wszystkie rachunki za leczenie zostały pokryte przez Médecine Internationale. Poza tym podczas całego pobytu w szpitalu wypłacano mi również honorarium. Kupiłem więc prezenty dla wszystkich, łącznie z butelką dzinu (normalnej wielkości) dla Maurice'a.

Dopiero wówczas, gdy usiedliśmy w hali odlotów i usłyszeliśmy, jak wywołują mój lot po raz ostatni, Chaz okazał zdenerwowanie. Był rzeczywiście bardzo dzielny przez cały czas, w sytuacji, która stała się dla niego emocjonalną próbą. Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, gdy unikałem o włos śmierci. Aż do tej chwili udało mu się zaprzeczać temu faktowi.

Poklepałem go po ramieniu.

- Nie martw się, Chaz, wróć do domu w jednym kawałku, obiecuję ci.

- Poprzednim razem też tak twierdziłeś - powiedział z lekko drwiącym uśmiechem.

- No i co, skłamałem? Ucałuj ode mnie Ellen szczególnie serdecznie.

Uścisnęliśmy się mocno. Nie obejrzałem się, wsiadając do samolotu.

Gdy znaleźliśmy się w powietrzu, zorientowałem się, że zapomniałem kupić prezent dla François. Na szczęście udało mi się naprawić to poważne przeoczenie podczas przesiadki w Kairze. Kupiłem mu za dwadzieścia pięć dolarów gipsowy model Sfinksa. Jedyne kłopot, że nie mogłem go wypić ani zapalić, ale przecież liczyła się pamięć.

Tak jak obiecał przez telefon, gdy z radością przyjął wiadomość, że zarezerwowałem lot do Asmary, czekał na mnie na samym pasie startowym.

Gdy uczyniłem pierwsze kilka kroków, zabrakło mi tchu w piersi. Nie była to, jak poprzednim razem, podróż w nieznane. Był to powrót do czegoś zbyt znajomego.

François pochwyił mnie w objęcia.

Choć zapewniałem go, że czuję się całkiem dobrze, uparł się, że zanieśe moje bagaże do samochodu. Jednakże najbardziej wspaniałomyślnym gestem, na jaki się zdobył wobec mnie, było powstrzymanie się od palenia z szacunku dla moich świeżo oczyszczonych w Szwajcarii płuc.

W czasie podróży opowiedział mi dosłownie o wszystkim - nie tylko o zmianach personelu, lecz nawet o najdrobniejszych incydentach, które miały miejsce w czasie mojej nieobecności. Było coś z brawury w tym, że ani razu nie wspomniał imienia Silvii.

Jak się okazało wieczorem, zniknięcie Silvii było całkowite, albowiem jej imię zostało wymazane również ze słownictwa całej reszty.

- Brakowało nam ciebie - stwierdził François tonem pozbawionym, o dziwo, tak typowego dla niego sardonicznego humoru. - Dopiero gdy cię zabrakło, zdałem sobie sprawę, jak jesteś cenny. W każdym razie - dodał, klepiąc mnie po udzie - po twoim powrocie możemy znów pracować pełną parą. Udało mi się ściągnąć tamtego Australijczyka, którego poprzednio skreśliłem.

- Jaki on jest? - spytałem.

- Jako lekarz - pierwsza klasa. Jako człowiek - zero.

Najwyraźniej plotka, że skromność nie kwitnie na antypodach, jest prawdziwa. Nie jest tak nieodparty, jak mu się wydaje, ale w czasie gdy przyjechał, Denise była w takim dołku emocjonalnym, że wmówiła sobie, iż jest on odpowiedzią na jej wszystkie modlitwy. W przeciwnym razie jego ego umarłoby z niedożywienia. Prawdę mówiąc, na morale zespołu świetnie wpływa, gdy trafi się jedna czarna owca, której wszyscy nie cierpią.

Jak zwykle, obserwacje socjologiczne François były niezwykle trafne.

Wszyscy czekali na mój powrót. Przynieśli butelki z miejscowym piwem „St. George's”, a ktoś szczególnie hojny poświęcił nawet ostatnią butelkę whisky kupioną w wolnocłowym sklepie na lotnisku.

Podchodzili po kolei, by mnie uściskać, z wyjątkiem potężnego, muskularnego faceta, który podał mi swoją małą rękę i przedstawił się z silnym australijskim akcentem:

- Doug Maitland, junior. - (Jak gdybym mógł znać Douga Maitlanda, seniora). - Szkoda, że mnie tu nie było, stary, gdy zostałeś postrzelony - rzekł skromnie. - Załatwiłbym sprawę na miejscu.

- Och, czyżbyś był neurochirurgiem? - spytałem.

- Nie, ortopedą. Ale znam się trochę na czaszce, a z tego, co słyszałem, rana nie była zbyt groźna. W każdym razie fajnie, stary, że jesteś na pokładzie.

Zaraz, zaraz, pomyślałem. To moja kwestia, a może on teraz sobie myśli, że był tu pierwszy? François musiał grzebać bardzo głęboko w listach „rezerwistów”, żeby znaleźć takiego typu.

Dobrze było znowu zobaczyć wszystkich. Nawet małomówna Marta ucałowała mnie serdecznie, jak również Aida - którą wzruszył bardzo mój prezent w postaci perfum.

Udało mi się przejechać tysiące kilometrów z Zurychu, nie myśląc o tym, co mnie czeka na końcu podróży.

François nie zmienił niczego podczas nieobecności. Dostałem latarkę i Gilles pomógł mi zanieść bagaże do chaty numer jedenaście. Zostawił mnie pod drzwiami, wszedłem do środka sam. Wewnątrz unosił się lekki zapach stęchlizny, ale może tak było zawsze. Nigdy nie zwracałem uwagi na takie klimatyczne niuanse, gdy mieszkałem tutaj poprzednio.

Poświeciłem latarką na łóżko. Leżało na nim starannie naciągnięte prześcieradło i koc zwinięty w nogach. Niespełna trzy miesiące temu kochaliśmy się tutaj, a teraz byłem sam, jak gdyby Silvia nigdy nie istniała. Podeszedłem do komódek, wykonanych pośpiesznie specjalnie dla nas. Otworzyłem szuflady po lewej stronie. Moje ubrania znajdowały się dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. Wyciągnąłem szuflady po prawej stronie. Ubrania Silvii też były na miejscu. Brakowało tylko bicia serca, głosu, osoby.

Jak, u diabła, zasnę tu dzisiaj?

Odpowiedź brzmiała: z trudem.

W czasie mojej nieobecności w grupie rozwinęła się nowa dynamika interpersonalna. Nasz australijski kolega przyłączył się do nas z poczuciem, że wszystko mu się należy, większym niż jego buty. Niemal natychmiast zaczął wywierać nacisk, żeby bungalow numer jedenaście przydzielono jemu i Denise. („Co, do licha - argumentował - to miejsce świeci pustkami. Żadne z nich tu nie wróci”). Na co François odpowiadał:

- Gdy będę tego pewny, zastanowię się nad przydzieleniem go komu innemu.

Zaraz po przyjeździe Doug Maitland junior został dokwaterowany do biednego Gillesa. Mówiąc najogólniej, było to zderzenie kultur. W apogeum swego romansu

wybierali z Denise najbardziej nieodpowiednie pory, by prosić Gillesa o wyniesienie się z chaty. Doug ujmował to w ten sposób:

- Idź poszukać swojego cennego dronta.

Natychmiast zaproponowałem, że zajmę moje dawne łóżko, ale François był nieugięty.

- To niczego nie nauczy tego cholernego Australijczyka. Jeśli jednak chcesz naprawdę pomóc Gillesowi, zachowajbyś się wspaniałomyślnie, pozwalając mu wprowadzić się do chaty numer jedenaście.

- Jasne - odpowiedziałem. - Nie mam ochoty dać temu ciołkowi z antypodów najmniejszej satysfakcji.

Jak się okazało, obie strony świętowały zwycięstwo, co - jak zdradził mi François - jest jedną z tajemnic dobrego kierowania zespołem.

Oczywiście, musiałem opróżnić szuflady dla Gillesa. François rozdał więc dobytek Silvii najbardziej potrzebującym.

Szybko przywykłem z powrotem do codziennej rutyny. Pacjenci się zmienili, ich dolegliwości - nie. Nadal było mnóstwo niepotrzebnego cierpienia.

Wciąż traciliśmy chorych, których w normalnych warunkach udałoby się wyleczyć na miejscu i odesłać do domu, gdzie żyliby jeszcze przez długie lata.

Pewnego wieczora, zanim usiedliśmy do kolacji, François przyparł mnie do muru, mówiąc:

- A propos, Matthew, jutro jest wtorek.

- Miło mi to słyszeć - zwłaszcza że dziś jest poniedziałek. Martwiłbym się, gdyby było inaczej.

- Daj spokój, Matthew, wiesz, co Maurice i ja robimy w każde wtorkowe popołudnie.

- Taak, racja - nagle dotarło do mnie. - To dzień zaćmy, prawda?

- Owszem, i chciałbym mieć cię w odwodzie.

- Od kiedy to potrzebujesz pomocy przy zabiegach które wykonywałeś tysiące razy?

- Od wtedy. - Wyciągnął dłonie. Zauważyłem wyraźną opuchliznę na stawach, która mogła być całkiem świeża, ale równie dobrze mogłem jej wcześniej nie zauważyć. Wyglądała groźnie.

- W czym widzisz problem? - spytałem, dając mu możliwość zatajenia szczegółów, których nie chciał zdradzić.

- No, Matthew, postaw diagnozę. Wygląda to na gościec przewlekły postępujący. I tym właśnie jest.

- Och, bardzo mi przykro.

- W porządku. Miałem dość czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Na szczęście lubię uczyć i, szczerze mówiąc, tęsknię za światłami Paryża. A na razie tutaj mam gotowe rozwiązanie.

- To znaczy?

Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się.

- Ciebie, *mon cher*. Ponieważ od jutra zaczniesz się uczyć, żeby zastąpić mnie przy operacjach zaćmy.

- Dougowi się to nie spodoba - zauważyłem.

- No cóż, mnie nie podoba się Doug, zatem jesteśmy kwita. To prosta operacja i nasza organizacja zawsze szkoliła niechirurgów, specjalizujących się w przeprowadzaniu tego jednego zabiegu oftalmicznego. Nie martw się, nie poproszę cię o transplantację rogówki czy o coś w tym rodzaju.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zdawałem sobie sprawę, jak trudne musi to być dla faceta pokroju François.

- Matthew, czemu masz taką ponurą minę? - zbeształ mnie.

- No cóż, wiem, że może to być dla ciebie szokiem, ale naprawdę cię lubię.

- Dzięki, ale, na miłość boską, nie mów o tym nikomu.

Nie chcę stracić image'u.

- Cholera, jak poradzimy sobie bez ciebie? - spytałem.

- Z pewnością świetnie. Będiesz dla nich wszystkich pierwszorzędnym szefem.

Tamtej nocy, gdy wróciłem do chaty, kłębiły mi się w głowie zupełnie inne myśli. Zaledwie dzień wcześniej litowałem się nad sobą. Dzisiaj myślałem o czymś głębszym.

Żal mi było François.

„Zaćma jest prawdopodobnie najczęstszą przyczyną ślepoty na świecie i największym obciążeniem... Jej ogromne rozpowszechnienie w krajach zacofanych wiąże się przypuszczalnie z wysokim stopniem nasłonecznienia...”

Nie mogłem zasnąć, powędrowałem więc do pustej jadalni, odgrzałem kubek słonawej kawy i zacząłem czytać materiały na temat mojej przyszłej specjalizacji chirurgicznej.

W miejscach takich, jak Erytrea, częstotliwość występowania tej choroby jest przynajmniej dwudziestokrotnie większa niż w Europie i Ameryce. Dlatego żaden zespół, wart pieniędzy, które mu się płaci, nie pojedzie na pustynię bez dobrego (jeśli nie zatwierzonego przez zarząd) chirurga okulisty.

Nazajutrz François był zgryźliwy jak zwykle, ani trochę nie rozczulał się nad sobą. Jestem pewien, że był świadom tego, iż patrzę na niego innymi oczami, obserwując go nie tylko jako lekarz, lecz i szef. A ja próbowałem tylko wyobrazić sobie, jak niewiarygodnie trudna i skomplikowana jest jego praca.

François rzeczywiście przedstawił wszystko zgodnie z prawdą, jeśli idzie o sam zabieg chirurgiczny. Zajął około trzydziestu minut. Przeprowadzono go ze znieczuleniem miejscowym. Nacięcia były proste, ale bardzo precyzyjne. Asystując mu, zacząłem rozumieć, czemu François zdecydował się wycofać, i poczułem do niego jeszcze większy szacunek.

W następnny wtorek własnymi rękami przywróciłem wzrok pięciorgu ślepych ludziom. Było to najbardziej wzruszające doświadczenie w moim życiu. Staruszek zobaczył po raz pierwszy swoje wnuki. Kobieta zobaczyła dorosłego syna, którego ostatnio widziała, gdy był małym dzieckiem. Pomyśleć, że François przeżywał takie sytuacje co tydzień. Mimo woli pomyślałem, jak bardzo musi być mu smutno, że więcej nie będzie mógł tego robić.

W chwili gdy oficjalnie przekazał mi operacje, zaczęły się szerzyć plotki. Towarzysko znalazłem się w stanie zawieszenia - przestałem należeć do „peonów”, ale nie byłem jeszcze szefem.

Jedynie Gilles czuł się ze mną swobodnie, był radosny jak skowronek (że się tak wyrażę), mogąc znów dzielić ze mną pokój.

Ponieważ mój awans wydawał się nieuchronny, przyznano mi lampę naftową, abym mógł pracować w nocy, co wzbudziło lekką zawiść. (Nie wątpiłem, że nazajutrz rano Doug

zażąda takiej samej dla siebie). Oczywiście, dzięki oświetleniu Gilles mógł również studiować swoją ornitologię.

Pewnej nocy, gdy sprawdzałem notatki, a Gilles był pochłonięty swoimi ptasimi studiami, popatrzyłem na jego twarz w migotliwym świetle lampy i wydało mi się, że wygląda jakoś inaczej. Po chwili przyszło mi do głowy, że on - w przeciwieństwie do innych na pokładzie tej dziurawej łodzi ratunkowej w samym sercu pustyni - jest teraz szczęśliwszy.

- Powiedz mi, czy jedynym powodem jest fakt, że pozbyłeś się z karku tego głupiego kangura?

- Słucham, Matthew?

- Czy zdarzyło się coś podczas mojej nieobecności?

- Hmm - odchrząknął i rzekł wymijająco: - Wziąłem krótki urlop i poleciałem do Kenii.

- Ach tak, masz tam przyjaciół?

- Prawdę mówiąc, tak. Pewnych ludzi, którzy pracowali z moimi rodzicami.

- Co tam robią?

- Moja matka i mój ojciec byli medycznymi misjonarzami. Umarli wiele lat temu, kiedy byłem dzieckiem. Ale nawet gdy żyli, mieszkaliśmy przeważnie z ciotką i wujem we Francji i widywałem rodziców tylko podczas urlopów, które spędzali w domu. Nie potrafiłem zrozumieć, czemu mnie porzucili. Gdy wreszcie złożyłem wizytę ich przyjaciołom, opowiedzieli mi, jak trudno było matce mnie zostawić.

A mnie przez wszystkie te lata nie przyszło nawet do głowy, że za mną tęskni.

Odłożył książkę i zdjął okulary.

- Zostali zabici podczas powstania zbrojnego Mau-Mau w latach pięćdziesiątych i od tamtego czasu stałem się jeszcze bardziej zgorzkniały. Dopóki nie przyjechałem tutaj. Teraz robię to, co oni niegdyś robili, i rozumiem, czemu poświęcili życie. Odwiedziłem szkołę nazwaną ich imieniem i złożyłem kwiaty na ich grobie. - Milczał przez chwilę, westchnął głęboko, po czym dodał cicho: - Myślę, że gdy skończy się mój kontrakt tutaj, pojadę do Kenii i będę kontynuował ich pracę.

Byłem wzruszony, że potraktował mnie jako swego powiernika. Teraz on odważył się zadać mi pytanie.

- Matthew, czy mógłbym cię o coś spytać? Dużo o tym myślałem.

- O co chodzi?

- O twój „głuchy” fortepian.

Wcześniej czy później musiało to wypłynąć.

- A co chciałbyś wiedzieć?

- Nigdy nie widziałem, żebyś po powrocie na nim grał.

Czy zarzuciłeś grę z jakiegoś konkretnego powodu? Przepraszam, jeśli wtykam nos w nie swoje sprawy... - dodał nieśmiało.

- Nie, wszystko w porządku - skłamałem. - Po prostu nie mam czasu.

Widziałem, że go to nie przekonało.

- Ludzie mówią, że byłeś bardzo dobry. Wręcz świetny

- Chyba byłem... kiedyś.

Gilles zauważył, że nie mam ochoty otwierać szerzej drzwi do mojej duszy. Mimo to jednak, gdy przekręcał się na łóżku, wyrwała mu się mimowolna uwaga:

- Po prostu fatalnie.

- Co takiego? - spytałem, lekko zakłopotany.

Odwrócił się do mnie przodem i popatrzył na mnie, mrużąc swe oczy krótkowidza, nie miał bowiem okularów na nosie.

- Byłem w pokoju, gdy grał wielki pianista i nigdy nie słyszałem nawet jednego akordu.

Od kiedy François powiedział mi kilka miesięcy temu, że będę kierował całym przedsięwzięciem, miewałem przelotne napady wątpliwości, czy poradzę sobie tutaj bez niego - chodzącej encyklopedii. Stopniowo jednak zacząłem niemal czekać z utęsknieniem na jego wyjazd, żeby wprowadzić kilka moich nowych pomysłów, szczególnie w dziedzinie powszechnego programu ochrony zdrowia, nad którym od dawna rozmyślałem.

Podczas tygodnia poprzedzającego oficjalne przejęcie przeze mnie obowiązków szefa odbyłem szczerą rozmowę ze wszystkimi lekarzami. Zapewniłem ich, że nic się nie zmieni w ich pracy, o ile sami tego nie zechcą. (Jak zwykle Maitland stanowił wyjątek. Zażądał dopuszczenia go do zabiegów usuwania zaćmy, a ja odmówiłem). Przeżyłem osobistą satysfakcję, dowiadując się, że cieszą się, iż to ja zostałem wybrany. Wszyscy kolejno obiecali mi pomoc przebrnąć przez pierwsze trudne dni. Stanowili wspaniały zespół, ich oddanie było teraz poparte doświadczeniem. François wybrał dobrze.

W dniu swego wyjazdu szef nie życzył sobie żadnego zamieszania i nalegał, żeby klinika była otwarta jak zwykle. Tylko ja i kierowca pojechaliśmy z nim na lotnisko. Poprzedniego wieczora, lekceważąc zalecenia lekarzy, wypiliśmy morze bimbrow. Dzięki temu François mógł interpretować objawy kaca, który wszyscy mieliśmy, jako wyraz smutku z powodu jego wyjazdu.

Osiemnaście miesięcy, które potem nastąpiły, były okresem budowania. W pewnym sensie korzystniej było mieć François jako naszego człowieka w Paryżu, ponieważ znajdował się blisko sznurków sakiewki. Dzięki jego zręcznej dyplomacji uzyskaliśmy fundusze na założenie - nareszcie! - klimatyzacji w gabinetach lekarskich.

Dokonywał wręcz cudów przy finansowaniu mojej szumnie nazwanej Powszechnej Kampanii Ochrony Zdrowia. Postanowiłem zostawić po sobie coś trwałego, choćby skromny zaczątek programu mającego na celu poprawę zdrowia tych od dawna cierpiących ludzi. Założyłem twardo, że w czasie, który mi jeszcze pozostał, zaszczepię każde dziecko, do którego uda mi się dotrzeć, przeciwko ospie i polio.

Zgodnie z prowadzonym przeze mnie rejestrem, do czasu mojego wyjazdu zaszczepiliśmy prawie czterdzieści tysięcy dzieci. Przeszkoliliśmy też dwadzieścia cztery pielęgniarki i pracowników dwóch szpitali polowych, którzy mieli uczyć podstawowych zasad higieny.

Powoli stawaliśmy się wielką rodziną, której - mimo braku psychicznego przygotowania - musiałem być patriarchą. Tamtego roku, siódmego stycznia, obchodziliśmy ortodoksyjnie święta Bożego Narodzenia jako goście w wiosce Aidy. Pochłoniliśmy wiele misek *zigini* - z całym garnirunkiem.

W ciągu całego tego czasu miał miejsce, co jest dość ciekawe, tylko jeden ubytek w naszych szeregach. Doug Maitland, potężny australijski Tarzan, nie wytrzymał. Jeszcze nie zdążył wyschnąć atrament na jego CV, a już jakimś dziwnym trafem klimat sprawił, że zaczęła dokuczać mu dawna kontuzja, którą odniósł podczas gry w rugby. Wkrótce stało się to - podobnie jak sam facet - nie do zniesienia. Mimo że wprowadziło to zamieszanie w naszym rozkładzie pracy, pozwoliłem mu wyjechać z zaledwie piętnastodniowym wymówieniem.

Z typową dla siebie subtelnością przypomniał mi o swoim ważnym wkładzie pracy.

- Posłuchaj, stary, nie szczędziłem sił na tym zadupiu i liczę na twój cholernie pozytywny list.

Czekaj tatka latka, pomyślałem.

Tymczasem jego nagły odwrót oznaczał, że czeka mnie pilne duszpasterskie zadanie wobec Denise. Próbowałem pocieszyć ją, podkreślając, że warta jest kogoś znacznie lepszego od tego pompatycznego głupka.

- To wcale nie koniec - zaprotestowała dzielnie. - Będę odwiedzała go w Melbourne.

- Jasne, jasne - odpowiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

Gilles nie posiadał się ze szczęścia. Ogłosił już tę wielką nowinę pierwszym dwóm osobom spotkanym przy śniadaniu i gdy mnie tylko zobaczył, zaczął wymachiwać do mnie gorączkowo rękami. Ta triumfująca mina mogła oznaczać tylko jedno.

- Widziałem warzęchę czerwonolicą! Widziałem ją dziś rano! Czy potrafisz wyobrazić sobie, jak się czuję, Matthew?.

- Nie - odpowiedziałem szczerze. - Ale cieszę się, że przydarzyło się to najsympatyczniejszemu facetowi. Serdecznie ci gratuluję.

Erytrea jest krajem, w którym wszystko zdaje się nie mieć końca. Susza zaczęła się w 1968 roku - przed ponad dziesięciu laty - i człowiek miał wrażenie, że będzie trwała wiecznie. podobnie wojna domowa, która nadal nie słabła. Siły partyzanckie doszły już do siebie po ataku Rosjan w 1978 roku, ale nic nie świadczyło o tym, żeby którakolwiek ze stron traciła wolę walki lub że konflikt zostanie rozwiązany w najbliższej przyszłości. Głód nadal stanowił niezmienny element życia.

Wszystko to w sposób nieunikniony dało się we znaki moim współpracownikom, którym kolejki nie wydawały się nigdy krótsze nawet o jednego pacjenta, oraz zespołowi urazówki, który ciągle, dniem i nocą usuwał kule z ciał rannych.

Gdy nadeszły kolejne święta Bożego Narodzenia, widziałem, że wszyscy marzą o domu. Nawet ja byłem coraz bardziej znużony, starając się podtrzymać ich na duchu, podczas gdy sam miałem kłopoty ze sobą.

Gdy ich kontrakty dobiegały końca, nikt nie poprosił o przedłużenie (jeśli nie liczyć Gillesa, który zamierzał kontynuować swą pracę w Kenii).

Od czasu, który spędziliśmy razem w Szwajcarii, mój brat nauczył się, jak wygrywać w sporze ze mną, nie sprawiając wrażenia, że się spiera. Zorientował się, że mam obecnie zapędy altruistyczne i nigdy nie używał naszej rodziny - nawet mojej małej bratanicy Jessiki - w charakterze przynęty, by ściągnąć mnie do domu.

Zwrócił natomiast moją uwagę na subtelny związek między nowymi naukami genetycznymi a projektem medycyny zapobiegawczej, który usiłowałem wcielić w życie.

„Wyobraź sobie tylko - napisał. - Pewnego dnia odpadnie nam leczenie takich chorób jak cukrzyca, ponieważ przestaną istnieć. Zamiast wytwarzać sztuczną insulinę dla tych, którzy cierpią na jej niedobór, nowe techniki będą naprawiały w organizmie te geny, które powinny robić to w sposób naturalny. Nie chciałbyś zająć się czymś takim?”

Znów połknąłem haczyk.

I przypuszczam, że Chaz domyślił się tego, gdy poprosiłem go, żeby przysłał mi więcej materiałów.

Podczas ostatnich sześciu miesięcy kontraktu zwróciłem się do różnych uniwersytetów, zgłaszając chęć robienia doktoratu w dziedzinie mikrobiologii. Moje raczej szczególne doświadczenie terenowe najwyraźniej wywarło pozytywne wrażenie, albowiem wszystkie szkoły mnie przyjęły.

Wybrałem Harvard wyłącznie z jednego powodu - żebym nie musiał spędzić reszty kariery medycznej na wyjaśnianiu, czemu tego nie zrobiłem. Tam miałem zaszczyt studiowania z Maxem Rudolphem i jego następcą Adamem Coopersmithem.

W noc poprzedzającą mój wyjazd zorganizowaliśmy tradycyjną pijatykę z żartobliwymi przemówieniami i smętnymi mowami pożegnalnymi. Już zaczynałem odczuwać nostalgię, ale starałem się niczego po sobie nie okazać.

Ponieważ lot był bardzo wczesny, nie miałem czasu pożegnać się w stosowny sposób z najważniejszymi ludźmi - pacjentami. Gdy więc zamknąłem walizki i związałem książki, przeszedłem się, by odwiedzić ogniska obozowe tych, którzy czekali na zbadanie nazajutrz rano.

Ponieważ znałem już tigrinę niemal tak dobrze jak angielski, mogłem sobie z nimi pożartować. Wśród pacjentów rozpoznałem kobietę w ciąży, którą kiedyś leczyłem. Jej pierwsze dziecko zmarło z powodu dyzenterii.

Życzyłem jej, żeby następne dziecko spotkały same najlepsze rzeczy. Podziękowała mi za uprzejmość. Pocałowałem ją na pożegnanie i wróciłem do chaty.

Gilles czekał niecierpliwie na mój powrót.

- Matthew, spójrz, prawie zapomniałeś o tym - powiedział, biorąc do ręki mój niemy fortepian.

- W porządku - odrzekłem. - Nie będzie mi więcej potrzebny.

- Ale co mamy z tym zrobić? Przecież nie możemy go wyrzucić.

Zgodziłem się i zaproponowałem mu, żeby dał go w prezencie brzemiennej kobiecie, siedzącej przy ognisku. Był raczej zakłopotany, zastanawiając się zapewne na co jej to. potem jednak dostrzegł jaśniejszą stronę całej sytuacji i powiedział:

- Być może zainspiruje to jej dziecko i kiedyś zostanie wirtuozem.

- Nigdy nie wiadomo. - Uśmiechnąłem się i wszedłem do chaty.

Wciąż brakuje mi tamtych ludzi, pacjentów, a nawet wymęczonego krajobrazu. I gdy pożegnałem się z moimi erytrejskimi przyjaciółmi, było mi bardzo smutno i wstyd, że zostawiam ich, by powrócić do miejsca, gdzie mogę ułożyć nogi wyżej, otworzyć piwo i oglądać w telewizji transmisję sportową.

Mniej więcej na dwa miesiące przed moim wyjazdem zaczęliśmy roboty ziemne pod budowę szpitala na dwadzieścia cztery łóżka, z dobrze wyposażoną salą operacyjną. Może to niezbyt wiele w skali makro, wiem o tym, ale, do cholery, przecież to początek.

I jeśli przywiozłem cokolwiek z powrotem z mojego całego erytrejskiego doświadczenia, to była to świadomość, że coś po sobie pozostawiłem.

CZEŚĆ 3

Nowy Jork, 1980

Rozdział 15

Znana legenda o studencie, przygotowującym się do uzyskania stopnia akademickiego, głosi, że wszedł on do laboratorium inżynierii genetycznej w Harvardzie dwadzieścia lat temu i nigdy z niego nie wyszedł. Niektórzy twierdzą, że wciąż tam tkwi, z okiem przyklejonym do mikroskopu, szukając rozpaczliwie szczególnie nieuchwytnego genu. Jest w tym żdźbło prawdy, ponieważ gdy badacz rozpoczyna takie poszukiwania, jego cząstka pozostaje na zawsze związana z tym fantasmagorycznym światem, w którym nie istnieją noce, dni, zmiany pór roku czy upływ czasu.

Gdy rozpocząłem studia doktoranckie w Harvardzie, moja dziedzina znajdowała się praktycznie w powijkach. Minęło niespełna dwadzieścia lat od czasu, kiedy Crick i Watson odkryli strukturę DNA, dostarczając klucz, który w swoim czasie otworzy każdą tajemnicę siedemdziesięciu pięciu bilionów komórek.

Zdarzali się już jednak wizjonerzy, którzy wierzyli, że wszystkie choroby zostaną ostatecznie wyleczone za pomocą zastąpienia wadliwego genu jego skorygowaną wersją.

Znajdowałem się w gronie tych szalonych fanatyków. Byłem przekonany, że da się to zrobić, powinno być zrobione i nawet gdyby żaden z nas nie miał zmrużyć oka Przez resztę życia - będzie zrobione.

Pierwsze cztery lata po powrocie z Afryki spędziłem przy moim syntetyzerze DNA, przeprowadzając próbę za próbą szukając precyzyjnej kombinacji molekularnej, którą można by zastosować do leczenia raka.

Moje obsesyjne poszukiwanie jednego genu przypomniało mi Gillesa, który marzył o piątej każdego ranka, wypatrując na horyzoncie nieuchwytnego ptaka. A moje pragnienie, by pokonać chorobę, trzymało mnie na nogach przez całą noc.

Czy człowiek może przeżyć, jedząc wyłącznie pizzę? Od lat filozofowie zastanawiali się nad tym problemem. Jako doktorant sprawdziłem to empirycznie. Wiedziałem, że w Erytrei człowiekowi wystarczy injara i niewiele poza tym. Czy dieta złożona z podobnego płaskiego placka, z dodatkiem stopionego sera i plasterków pomidora nie jest nieskończenie bogatsza?

Niektórzy mogą się zastanawiać, co to ma wspólnego z badaniami naukowymi. Odpowiedź brzmi: kiedy człowiek szuka szaleńczo określonej nici DNA, nie traci czasu na obiad czy jakikolwiek inny posiłek. Pozostaje tylko pizza.

Postanowiłem, że moja rozprawa doktorska będzie dotyczyła neurobiologii. Nic dziwnego. Gdy człowiek otrzymał postrzał w głowę, nie ma przesady w stwierdzeniu, że często myśli o własnym mózgu. Tak więc zacząłem badać pólkule mózgowe, drogi przewodzenia impulsów nerwowych, synapsy, by przekonać się, co mogę odkryć w tej wciąż mało znanej dziedzinie. Ten wewnętrzny raj był również miejscem, które nawiedzały czasem potwory, by zasiać swoje niszczyielskie guzy. Coraz bardziej angażowałem się w znalezienie sposobu walki z nimi.

Gdy w 1984 roku zakończyłem badania w dziedzinie biologii molekularnej i uzyskałem tytuł doktora, zostałem w Harvardzie. Myślę, że w dużej mierze z powodu pewnego rodzaju bezwładu. Laboratoria są wszędzie właściwie takie same, a Boston wydawał mi się równie dobry do jedzenia pizzy, jak inne miasta.

Poza tym, gdy czasami decydowaliśmy się z kolegami zjeść coś na zewnątrz, wyciągałem ich niezmiennie do North End, starej włoskiej dzielnicy miasta, gdzie właściwie nie widzi się żadnych napisów ani nie słyszy się słowa w języku angielskim.

Za każdym razem, gdy tam szedłem, wyobrażałem sobie, że spotykam Silwię. Czasami wydawało mi się, że słyszę jej głos lub widzę, jak idzie przede mną. Puszczając się za nią w pościg, a gdy ją doganiałem, okazywało się oczywiście, że mój umysł płata mi figle.

Nawet teraz śniło mi się często, że wróciła, po czym budziłem się po to, by stwierdzić, że jestem sam. Przypuszczam, że nie tylko poszukiwania naukowe trzymały mnie w zamknięciu laboratorium.

Gdy zacząłem publikować wyniki moich badań, otrzymałem rozmaite propozycje od instytucji, sondujących moją gotowość przeniesienia się. Jedna szczególnie atrakcyjna oferta pochodziła z Cornell Medical School, mieszczącej się w wytwornej dzielnicy Manhattanu.

W owym czasie Chaz był bliski rozpaczy, pewien, że staję się „zrzedliwym starym kawalerem”. Bardzo chciał, żebym przeniósł się dokądkolwiek, mając nadzieję, że w podróży od jednego mikroskopu do drugiego spotkam miłą stewardesę i odtąd będziemy

żyli długo i szczęśliwie. Ellen, która podobnie jak on martwiła się moim uczuciowym letargiem, ujęła to nieco bardziej subtelnie:

- W Bostonie istnieje z pewnością właściwa kobieta, jeśli potrafisz ją znaleźć. W Nowym Jorku, nawet jeśli będziesz starał się jej unikać, to ona znajdzie ciebie.

Chaz zachwalał nieograniczone możliwości kulturalne Nowego Jorku, teatr, koncerty, operę i tak dalej. Nie wspominając o tym, że takie wspaniałe otoczenie jest magnesem dla najładniejszych i najinteligentniejszych kobiet.

Tak czy owak, zdecydowałem się wyjechać. Nadeszła pora na zmianę. Udało mi się wreszcie przezwyciężyć poczucie winy z powodu zajmowania lokum, składającego się z więcej niż jednego pokoju. Udało mi się znaleźć na East End Avenue naprawdę ładne mieszkanie, z widokiem na rzekę, który inspirował mnie do tego, bym zaczął biegać (w pasie przybywało mi chyba szybciej, niż postępowała moja kariera).

Mieszkanie miało idealną lokalizację i zdumiewająco rozsądną cenę, choć było wystawione do sprzedaży już od prawie pół roku. Pani Osterreicher, starsza dama, która je sprzedawała, była szalenie wybredna, jeśli idzie o nabywcę. Długo szukała kogoś, komu pozwoliłaby wprowadzić się do mieszkania, które przez wiele lat dzieliła z mężem psychoanalitykiem.

Z jakiegoś powodu (rozpacz?) uśmiechnęła się do mnie w chwili, gdy wszedłem do pokoju, i najwyraźniej wbrew swemu zwyczajowi zaproponowała, że pokaże mi całe mieszkanie.

Nie mogła jednak zdobyć się na to, by wejść do gabinetu męża, stanęła niepewnie w drzwiach, gdy tymczasem ja podziwiałem drewniane półki, od podłogi do sufitu, wypełnione fachową i beletrystyczną literaturą w różnych językach europejskich.

- Jeśli interesują pana którekolwiek z tych książek, doktorze... - zaczęła nieśmiało, nie mogła jednak dokończyć zdania.

- Nie zabiera ich pani ze sobą? - spytałem, reagując natychmiastową empatią na smutek w jej głosie.

- Wyjeżdżam na Florydę do mojej córki, a oni mają tam już całą masę książek.

Przerwała, widząc, że mój wzrok odnalazł fortepian. Był to jeden z tych „salonowych fortepianów”, które produkowano przed wojną, wspaniale wykończony, klawisze z kości słoniowej wręcz nieskazitelne. Instynktownie wiedziałem, że wciąż jest idealnie nastrojony.

- Czy pan gra? - spytała.

- Kiedyś grywałem - odparłem tonem niedzielnego gracza golfowego.

Podeszła do mnie i ujęła mnie pod ramię, uśmiechając się ciepło i czyniąc zapraszający gest w kierunku instrumentu.

- Czy uczyni mi pan ten zaszczyt, doktorze? - W jej głosie pobrzmiewała nutka tęsknoty.

Przez chwilę stałem sparaliżowany, rozdarty między przejmującym pragnieniem, by zagrać dla siebie i dla niej, a przerażającą pewnością, że nadal nie potrafię.

Spojrzałem na klawisze. I nagle znalazłem się na szczycie tych urwistych ścian skalnych w Meksyku, które kuszą śmiałków, by ryzykowali życie. Miałem wrażenie, że jestem tak wysoko, iż sam widok czarno-białych klawiszy przyprawiał mnie o zawrót głowy. Serce tłukło mi się jak ptak w klatce. Cofnąłem się powoli znad przepaści.

- Przepraszam - wymamrotałem - ale wyszedłem trochę z wprawy.

Mimo że pragnąłem uciec stamtąd jak najprędzej, zmusiłem się do tego, by okazać starszej pani grzeczność, i zostałem u niej tak długo, jak to było konieczne. Przez cały czas coś mówiła, ale do mnie nie dotarło ani jedno słowo. Czmychnąłem stamtąd, gdy tylko nadarzyła się stosowna okazja.

Gdy wróciłem do szpitala, czekała już tam na mnie wiadomość od mojego agenta: „Pani Osterreicher chciałaby zostawić panu fortepian w ramach ceny, jaką zaproponuje Pan za mieszkanie. Niech pan je bierze, zanim wsadzą ją do czubków”.

Nie ma słowa, które byłoby dokładnym antonimem nocnego koszmaru. „Sen na jawie” nie pasuje, ponieważ przeżyłem tę niemal zmysłową iluzję w czasie snu tej samej nocy.

Siedziałem w cichym i ciemnym pokoju przy fortepianie doktora Osterreichera. Było późno, a ja byłem kompletnie sam. Potem zacząłem grać. Z łatwością, bez najmniejszego wysiłku. Od pozbawionego sztuczności, prostego preludium C-dur przeszedłem w naturalny sposób do reszty *Das wohltemperierte Klavier*, partit, sonat, wykonując bezbłędnie *Die Kunst der Fuge*. A następnie zacząłem znów od preludium C-dur i kontynuowałem nie kończącą się podróż przez wszystkie utwory wielkiego mistrza na instrumenty klawiszowe.

Moje ciało i duszę przepelniała miłość. Nie tylko znowu grałem, ale zjednoczyłem się z muzyką. Była to najszcześniejsza chwila w moim życiu.

A potem się obudziłem. Jeśli radość, jaką przeżyłem we śnie, była głęboka, to cierpienie po przebudzeniu nawet większe. Wiedziałem teraz z absolutną pewnością, że nigdy nie będę zdolny zagrać na tym przepięknym fortepianie.

Nazajutrz rano zadzwoniłem do pani Osterreicher, by podziękować jej za to, że zgodziła się sprzedać mi mieszkanie, a zwłaszcza za jej wspaniałomyślną ofertę oddania fortepianu, którego niestety nie mogę przyjąć. Odpowiedziała uprzejmie, że rozumie, ale chyba złamałem jej serce.

Gdy przeprowadziłem się w czerwcu z Bostonu, wczesne wieczory były wciąż jeszcze zbyt chłodne, by skusić nowicjusza, który chciał uprawiać jogging.

Znalazłem nawet sprzątaczkę, która zbierała z podłogi skarpetki oraz inne części mojej garderoby i stwarzała pozory ładu. Po powrocie do domu często znajdowałem pożywną kolację do podgrzania w kuchence mikrofalowej wraz z upomnieniem w rodzaju:

Drogi panie doktorze, zdrowie zaczyna się w domu.

Pańska Mary Beth

Mój kontrakt zapewniał mi dwóch osobistych laborantów, dzięki którym moja praca posuwała się zdecydowanie szybciej. Spędzałem również trzy popołudnia w tygodniu, przyjmując pacjentów jako neurolog dziecięcy. Aczkolwiek głównie miałem do czynienia z przypadkami, w których, niestety, mogliśmy jedynie postawić diagnozę i nic poza tym, lubiłem kontakt z moimi małymi pacjentami. To nie pozwalało mi również zapomnieć, po co w ogóle prowadzę badania.

Pod koniec lat osiemdziesiątych inżynieria genetyczna zaczęła w końcu przynosić konkretne rezultaty. W moim przypadku była to technika uruchamiania limfocytów typu T, hamujących wzrost nowotworów u myszy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że tylko pracowałem, a nie korzystałem z żadnych przyjemności. Przynajmniej raz w roku zaliczałem wycieczkę do takich egzotycznych miejsc, jak Acapulco, Honolulu czy Tokio (moi koledzy naprawdę potrafią wybierać miejscowości na organizację zjazdów). A ja musiałem jeździć, ponieważ pełniłem teraz funkcję przewodniczącego.

Te wyjazdy stwarzały okazję do tego, co w owych latach uchodziło za życie towarzyskie - przelotnych, krótkich romansów. Myślę, że niektóre z moich partnerek mogłyby okazać się naprawdę interesujące. Nie ciągnąłem jednak żadnej przygody dłużej, albowiem pomimo wszelkich ewentualnych zalet umysłu i osobowości, żadna z tamtych kobiet nie była Silwią.

Żyliśmy pod presją nieustannego pośpiechu. I myślę, że French Andersen, jeden z pionierów w naszej dziedzinie, najtrafniej wyraził to, co nas ponaglało:

„Spytajcie pacjenta z nowotworem, któremu pozostało zaledwie kilka miesięcy życia. Spytajcie chorego na AIDS, którego ciało usycha... Ten »pośpiech« wynika ze zwykłego ludzkiego współczucia dla naszego bliźniego, który potrzebuje pomocy.. „

Jeśli jednak nasza gałąź medycyny miała się kiedykolwiek rozwinąć, biurokraci w Waszyngtonie musieli znaleźć odwagę, by zezwolić nam na wypróbowanie naszych odkryć na ludziach.

Wchodziły tu w grę kwestie zarówno moralne, jak i medyczne. Doktrynalnym zastrzeżeniem był pogląd, że ingeruje się w dzieło Boga. Istniała również uzasadniona obawa, że ponieważ ciało zawiera przynajmniej sto tysięcy genów możemy uruchomić przez pomyłkę ten niewłaściwy i stworzyć jakiś neoplazmatyczny koszmar.

Dopóki jednak nie udało nam się znaleźć kogoś z FDA³ kto miał w sobie trochę wiary, nasza walka pozostawała dramatem bez ostatniego aktu. Wysoka komisja zawsze jakimiś sposobami omijała tę kwestię, aż w końcu stawała się ona akademicka, to znaczy pacjent umierał. Ktoś musiał skłonić ich, by zezwolili nam na interwencję, gdy wciąż jeszcze pozostaje trochę czasu. I los padł na mnie.

Poznałem Josha Liptona, uroczego jedenastoletniego chłopca o potarganych włosach, gdy leżał na łożu śmierci. Przeniesiono go z Houston, gdzie rdzeniak, rozwijający się błyskawicznie w jego mózgu, był bezskutecznie atakowany za pomocą chemioterapii, radioterapii i chirurgii. Miał przed sobą najwyżej kilka tygodni życia.

Mimo że wyczerpano już wszystkie możliwe środki, jakimi dysponuje medycyna, zarówno Josh, jak i jego rodzice nie poddawali się. I podczas gdy on trzymał się kurczowo

³ FDA – Food and Drug Administration – urząd federalny sprawujący kontrolę nad jakością żywności i lekarstw. (przyp. tłum.)

życia, rodzice nadal szukali innych metod, nawet tych niekonwencjonalnych, oferowanych przez „kliniki dla zdesperowanych” po drugiej stronie meksykańskiej granicy.

Zdecydowałem się zwrócić do Waszyngtonu, by potraktowano Josha na wyjątkowych zasadach. Nakłoniłem dwóch światowej sławy ekspertów, by przedstawili oświadczenia, złożone pod przysięgą, stwierdzające, że żadne znane metody leczenia nie są w stanie pomóc temu chłopcu. A ponieważ nie grozi to dalszym cierpieniem ani uszkodzeniami, eksperci usilnie przekonywali rządowych ważniaków, żeby pozwolili nam zastosować moją technikę, która przynajmniej w eksperymentach laboratoryjnych skutecznie hamowała rozwój nowotworu.

Biurokraci prowadzili świętoszkowate dyskusje, a tymczasem życie uciekało z Josha w szybkim tempie. Zbadałem go pewnego popołudnia i zdałem sobie sprawę, że następnym dokumentem w jego nie kończącym się opisie choroby będzie świadectwo zgonu.

Mimo że nie znałem człowieka osobiście, zadzwoniłem do przewodniczącego komisji, doktora Stephena Grabinera.

- Czy chce pan, do cholery, żebym przeczytał zgodę FDA na jego pogrzeb? Niech pan będzie poważny, doktorze. Proszę zaryzykować. To ja nadstawiam karku, a nie pan - powiedziałem bez ogródek. (Prawdę mówiąc, był to kark Josha, ale w ogniu bitwy pacjenci czasami są spychani na dalszy plan).

Coś się chyba działo po drugiej stronie kabla telefonicznego. Serce poinformowało umysł, który obudził wolę.

- Wygrał pan, doktorze Hiller. Zobaczę, czy uda mi się zwołać komisję podczas weekendu.

To dziwne, jak błahe szczegóły człowiek pamięta z wydarzeń wielkiej wagi. Była prawie trzecia nad ranem w sobotę czternastego marca 1991 roku. Siedzieliśmy w laboratorium i mieliśmy właśnie spróbować nowego przysmaku, pizzy z wędzonym łososiem, którą zamówiłem specjalnie w „Le Mistral”, gdy zadzwonił telefon. Ośmieliłem się założyć, że o tej porze musi to być coś ważnego.

- Cześć, Matthew, mówi Steve Grabiner. Przepraszam, że dzwonię tak późno, wiedziałem jednak, że nie chciałbyś, żebym czekał z tym do rana. Nie będę nudził cię szczegółami, przejdę od razu do sedna - uzyskałeś zezwolenie, by zrobić to jeden raz. Nie obiecujemy żadnych bisów. Rano otrzymasz potwierdzenie faksem.

Zaniemówiłem.

- Doktorze Grabiner, Steve, co mam powiedzieć?

- Cóż - odpowiedział z niefrasobliwym znużeniem -Możesz mi obiecać, że jesteś absolutnie pewny, iż nie zamieni się to w horror.

- Wiesz dobrze, że tego nie mogę uczynić.

- Dlatego zamierzam strzelić sobie podwójną whisky i pójść spać. Dobranoc, stary.

Gdy sporządzałem naprędce listę członków personelu, których muszę obudzić, zaczęły ogarniać mnie skrupuły. Wziąłem na siebie odpowiedzialność za życie ludzkie w podróży w nieznaną. I chociaż rodzice Josha przysięgali, że nie żywią złudnej nadziei, nie mogłem znieść myśli, co będzie dla nich oznaczało moje niepowodzenie.

Czas był wprost bezcenny, toteż zadzwoniłem do dyżurnej pielęgniarki na oddziale Josha, żeby wezwała jego rodziców w celu natychmiastowego podpisania zgody na zabieg. Odpowiedziała, że państwo Liptonowie czekają już w pokoju syna.

Obsesyjnie licząc w myśli każde ziarnko piasku przesypującego się w klepsydrze, pobiegłem przez dziedziniec do windy, która wydawała się dzisiaj posuwać w górę w ślimaczym tempie.

Wreszcie dotarłem na piętro Josha i pośpieszyłem do jego pokoju. Barbara i Greg Liptonowie czekali na korytarzu. Byli w radosnym nastroju, co wydawało mi się niepokojąco przedwczesne.

- Och, doktorze Hiller, to taka wspaniała wiadomość - rzekła z podnieceniem Barbara.

- Dziękuję, panie doktorze - dodał ojciec z większą powściągliwością. - Dał nam pan jeszcze jedną szansę.

Wiedziałem, że najtrudniej będzie mi zachować pewność siebie, nie wyzbywając się jednocześnie wątpliwości. Świetne założenie, ale jak się do niego zastosować? Oni, w stopniu nie mniejszym ode mnie, muszą być również przygotowani na niepowodzenie.

Chłopiec już się obudził i wymieniliśmy kilka przyjaznych słów, gdy tymczasem Resa, moja starsza laborantka, przygotowywała aparaturę.

Spytałem mojego małego pacjenta, czy wie, o co chodzi.

- Tata mówi mi, że to jeszcze jedno nowe lekarstwo czy coś w tym rodzaju.

- Niezupełnie lekarstwo - wyjaśniłem. - To opracowany przeze mnie sposób takiego przekształcenia komórek twojej krwi, żeby wróciwszy do twojego organizmu, pożarły ten guz raz na zawsze.

Skinął sennie głową, ja zaś wziąłem z tacy strzykawkę. Ująłem wychudzoną rękę chłopca i spróbowałem znaleźć nie uszkodzoną żyłę. Wszedłem w nią najdelikatniej, jak umiałem, i ściągnąłem krew.

Następnie Resa pobiegła z powrotem do laboratorium, gdzie dwaj inni moi asystenci czekali, by rozpocząć powolny, skomplikowany i nie udowodniony jeszcze proces manipulowania limfocytami typu T, by zmusić je do zaatakowania guza.

O szóstej rano aparatura w moim laboratorium już szumiała, proces się rozpoczął. Wiedziałem, że musi potrwać dłuższy czas, a tego jednego nam brakowało. Nie pozostawało mi na razie nic do roboty, krążyłem więc po laboratorium niczym niedźwiedź w klatce. Jedyne Resa miała odwagę mnie ochrzanić.

- Na miłość boską, Matt, czy nie możesz łązić gdzie indziej? Działasz wszystkim na nerwy.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Był to Warren Oliver, rzecznik prasowy szpitala.

- Cześć, Hiller, co się dzieje?

Nie byłem absolutnie w nastroju, żeby przeżywać moje niepokoje na forum publicznym, toteż spróbowałem go zbyć. On jednak okazał się uparty.

- Doszły mnie słuchy, że dostałeś *carte blanche* od chłopaków w Waszyngtonie. To naprawdę fantastyczna wiadomość.

- Jeśli wszystko się uda.

- Uda się, prawda? A nawet jeśli nie, to i tak mamy zdecydowany plus, ponieważ ty pierwszy uzyskałeś zezwolenie.

Usiłowałem zachować spokój, przypominając sobie, że Oliver zajmuje się zamieszczaniem informacji w gazetach, co szybko stawało się specjalizacją medyczną.

- Przykro mi, Warren, ale naprawdę mam w tej chwili ręce pełne roboty.

- Dobra, po prostu nie zapominaj o mnie, Matthew. Od ciebie mogę uzyskać informację z pierwszej ręki.

Odwiesiłem słuchawkę, nie mogąc słuchać jego entuzjastycznej paplaniny, i przysiągłem sobie, że nie będę się zachowywał wobec moich laborantów tak jak Warren wobec mnie.

Zawiadomiłem ich, że wychodzę ze szpitala na śniadanie i nie będzie mnie przez kilka godzin. Nie ukrywali swej wdzięczności.

W trzy dni później zakończyliśmy przeniesienie zmodyfikowanego genu retrowirusowego i można już było wprowadzić nowe komórki do krwiobiegu chorego chłopca. Mimo że oficjalnie nikt nie wiedział, co się miało wydarzyć, napięcie dawało się wyczuć nawet na korytarzu.

Rodzice stali u wezłowania, po obu stronach łóżka, trzymając syna za ręce, podczas gdy ja zacząłem wstrzykiwać czarodziejski eliksir - jak go nazywałem przez wzgląd na chłopca - do jego żyły. Starłem się stwarzać wrażenie człowieka absolutnie pewnego siebie.

- Skąd komórki wiedzą, dokąd iść, panie doktorze? - spytała mnie później Barbara.
- Czy nie istnieje ryzyko, że mogą trafić do innej części ciała?

To była koszmarna wersja.

- No cóż - odpowiedziałem wymijająco - każda z nich ma specjalny adres DNA. Mam nadzieję, że mój wirus ma dobry kod pocztowy.

U pacjenta nie wystąpiła natychmiastowa reakcja, ani pozytywna, ani negatywna.

Weszliśmy w fazę czujnego oczekiwania.

W ciągu dni, które nastąpiły, właściwie w ogóle nie opuszczałem szpitala, najwyżej, żeby trochę pobiegać lub odebrać pocztę. Odwiedzałem Josha przynajmniej kilka razy dziennie, sprawdzając oznaki życia, zaglądając do oczu i tak dalej.

W pewnej chwili jego ojciec przyparł mnie do muru i spróbował wyciągnąć jakieś informacje.

- Na czym stoimy, doktorze?

- Jest jeszcze o wiele za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć, Greg.

- Czemu więc wciąż go pan bada? - spytał.

Nie potrafiłem zdobyć się na to, by mu odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że chcę po prostu sprawdzić, czy jego syn jeszcze żyje.

Pod koniec piątego dnia zawieźliśmy Josha do pracowni radiologicznej na pierwszą tomografię po iniekcji. Wszyscy stoczyliśmy się wokół Ala Reddinga, radiologa, który nagrywał swoje obserwacje na podręczny magnetofon.

- Rozmiary guza - półtora na dwa na dwa - w porównaniu z poprzednim odczytem, czternastego, nie zwiększyły się.

Wśród obserwatorów rozległy się szepty.

- Czy ja dobrze słyszałem, Al? - spytałem, by upewnić się, że sobie tego nie wymyśliłem. - Sugerujesz, że guz się nie powiększył?

- To właśnie przed chwilą powiedziałem, Matthew - odpowiedział śmiertelnie poważnie Redding i odsunął się na bok, żebym mógł lepiej się przyjrzeć.

W tej chwili poczułem gwałtowny przyływ nadziei. Nie miałem jednak odwagi, żeby podzielić się nią z kimkolwiek, nawet z rodzicami Josha, którzy zareagowali zupełnie odwrotnie niż nasz ostrożny radiolog.

Barbara zaczęła cicho płakać.

- Udało się panu, doktorze. Guz przestał rosnąć.

- Nie można tego stwierdzić z całą pewnością - ostrzegłem. - Poza tym, dopóki guz istnieje, choćby w postaci śladowej, zawsze może nastąpić krwotok. Nie mówmy hop.

Być może jest to remisja czasowa. Tymczasem zamierzam wprowadzić do krwi więcej wytworzonych przez nas nowych komórek.

Teraz ja również byłem optymistą. Ostrożnym optymistą.

Tomografia, wykonana w cztery dni później, wykazała nie tylko zahamowanie wzrostu, lecz zmniejszenie wielkości nowotworu. Coraz trudniej było mi ukryć rozradowanie, zwłaszcza gdy pod koniec drugiego tygodnia Josh mógł usiąść na łóżku i spuścić nogi.

- Grasz w tenisa, mały? - spytałem tego ranka, gdy robiłem mu trzecią iniekcję.

- Trochę - odpowiedział.

- A więc powinniśmy ustalić datę meczu.

- Kiedy? - zainteresował się chłopiec, w pełni zdając sobie sprawę z tego, o co naprawdę pyta.

- No cóż, gdy tylko będziesz mógł sprawnie chodzić.

- Świetnie, panie doktorze - rzekł z uśmiechem. Tym razem dostrzegłem w jego oczach wyraźny optymizm.

Cud zdarzył się w trzy noce później. Kończyłem właśnie obchód i postanowiłem wpaść do Josha. Skręciłem za róg i stanąłem jak wryty, nie wierząc własnym oczom. W drugim końcu korytarza szedł mój pacjent z rodzicami. Nie trzymając się żadnego z nich.

Widok był wręcz niewiarygodny, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie. Podbiegłem do niego.

- Jak się czujesz? - spytałem bez tchu.

- Dobrze, doktorze. Tylko spokojnie.

- Dobrze - to mało powiedziane, czuje się wspaniale - roześmiał się Greg. Była to najbardziej jawna demonstracja uczuć, jaką u niego widziałem.

Nie robiliśmy ceremonii i nie umawialiśmy się na spotkanie. Po prostu poleciłem pielęgniarce, by zawiadomiła radiologię, że natychmiast przywozimy chłopca na badanie. A oni nie kazali nam czekać.

Wyniki były fantastyczne. Guz skurczył się do połowy poprzedniej wielkości i przestał uciskać mózg.

Flegmatyczny Al Redding wreszcie dał upust emocjom i potrząsnął energicznie moją dłoń.

- *Mazel tow*, Matt. Udało ci się.

- Nie, Al. To Josh zasługuje na uznanie.

Gdy wróciłem do gabinetu, zadzwoniłem do najważniejszych osób w moim życiu. Matka i Malcolm, Chaz i Ellen nie posiadali się z radości. W chwili gdy odłożyłem słuchawkę, telefon nagle zadzwonił.

- No i co masz do powiedzenia, Matthew? - spytał niecierpliwie Warren Oliver. - Ci dziennikarze są kanałami do naszych ofiarodawców. Na wypadek gdybyś zapomniał, nasze programy badawcze kosztują mnóstwo pieniędzy. A już zwłaszcza winien jestem przysługę facetowi z „NewYork Timesa”. No, dalej - ponaglił mnie. - Graj uczciwie. Powiedz, czy masz coś ważnego do zakomunikowania?

- Na razie nie - odparłem, myśląc, że jeden sukces nie jest wystarczającym dowodem naukowym. - Wszystko, co powiem, może wzbudzić fałszywe nadzieje.

- Powiedziałaś „nadzieje”? To znaczy, że ukrywasz przede mną pozytywną wiadomość? Na miłość boską, Matthew, gadaj.

Zostałem pokonany i wbrew rozsądkowi zgodziłem się zejść do gabinetu Olivera, by udzielić kilkunastominutowego wywiadu i rzucić im parę kąsków na pożarcie.

Na szczęście, wszyscy dziennikarze byli profesjonalistami i w większości lekarzami. To, co powiedziałem, wywarło na nich ogromne wrażenie, ale jednocześnie czułem, że nie zrobią z tego taniej sensacji.

Cała ta reklama nic dla mnie nie znaczyła.

Z jednym osobliwym wyjątkiem.

Nagle zacząłem się zastanawiać, czy całą tę historię opiszą włoskie gazety.

Rozdział 16

Stało się jasne, że nie ma dla mnie ucieczki. Prasa zdobyła chyba wszystkie numery telefonów, pod którymi można mnie było złapać. Jedyne wyjście, to wyłączyć pager i ukryć się w jakimś kinie.

A może pójść na koncert? Przekartkowałem „Sunday New York Times”, chcąc wybrać coś z bogatej oferty imprez muzycznych. Natychmiast podjąłem decyzję.

Właśnie tego popołudnia, w Carnegie Hall, Roger Josephson, wiolonczelista, mąż mojej dawnej przyjaciółki Evie, grał Mozarta, Chopina i Francka. Evie bez wątplenia będzie na widowni i nie tylko dowiem się, co u niej słyhać, lecz również będę mógł podzielić się moimi nowinami.

Bilety były prawie wyprzedane, udało mi się jednak dostać jedno miejsce na końcu pierwszego rzędu. Od czasu ślubu Josephson przybył nieco na wadze, we włosach miał pasemka siwizny. Jego bardziej dystygowany wygląd współgrał z większą dojrzałością techniki muzycznej. Stawał się chyba prawdziwym wirtuozem.

Jako były pianista, nie mogłem nie zauważyć wysokich umiejętności jego akompaniarki, atrakcyjnej Meksykanki, Carmen de la Rochas. Ci dwoje najwyraźniej musieli wiele ze sobą grać, albowiem demonstrowali wyszukane frazowanie i pełne fantazji *rubato*.

W czasie przerwy rozglądałem się za Evie, ale panował tłok, poza tym mogła być jedną z tych żon, które są zbyt nerwowe, by siedzieć na widowni, i kryją się w garderobach mężów.

Roger i jego partnerka zakończyli koncert utworem Chopina, w pełni zasługując na entuzjastyczną owację, jaką im zgotowano.

Zwykle nie mam dość odwagi, by zrobić coś takiego ale - ogarnięty euforią - podszedłem do wejścia dla artystów i przedstawiłem się jako przyjaciel rodziny Josephsonów. Nie miałem żadnego problemu z wejściem.

Oczywiście garderoba wiolonczelisty pełna była lizusów, sympatyków, menedżerów, publicystów i im podobnych. Nie mogłem się zdecydować, by zanurzyć się w ten gęsty tłum, i zamiast tego wspinałem się na palce, wypatrując Evie. W tym momencie podeszła do mnie meksykańska pianistka i spytała z czarującym uśmiechem:

- Czy mogę w czymś panu pomóc?

- Dziękuję - odpowiedziałem. - Jestem starym przyjacielem pani Josephson.

- Ja jestem panią Josephson - zareagowała z iskierką latynoskiej zaborczości. Po mniej więcej sekundzie dotarł do mnie sens jej słów.

- Ale co się przytrafiło Evie? - spytałem niezbyt taktownie.

- Ja. - Uśmiechnęła się, oczy jej rzucały wesołe błyski. - Są rozwiedzeni już od kilku lat. Nie czyta pan gazet?

- Ee, rzeczywiście. Nie było mnie przez pewien czas w kraju - wyjaśniłem, usprawiedliwiając mój brak orientacji w muzycznym świecie. - W takim razie, lepiej już pójdę.

- Może pan zaczeka? Powinna zaraz przyjechać po dziewczynki.

Były to zarazem dobre i złe wieści. Miałem spotkać bardzo drogą memu sercu przyjaciółkę, z którą kiedyś byliśmy nierozłączni. Jednocześnie dowiedziałem się, że minione lata nie były dla niej łaskawe. Była rozwiedziona samotną matką.

- Nie, nie wierzę własnym oczom! - Te słowa zostały wypowiedziane mezzosopranem, radosnym, dźwięcznym jak dzwon głosem. To była Evie, na pierwszy rzut oka wyglądająca tak samo jak prawie dwadzieścia lat temu. Krótko obcięte brązowe włosy, duże piwne oczy, błyszczące jak kiedyś. Policzki miała zaróżowione od marcowego wiatru albo z zaskoczenia, a może jedno i drugie.

Nie zważając na obserwatorów, rzuciliśmy się sobie w objęcia. Jej perfumy miały świeży zapach wiosennych kwiatów.

- Gdzie, u licha, podziewałeś się przez ostatnie dwadzieścia lat? - spytała, obejmując mnie nadal bez skrępowania.

- To długa historia, Evie - powiedziałem, po czym zmieniłem temat: - Ledwie zdążyłem przyjechać do Nowego Jorku, a już dowiedziałem się o kilku zmianach w twoim życiu.

- Taak, można to tak określić - przyznała dobrodusznie. - Chodź, poznasz dwie najważniejsze dla mnie osoby.

Podeszła do dwóch dziewczynek, obu w białych bluzkach i niebieskich sweterkach. Rozmawiały z Hiszpanką, która okazała się tymczasową nianią. Nie można się było pomylić co do ich tożsamości. Wyglądały jak miniaturki matki. I z pewnością miały jej wdzięk.

Trzynastoletnia Lily i jedenastoletnia Debbie zareagowały entuzjastycznie, gdy Evie przedstawiła nas sobie.

- To mój stary przyjaciel, ten genialny pianista, o którym wam tyle opowiadałam.

- Ten, który potem został lekarzem? - spytała Lily.

- I pojechał do dżungli, i nigdy nie wrócił? - spytała jej siostra.

- Mniej więcej - roześmiała się Evie.

- Skąd wiesz, że byłem w Afryce? - spytałem, nie potrafiąc ukryć zdziwienia.

- Mam swoje sposoby - odpowiedziała Evie figlarnie. - Prawdę mówiąc, wiem o twoich sprawach znacznie więcej, niż się spodziewasz, a to wszystko dzięki mojemu wywiadowi.

- Słucham?

- Jego nazwa brzmi: „Absolwent Michigan”. Twój brat był wspaniały, jeśli idzie o informowanie na bieżąco dawnych kolegów o tym, co porabiasz. Twoja rodzina musi być ogromnie dumna.

Dopiero wtedy przyjrzała się bacznie lewej stronie mojego czoła.

- Blizna jest prawie niewidoczna - powiedziała ze współczuciem. - Miałeś chyba łut szczęścia, co?

- Można tak to nazwać - odparłem, celowo starając się, by zabrzmiało to niejasno.

- Co cię sprowadza do Nowego Jorku?

Zorientowałem się natychmiast, że mój osobisty kronikarz nie miał jeszcze okazji przekazać Evie najświeższych informacji o moich ostatnich posunięciach.

- Hm, powinienem chyba odpowiedzieć: Cornell Medical School. Wykładałam tam.

- Doprawdy? - spytała z zadowoleniem. - Czy medycyna okazała się tym, o czym marzyłeś?

- Czy chcesz prostej odpowiedzi „tak” lub „nie”, czy też mogę zabrać ciebie i dziewczynki gdzieś na kolację?

- O, tak! - wykrzyknęły radośnie córki Evie.

- Jesteś pewien, że nie masz w planie nic ważniejszego? - spytała Evie z błyskiem w oku.

- Absolutnie.

Zwróciłem się więc do obu dziewczynek:

- Czy chciałybyście pójść do rosyjskiej herbaciarni?

Obie skinęły z zapalem głową.

Evie udało się jakoś zwrócić na siebie uwagę byłego męża, gestem dłoni dała mu do zrozumienia, że przejmuje opiekę nad córkami, po czym wyszliśmy.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, obie dziewczynki instynktownie wysunęły się naprzód, dzięki czemu mogłem powiedzieć ich matce to, co chodziło mi przez cały czas po głowie.

- Przykro mi, że twoje małżeństwo się nie udało.

- Nie ujmowałabym tego w ten sposób, Matthew. Dzięki niemu mam dwie wspaniałe córeczki, których nie zamieniłabym na nic.

- Mimo to wychowujesz je sama, prawda?

- To jest Nowy Jork - odpowiedziała. - Samotne kobiety stanowią tutaj większość.

Była w dobrym humorze. Wyczuwałem, że gdybyśmy byli sami, usłyszałbym coś na temat ciemniejszej strony jej zerwania z Rogerem.

Jednakże gdy już dotarliśmy do rosyjskiej herbaciarni, naszą uwagę zaprzętnęły całkowicie bliny ze śmietaną i, oczywiście, herbata z samowara.

Minęło tyle czasu od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni, że mieliśmy sobie mnóstwo do opowiedzenia o najważniejszych sprawach. Jak można się było spodziewać, Evie skoncentrowała się przede wszystkim na córkach, a skłonność Rogera do ognistej Meksykanki zeszła na drugi plan. Mówiła o tym szczerze w obecności dzieci, które najwyraźniej już to przeżyły, szczegół po szczególe.

Moją dumą była klinika w Erytrei, temat, który w nieunikniony sposób musiał zakończyć się postrzałem. Potraktowałem tę sprawę przelotnie, nie chcąc denerwować dziewczynek. To odsunęło na inną okazję temat Silvii, zdecydowanie nie przeznaczony dla dziecięcych uszu.

Evie wydawała się równie niepokromiona jak zawsze. Nawet teraz, w dwadzieścia lat od chwili, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, wydawała mi się dokładnie taka jak kiedyś. Silna, odporna, pełna optymizmu, gotowa przyjmować dobro z wdzięcznością, a zło bez uzalania się nad sobą.

Po rozwodzie musiała oczywiście zmienić swoje zawodowe plany, ale Roger był na tyle wspaniałomyślny, że zaprotegował ją do Juilliarda, gdzie udzielała prywatnych lekcji gry na wiolonczeli i nadal grywała z różnymi kameralnymi zespołami, przynajmniej na terenie miasta.

Choć miałem z pewnością wytłumaczenie, czułem się irracjonalnie winny, że nie było mnie w jej życiu w czasie kryzysu, gdy moja przyjaźń mogła okazać się pomocna.

- Jak spędzacie letnie wakacje? - spytałem, próbując zawęzić naszą pierwszą rozmowę do neutralnych tematów.

- Dziewczynki wyjeżdżają na miesiąc z Rogerem i... - wyraźnie nadal trudno jej było to powiedzieć - z Carmen.

Ostatnio jeździłam na festiwal muzyczny do Aspen. A teraz powiedz mi, co ukrywasz?

- Nie rozumiem - powiedziałem zdziwiony.

- Jak ma na imię, co robi, ile dzieci macie?

- O czym ty mówisz, Evie?

- Jak to o czym? O twojej żonie.

- Jakiej żonie?

- Żonie, którą ma chyba każdy średnio przyzwoity facet w Nowym Jorku.

- Przykro mi cię rozczarować, ale ja nie mam żony.

Umilkła, rozważając przez chwilę, co począć z tym fantem, jak ustosunkować się do czegoś, co było dla niej autentyczną anomalią. Wiedziałem, jakie będzie jej następne pytanie, i niemal czułem, jak gorączkowo usiłuje sformułować je w delikatny sposób.

- Och, a więc nie ułożyło ci się?

- Hm - zrobiłem unik - opowiem ci o tym innym razem.

- Jeśli nie jest to dla ciebie zbyt bolesne...

- Nie, nie jest - odpowiedziałem bez przekonania.

Przynajmniej tak to odebrała Evie, która nie straciła daru czytania w moich myślach.

W tym momencie zająłem się dziewczynkami. Chciałem poznać je lepiej i miałem nieodparte wrażenie, że popołudnie z ojcem nie sprawiło im przyjemności.

Na ile zdążyłem się zorientować, obie były bystre i potrafiły się przystosować do tak częstego w dzisiejszych czasach życia w rozbitej rodzinie. Było jasne, że ich matka musiała przeżyć kilka trudnych lat, zajmując się nimi. Albowiem dopiero teraz osiągały wiek, gdy opieka rodziców nie była już konieczna w każdej godzinie dnia i nocy. Na szczęście dla Evie.

Kolacja dobiegła końca, dziewczynki spałaszowały już rosyjskie przysmaki. Przywołałem taksówkę i odwoziłem je do domu. Ku mej radości okazało się, że mieszkają zaledwie o przecznice ode mnie, w legendarnym Beauchamp Court.

- Budynek, w którym mieszkacie, jest słynny - powiedziałem do dziewczynek. - Nazywają go zdrobniale „Carnegie Hall East”. Podobno jest to jedyny dom mieszkalny w Nowym Jorku, w którym każde mieszkanie ma lodówkę, zamrażarkę, kuchenkę i steinwaya.

- Tak - powiedziała Debbie. - Mama lubi nazywać go „filharmoniczną aleją”.

Spojrzałem na Evie. Uśmiechnęła się.

- To była jedyna korzyść z przyznania mi wyłącznej opieki nad dziećmi. Nie było nieporozumień w sprawie własności mieszkania. Cieszy mnie nie tylko fakt, że mam tylu muzycznych sąsiadów - powiedziała z figlarnym uśmiechem - ale że Carmen ostrzyła sobie strasznie na nie zęby i nie udało jej się tutaj wkręcić.

- Nadal nie dała za wygraną - pisnęła Lily.

- O co chodzi, kochanie? - spytała Evie.

- To trochę skomplikowane, ale Carmen powiedziała, że jeśli pan Sephardi dostanie pracę w Londynie, jego apartament na ostatnim piętrze zostanie wystawiony na sprzedaż, a wtedy będą pierwsi w kolejce.

Widziałem, że Evie zareagowała na tę perspektywę wściekłym, lecz niedosłyszalnym: „Cholera!”. By ją pocieszyć, skłamałem, że niewykluczone, iż mnie również zainteresuje to mieszkanie i będę walczył o nie jak lew. Dziewczynki były wyraźnie zachwycone tym pomysłem.

- A teraz mów wreszcie, bo aż mnie skręca, żeby usłyszeć, co masz w tej chwili na warsztacie muzycznym? - spytała Evie z ożywieniem.

Głowiłem się nad odpowiedzią.

- Hm, obecnie przerabiam wszystkie koncerty fortepianowe Mozarta.

- To cudownie! - wykrzyknęła Evie.

- Tylko że ja pozwalam teraz grać Danielowi Barenboimowi - dodałem z zakłopotaniem. - To znaczy, mam tyle pracy w laboratorium, że mogę jedynie odtwarzać płyty kompaktowe. Tak czy owak, to długa historia. Porozmawiamy o tym następnym razem, który, mam nadzieję, nastąpi wkrótce.

W windzie zauważyłem, że Evie porozumiała się wzrokiem z córkami i uzyskała ich milczącą zgodę na to, co zaproponowała.

- Wiesz, Matt, dziewczynki i ja chciałybyśmy zaprosić cię na kolację.

- Będzie mi bardzo miło.

- Jaki dzień ci odpowiada?

- Ja jestem szefem dla siebie, zostawiam więc wam datę do wyboru.

Czekało nas trudne zadanie zharmonizowania naszych rozkładów zajęć. Dziewczynki miały lekcje muzyki w poniedziałki, Evie uczyła we wtorki i czwartki do wpół do jedenastej wieczorem, ja prowadziłem seminaria w poniedziałki i wtorki po południu. Poza tym w różnych terminach miałem wykłady gościnne.

Pierwszy wolny dzień, który udało się nam ustalić, wypadł prawie dwa tygodnie później, z czego nawet się ucieszyłem, ponieważ potrzebowałem czasu, by uporządkować myśli.

Ponowne spotkanie Evie wywołało falę wspomnień. Nie wykorzystane możliwości, stracone szansę. Nie powinienem był nigdy pozwolić, żeby nasze drogi się rozeszły.

Jedno było pewne. Teraz, gdy się znów odnaleźliśmy, nasza przyjaźń zacznie się dokładnie w tym miejscu, w którym została przerwana. I tym razem żadnej przerwy nie będzie.

Rozdział 17

Niedogodność bycia ekscentrykiem polega na tym, że wszyscy natychmiast zauważają, gdy człowiek zaczyna się zachowywać odrobinę normalniej.

Tak więc, gdy w dwa tygodnie później wyszedłem z laboratorium o wpół do szóstej, mówiąc, że wrócę dopiero jutro, natychmiast zaczęto strześć na mnie języki.

Prawdę mówiąc, szok nastąpił już rano, gdy pojawiłem się w pracy przyzwoicie ostrzyżony. Nie było kongresu medycznego ani gości z Waszyngtonu, po kiego diabła zatem szef chce wyglądać schludnie i dobrze się prezentować?

Nie wtajemniczyłem w szczegóły nawet mojej sekretarki Pauli. Kazałem jej zaznaczyć w kalendarzu ten wieczór jedynie jako „kolacja, dziewiętnasta trzydzieści”, z adnotacją, żeby mi przypomniała o „zabraniu lalek”.

Podczas ostatnich dni w Afryce krążyłem po pobliskich wioskach w poszukiwaniu najlepszych (o czym dowiedziałem się teraz) mistrzów rękodzielnictwa, nabywając, a czasami zamawiając, figurki różnych miejscowych postaci, aby - gdy po powrocie do domu ogarnie mnie nostalgia za Czarnym Lądem - napawać się ich widokiem i przypominać sobie, kogo przedstawiały.

Przyglądałem się populacji mojej miniaturowej Erytrei i próbowałem wybrać prezenty dla córek Evie.

Najpierw zamierzałem podarować im miniaturowe modele dziewczynek w ich wieku. W końcu jednak wybrałem dwie figurki najważniejsze dla mnie: starych muzyków grających na instrumentach narodowych - jeden na swoistym bębnie, drugi na skrzypcach o długim gryfie. (Byli dokładnie tacy, jak muzycy na przyjęciu Aidy z okazji świąt Bożego Narodzenia).

Z przyczyn, których początkowo sam nie rozumiałem, postanowiłem nie dawać lalki Evie. Chyba nie chciałem, żeby była częścią tego, co zostawiłem za sobą. Kupiłem jej więc po prostu kwiaty. Pamiętałem, że uwielbia narcyzy.

„Carnegie Hall East” w pełni zasługiwał na swoją opinię. Wchodząc, minąłem się ze znanym pianistą i jego żoną, którzy pewnie wychodzili na koncert (nie jego, ponieważ wtedy z pewnością wychodziłby znacznie wcześniej). Włoski windziarz bez przerwy mówił

o muzyce, wioząc swoją klientkę do miejsca przeznaczenia. Mnie też to nie ominęło, ponieważ natychmiast założył, że muszę być jakimś wirtuozem.

Gdy usłyszał, do kogo jadę, powiedział:

- Pani Josephson to urocza dama. Wspaniały muzyk. Ale co najważniejsze - cudowna matka. - (Czy robił uwagi na temat lokatorów do wszystkich gości, czy też Evie była wyjątkowa?). Po czym dodał: - Moja żona też jest wspaniałą matką, niestety nie gra na żadnym instrumencie.

Niefortunnie dla niego, dotarliśmy wreszcie na piętro Evie.

Nie zdziwiłem się, słysząc dźwięki trzeciego koncertu fortepianowego Rachmaninowa, dobiegające z sąsiedniego mieszkania. Uderzył mnie natomiast pikantny aromat pomidorów i czosnku, sączący się spod drzwi Evie.

Z jakiegoś dziwnego powodu wywarło to na mnie ogromne wrażenie. Prawdziwa domowa kolacja, nie restauracyjna czy z kuchenki mikrofalowej. I prawdziwa rodzina czekała na moje przyjście.

Debbie otworzyła drzwi, oznajmiając, że mamę zatrzymano dłużej na zebraniu i przysłała do domu zaledwie kilka minut temu.

- Czy możesz wrócić trochę później? - zaproponowała przyjaźnie. - Nie jesteśmy jeszcze gotowe.

- Debbie - zawołała Evie karcącym tonem - przyprowadź natychmiast Matthew do kuchni. Witaj - rzekła z uśmiechem, gdy tam wszedłem. - Jak już ci zdążyła powiedzieć kierowniczką sali, jestem trochę spóźniona. Może otworzysz chianti?

Gdy Lily ścierała parmezan do miski, Evie odcedziła makaron na durszlaku. Miała na sobie fartuszek, który chronił prostą, lecz twarzową suknię. Byłem pewien, że nie wkłada jej na zajęcia. Kuchnię wypełniały różne zapachy. Przypomniało mi to nasze studenckie czasy, dawno, dawno temu, gdy pichciliśmy kolację, a potem przez pół nocy graliśmy.

Przywitaliśmy się pocałunkiem w policzek. Czułem, że Lily mogłaby nie zaakceptować takiego jawnego okazywania uczuć, natomiast Debbie z pewnością tak. Potwierdził to jej uśmiech i rumieniec, gdy pogłaskałem ją po głowie ojcowskim gestem.

Gdy dziewczynki skończyły nakrywać do stołu, wyjąłem prezenty, które natychmiast rozwinęły, ogromnie zafascynowane. To dostarczyło tematu do rozmowy na niemal cały czas trwania kolacji.

Wspomnienia z Adi Shuma, którymi podzieliłem się z nimi, były obecnie równie żywe jak sześć lat temu, ponieważ zakorzeniły się głęboko we mnie - nie kończące się kolejki pacjentów czekających przez całą noc (a czasami dłużej) tylko po to, by zobaczyć lekarza dosłownie przez chwilę (nazywaliśmy to „przelotnymi diagnozami”). Osobliwa kolekcja bezinteresownych dziwaków, którzy poświęcili ciepłe posadki w kraju, by pomóc ofiarom głodu, suszy i wojny domowej. Głębsze przeżycia, które zmieniły moje spojrzenie na świat i sprawiły, że czuję się winny, jedząc taki posiłek jak ten.

Dziewczynki były nienagannie grzeczne, nie pozwoliły matce nawet kiwnąć palcem przy podawaniu kolacji czy sprzątaniu ze stołu. Jednakże ewidentnie zignorowały jej niedwuznaczne polecenie, by poszły odrabiać lekcje. Evie musiała przywołać je do porządku ostrym rozkazem:

- Moje panny, albo pójdziecie natychmiast do siebie i weźmiecie się za swoje *devoirs*, albo macie kompletny szlaban na telefony.

Ta groźba zrobiła swoje i obie się ulotniły. Jednakże na odchodnym Debbie przeciągała, jak mogła, prosząc matkę, by pozwoliła jej wrócić, „gdy już wy, robaczki, zaczniecie grać”.

- A kto tu wspominał o graniu - powiedziała Evie z lekkim zakłopotaniem. - Matthew ma za sobą długi dzień i na pewno chce po prostu posiedzieć i odpocząć.

By podkreślić zmianę tematu, spytała mnie:

- O której zwykle zaczynasz pracę w szpitalu?

Temat znacznie mniej dla mnie drażliwy.

- Prawdę mówiąc, zdarza się, że spędzam w laboratorium całe noce.

Ten defekt osobowości nieoczekiwanie zrobił wielkie wrażenie na dziewczynkach.

- To znaczy, że w ogóle nie kładziesz się spać? - spytała Lily, otwierając szeroko oczy.

- Och, zawsze zdrzemnę się trochę na kanapie - wyjaśniłem szybko.

- Czy dlatego się nie ożeniłeś? - spytała prostodusznie Debbie.

Evie zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Dostyc tego, młoda damo. Zostałaś oficjalnie wyproszona.

- Dobrze. Mam nadzieję, że zobaczymy się później.

- Boże, ależ one są bystre - roześmiałem się i wygłosiłem znacznie dłuższy panegiryk, ale powstrzymał mnie od tego jeszcze głębszy rumieniec na twarzy Evie. - Jak Roger może bez nich wytrzymać?

- Och, z łatwością - odpowiedziała z nie ukrywanym niezadowoleniem. - Myślę, że nawet planuje swoje tournee na Daleki Wschód w taki sposób, by kolidowały z ich wakacjami. Nie chce, żeby przeszkadzały jemu, a raczej im. Jak mogłeś się domyślić, Carmen nie należy do osób, które darzę wielką sympatią. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ma trójkę własnych dzieci, które widują równie rzadko. No, ale sam rozumiesz, artystyczne temperamenty.

- Przykro mi, Evie - powiedziałem ze współczuciem. - To naprawdę nie fair wobec dziewczynek i ciebie. Chodzi mi o to, że ty też powinnaś mieć szansę, by odbywać tournee.

- Może kiedy dziewczynki dorosną. Po prostu muszę poczekać. No, ale nasłuchiwałam się już dość o twoich osiągnięciach medycznych. Chciałabym teraz posłuchać o muzycznych.

Nie miałem złudzeń, że ten temat musi wypłynąć w rozmowie. Przecież muzyka nas łączyła, stanowiła nasz wspólny język. Czy dwie ryby mogą rozmawiać, nie poruszając nigdy tematu wody?

Mimo że rozmyślałem o tym, spędziłem naprawdę wiele godzin, zastanawiając się, jak jej przedstawić moje (jak to w ogóle nazwać?) odejście od muzyki, nie udało mi się znaleźć właściwych słów. I jakie mam jej podać rozsądne wytłumaczenie? Uraz po postrzale? Jeśli wierzyć książkom psychoanalitycznym, które przestudiowałem, jest to nader prawdopodobne. Ale czy tak było w moim przypadku?

Poza tym, czy mogłem dłużej unikać rozmowy o widmach mojej przeszłości związanej z Silvia? To one sprawiły, że jestem tym, kim jestem.

A może raczej, kim nie jestem.

Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. I dopiero teraz, otwierając serce przed Evie, zacząłem w pełni rozumieć bolesną ciszę, w której żyłem przez wszystkie te lata.

Zdałem sobie również sprawę, że Evie jest jedyną osobą na świecie, z którą mogłem podzielić się moimi najskrytszymi problemami.

Zacząłem od popołudnia w Crans.

- Mój Boże, Matt. - Ścisnęła dłońmi czoło, nie mogąc wprost uwierzyć. - To musiało być druzgocące przeżycie. Jak udało ci się to znieść?

Ileż razy zadałem sobie to pytanie w ciągu minionych lat? Jak udało mi się znieść pierwszą chwilę, gdy zrozumiałem, że wszystko przepadło?

- Beethoven - powiedziała w końcu, po długim milczeniu. - Właśnie on przyszedł mi na myśl w związku z twoją sytuacją. Ale Beethoven, mimo że nie słyszał, wciąż potrafił komponować. Potrafił stworzyć Odeę do radości, słyszał ją w swojej głowie. Ty musisz czuć się niemy.

- Proszę, Evie, nie przesadzaj. Nie jestem geniuszem. Świat nic nie stracił z tego powodu, że przestałem grać.

- Ależ jesteś geniuszem, Matt - powiedziała tonem pełnym współczucia. Miałem wrażenie, że słyszę ją w moim mózgu.

Przez kilka minut nie odzywaliśmy się do siebie. Potem Evie spojrzała na mnie poważnie i powiedziała:

- Opowiedz mi o wszystkim. Proszę, Matt, nie obawiaj się.

Siedzieliśmy do późnej nocy. Wyrzuciłem z siebie wszystko. O Silvii. O Paryżu. O Afryce, a następnie o zniknięciu Silvii.

Evie po prostu słuchała.

Wreszcie, gdy skończyłem, patrzyła na mnie przez chwilę, po czym zauważyła:

- Wciąż ją kochasz.

- Nie wiem. Raczej wciąż jest obecna w mojej podświadomości.

- Przez cały czas?

- Oczywiście, że nie. Od czasu do czasu. Na przykład, gdy słyszę jakiś utwór, który dla niej grałem. Teraz to nie ma już wielkiego znaczenia.

- Ja odnoszę inne wrażenie - powiedziała z zaskaniem. - Ale, do diabła, Matthew, czemu wciąż usychasz za nią z tęsknoty po tak długim czasie? Sądzisz, że ona kiedykolwiek myśli o tobie?

- Nie wiem - rzekłem wykrętnie, po czym dodałem: - Chyba nie. - A w końcu: - Oczywiście, że nie. Wcale nie myśli.

- Na pewno nie - powiedziała ze złością Evie. - Na miłość boską, Matt, muzyka była dla ciebie tchnieniem życia. Jak mogłeś pozwolić tej kobiecie, żeby ukradła ci duszę?

Nie umiałem znaleźć odpowiedzi na to pytanie, ale Evie nadal nie dawała za wygraną.

- Daj spokój, Matt. To ja, twoja stara przyjaciółka, Evie. Spójrz mi w oczy i powiedz, że potrafisz żyć bez muzyki.

Jak mogłem powiedzieć jej, że nie potrafię? Albo że już to sama zrozumiała?

Położyła rękę na mojej dłoni, mówiąc, że jest to najgorsza rzecz, jaka według niej może przytrafić się artyście.

Przypomniałem jej, że jestem lekarzem.

- To wcale nie przeszkadza, że jesteś artystą - odpowiedziała z uczuciem.

- Dziękuję - wyszeptalem. - W twoich ustach to naprawdę coś znaczy.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym spytała:

- Czy próbowałeś zagrać cokolwiek od tamtej pory? Chodzi mi o coś całkiem prostego, na przykład, menueta G-dur?

- Evie, to skończone. Uciekły mi wszystkie nuty. Nawet przerwy między frazami. Mniej więcej się do tego przyzwyczaiłem. To znaczy, jako lekarz, ratuję życie. To coś w rodzaju przywileju. Wierz mi, gdybym musiał wybierać...

- Ale czemu masz wybierać, Matthew? Za co masz ponosić taką karę?

W pewnym sensie żałowałem, że powiedziałem jej o wszystkim.

A jednak w głębi serca wiedziałem, że gdyby nasze drogi się nie skrzyżowały, nie potrafiłbym dłużej żyć.

Rozdział 18

Czyniłem sobie wyrzuty, że zostałem u niej tak długo. Evie będzie musiała zerwać się rano i wyprawić córki do szkoły. Ja nie miałem takich obowiązków. Ale byliśmy tak pochłonięci rozmową, że straciliśmy poczucie czasu.

Gdy wróciłem do domu, musiałem zwalczyć absurdalną chęć, by zadzwonić do niej, tak jak to czyniliśmy dawno temu, po prostu po to, by jej podziękować.

Nie chciałem czy też nie mogłem spać, usiadłem więc i zacząłem się zastanawiać, jaki wymyślić pretekst do następnego spotkania. (Może zaprosić Evie i dziewczynki na koncert lub do teatru albo na poranną niedzielną przejażdżkę rowerową po parku, a potem lunch w „Tavern-on-the-Green”?). Gdy tak rozważałem różne możliwości, dotarło do mnie, że wszystkie dotyczą naszej pseudorodziny. Czemu w moich marzeniach nie wziąłem pod uwagę zaproszenia samej Evie na kolację?

Czy obawiałem się może zaangażować uczuciowo? Ale wówczas, idioto, jak nazwałbyś tę dzisiejszą rozmowę od serca? Trudno sobie wyobrazić większe zaangażowanie.

Odbyłem wewnętrzny dialog z Chazem, który spytał mnie ironicznie:

- Jaki teraz masz problem, braciszku, boisz się być szczęśliwy?

Odpowiedź: tak.

- Ale to naprawdę łatwe, Matt - mądrzył się Chaz. - Ona jest twoją przyjaciółką od dwudziestu lat. To nie początek, lecz naturalna kontynuacja. Może byś tak się odprężył i pozostawił rzeczy własnemu biegowi?

Czasami mój brat gadał sensownie, zwłaszcza w mojej wyobraźni. Posłuchałem więc jego rady.

Zadzwoniłem nazajutrz, by podziękować Evie. Ona również ominęła własne uczucia, podkreślając, że dziewczynki naprawdę mnie polubiły i błagały, żeby mnie zaprosiła jak najszybciej.

- A może miałbyś ochotę - spytała - uczestniczyć w przyjęciu z okazji urodzin Mozarta w następną sobotę?

Co roku zbieramy się w gronie kolegów i przyjaciół, by je uczcić. Każdy, kto ma na to ochotę, może zagrać.

Ohoho, to mi wyglądało trochę tak, jak gdyby chciała wyrzucić na mnie nacisk. Evie jednak szybko mnie uspokoiła.

- Jeśli ktoś nie gra na żadnym instrumencie, może po prostu pozostać słuchaczem. Musisz więc tylko usadowić się wygodnie, słuchać i wybaczać niewybaczalne potknięcia.

- Potknięcia?

- Jasne, przecież to zbieranina różnych muzyków. Moja najbliższa przyjaciółka, Georgie, uczy gry na altówce na naszym wydziale u Juilliarda. Jej mąż jest księgowym i naprawdę przemiłym facetem, ale mówiąc ogólnie, jako pianista jest partaczem. Staramy się tego nie słyszeć, ponieważ uwielbia grać. Czy zechcesz przyjść?

- Jasne, a co ty będziesz grała?

- No cóż, grywam w kwintetach albo gdziekolwiek mnie zaproszą.

- Może być zabawnie. O której mam do ciebie przyjechać?

- Odpowiada ci ósma?

- Świetnie. Czy mam coś przynieść?

- Owszem, jakieś dobre białe wino, a ja przygotuję moją słynną lasagnę.

- Dobrze. Cieszę się na nasze spotkanie.

Luigi zawiózł nas na przyjęcie, które odbywało się o trzy piętra niżej, z czterokrotnie mniejszą szybkością, wykorzystując czas podróży na rozmowę ze mną.

- Ten pan jest pianistą, prawda?

- Kto panu powiedział? - zareagowałem z lekką paranoicznie.

Evie wzruszyła ramionami, odżegnując się od wszelkiej odpowiedzialności.

- To oczywiste - wyjaśnił Luigi. - Nie ma pan ze sobą instrumentu. Na czym mógłby pan grać, jeśli nie na fortepianie?

- No cóż, mogę być śpiewakiem - zażartowałem.

Nasz rozmówca rozważał przez pół sekundy tę możliwość, po czym rzekł:

- Nie, nie sądzę.

Rozmowa się skończyła. Dotarliśmy na miejsce.

Nigdy nie bawiły mnie specjalnie przyjęcia, dlatego zawsze z radością wykorzystywałem każdą okazję, by grać. Przy każdej okazji, z wyjątkiem być może pogrzebów, proszono mnie, bym usiadł do fortepianu.

Zwróćcie uwagę, że tym razem nie brakowało mi tematów do rozmowy, ponieważ orientowałem się doskonale, jaki nowy artysta pojawił się na muzycznej scenie. Co więcej, odczułem ulgę, że jestem „na emeryturze”, gdy spotkałem muzycznego krytyka z „New York Timesa”. Facet krytykował wszystko, łącznie z zakąskami (na szczęście smakowała mu lasagna Evie, w przeciwnym razie spuściłbym mu lanie).

Repertuar starego poczciwego Amadeusza został rozpracowany z naciskiem na smyczki. Następnie doszli do moich ulubionych kwintetów. Kwintet Es-dur był popisem na cześć naszego gospodarza, filharmonijnego księgowego. Evie powiedziała mi, że przygotowywał się do tego przez cały rok.

Podczas gdy inni członkowie zespołu zajmowali swoje miejsca, strojąc instrumenty i rozmawiając, on stał, wyraźnie zdenerwowany, przyglądając się słuchaczom. Nie wiedząc czemu, zatrzymał wzrok na mnie.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się niepewnie. - Jesteś może przyjacielem Evie? Mam na imię Harvey. Nie mogę sobie przypomnieć twojego imienia.

Przedstawiłem się ponownie. Najwidoczniej straszliwie bał się swojej wielkiej chwili.

- Słuchaj, Matt, zauważyłem, że nie grasz. Ale czy umiesz czytać?

- Co masz na myśli? - spytałem przyjaźnie.

- Czy potrafisz przewracać mi strony, podczas gdy będę grał?

- Oczywiście, Harvey. Zrobię to z przyjemnością.

Evie rozmawiała z ożywieniem przy misie z ponczem, ale nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się do mnie, jak gdyby chciała powiedzieć: „Baw się dobrze. Ja tego też nie zaplanowałam”.

Następnie rozpoczął się występ. Harvey trzymał się jak Herkules, by nadążyć za muzyką. Czuję się niczym lekarz stażysta, przyglądający się, jak szczególnie niezręczny chirurg partaczy prostą operację. Tym razem pragnąłem się wtrącić, wybawić Mozarta z opresji. Jednakże mimo fuszerki nieszczęsnego Harveya, cieszyłem się, że jestem znów tak blisko fortepianu.

Dzięki Bogu, utwór dobiegł końca. Potem Evie i jej koledzy zajęli miejsca, by zagrać kwintet smyczkowy. Przechodząc, pocałowała mnie i szepnęła:

- To była świetna robota, Matt.

- Dzięki. - Roześmiałem się i pocałowałem ją w szyję.

Nie byłem pewien, czy nie jest to pretekst do kontaktu fizycznego, ale w każdym razie zyskałem przyjaciela w osobie Harveya i obiecałem mu, że będę przewracał strony, gdyby występował jeszcze tego wieczora (Boże, błagam, nie!).

Evie dotrzymała słowa i nie wspomniała o mojej pianistycznej przeszłości. Musiała jednak przedstawić mnie kilkorgu przyjaciołom jako przyszłego... partnera? Albowiem niemal wszyscy ludzie, z którymi rozmawiałem, oceniali ją wysoko jako człowieka i muzyka. Któryś z mężczyzn wypowiedział opinię, że jej mąż Roger „był kompletnym palantem, skoro rzucił taką świetną dziewczynę. Ale prędzej czy później Carmen doda jego jaja do swojej kolekcji i Roger wróci na klęczkach do Evie”.

Z pewnością nie, jeśli będę miał coś do powiedzenia na ten temat.

Przyjęcie trwało tak długo, że Luigi poszedł już do domu. Gdy wreszcie wróciliśmy do Evie, Bob, pracujący na nocną zmianę, czekał cierpliwie, czy ma mnie zwieźć na dół. Nie byłem pewien, czego pragnie Evie, na szczęście jednak powiedziała:

- Nie mieliśmy dzisiaj okazji, żeby pogadać. Może wpadniesz do mnie na chwilę?
- Świetnie - odpowiedziałem, na co Bob się ulotnił.
- Zaparzę kawy, możemy wypić ją w studiu - zaproponowała Evie, wskazując na pomieszczenie na prawo od drzwi frontowych. - Bezkofeinową czy prawdziwą?
- Dla mnie prawdziwą. Później pojedę jeszcze do laboratorium.
- O tej porze?
- To pewien rytuał, który ustanowiłem. Lubię upewnić się, że chłopcy, którzy pracują „na nocnej zmianie” w sobotę, dostali swoje ciasteczka.

Wszedłem do studia i zapaliłem światło. Był to prawdziwy raj dla muzyka. Każdy centymetr ściany, którego nie zajmowały półki z książkami, był wyłożony dźwiękoszczelną płytą korkową, by umożliwić grę o dowolnej porze komuś, kto ma akurat natchnienie. Biblioteka Evie zawierała chyba wszystkie prace, które zostały napisane na temat wiolonczeli.

Stanowisko Evie znajdowało się przy oknie, tak by podczas gry mogła patrzeć na rzekę. Stał tam również Steinway. Evie wniosła tacę z kawą, w chwili gdy podchodziłem do fortepianu. Wykazała ogromną delikatność, nie mówiąc ani słowa.

Odebrałem jej tacę, postawiłem na stole i wziąłem Evie w ramiona.

Staliśmy przez chwilę mocno przytuleni. Potem się pocałowaliśmy, już nie tylko przyjaciele, lecz przyszli kochankowie. Wydawało się to absolutnie naturalne. Wypuściłem ją na moment z objęć i zamknąłem cicho drzwi, żeby odgłosy naszej pierwszej nocy miłosnej pozostały w studiu. Pokoju do muzykowania.

Tej nocy narodziłem się ponownie. Wiedziałem, że się obudzę i będzie przy mnie Evie. Nie jutro czy pojutrze, ale każdego następnego ranka, w nieskończoność. Otworzę teraz oczy, wyciągnę rękę i dotknę jej. Po raz pierwszy czułem bliskość wieczności.

Znałem Evie przez tyle lat, a nie widziałem jej nigdy w kostiumie kąpielowym. Jej ciało było dla mnie odkryciem. Zobaczyłem po raz pierwszy jej piersi, gdy je całowałem.

Gdy się kochaliśmy, Evie okazała czułość i zmysłowość, o jaką jej nie podejrzewałem.

Wschodzące słońce zdawało się witać nas jako cząstkę planu natury.

Obudziłem się pełen miłości.

Musieliśmy wstać. Dziewczynki jeszcze spały, miałem więc czas, żeby stworzyć pozory przyzwoitości. Evie wymknęła się spiesźnie do swojego pokoju, tymczasem ja ubrałem się szybko i doprowadziłem studio do porządku, żeby wyglądało tak, jak gdybym zdecydował się „zostać na noc” w ostatniej chwili. (Miałem poważne wątpliwości, czy Lily i Debbie kupią tę historię, mimo to nie sądziłem, żeby moja obecność sprawiła im przykrość).

Tak czy owak, zjedliśmy razem rodzinne śniadanie i gdy dziewczęta wróciły do swoich pokojów, żeby robić to, co zwykle robią w niedzielne poranki, Evie i ja siedzieliśmy, uśmiechając się do siebie.

- No cóż, to stało się raczej szybko - zaśmiała się Evie.

- Nie wydaje mi się, żeby dwudziestoletnia znajomość stawiała nas w kategorii sprinterów. Nie zgadzasz się z tym?

Jej mina mówiła to wszystko bez słów. Jedyne pytanie brzmiało: co teraz?

Siedzieliśmy, pijąc kawę i udając, że przeglądamy niedzielne gazety, gdy tymczasem oboje paliliśmy się, by porozmawiać o wspólnej przyszłości.

- Jedziesz do domu? - spytała Evie.

- W końcu będę musiał. To znaczy, prędzej czy później muszę przecież zmienić koszulę.

- A potem?

- Nie wiem. Co masz na myśli?

- No cóż, Matt, rozpoczęliśmy coś. Zaproponuj może, jak będziemy kontynuować.

- Właśnie tak, Evie, dokładnie tak. Po prostu będziemy kontynuować. Jedyne problem, to że w moim mieszkaniu jest za mało miejsca na twoją wionoczele, nie mówiąc już o dziewczynkach.

- Może więc ja zaproszę cię, żebyś zamieszkał tutaj, powiedzmy, przez tydzień?

- A co z dziewczynkami?

- Hm, zgadzam się, że tu może wystąpić pewien problem - przyznała z uśmiechem. - Nie sądzę, żeby chciały cię stąd w ogóle wypuścić.

I tak rzeczywiście się stało.

Tydzień przeszedł w miesiąc, potem dwa, następnie trzy. Pewnego wieczora Debbie, która nigdy nie owijała niczego w bawełnę, spytała, czerwieniąc się:

- Matthew, czy mogę cię nazywać tatusiem?

Popatrzyłem na Evie.

- To zależy od tego, czy twoja mamusia pozwoli mi nazywać ją panią Hiller.

Zdecydowałem się już dawno, czekałem tylko na odpowiednią okazję, by poprosić Evie, żeby za mnie wyszła.

- No i jak będzie, mamusiu, czy zamierzasz powiedzieć „tak”?

Evie promieniała z radości.

- Pod warunkiem, że ty i twoja siostra zostaniecie moimi druhami.

- Czy to oznacza, że dostaniemy z tej okazji nowe sukienki? - zawołała nagle Lily z miejsca, z którego słuchała naszej rozmowy.

- Tak, kochanie - odpowiedziała Evie. - To oznacza mnóstwo nowych rzeczy.

W tydzień później sędzia Sydney Brichto złożył wizytę domową i połączył nas węzłem małżeńskim w obecności córek Evie. Alciśka, Georgie, była „starością”, a mój

asystent, doktor Morcy Shulman podawał obrączki. Na zakończenie, by uczcić w szczególny sposób tę okazję, mąż Georgie, Harvey, zagrał (coś, co przypominało) marsza weselnego...

Pozostało nam tylko poinformować o wszystkim rodziców. Pani Webster wykrzykiwała gratulacje tak głośno, że moglibyśmy je słyszeć ze stanu Iowa nawet bez telefonu.

Chazowi wprost odebrało mowę.

- Przepraszam, że ominęła was ceremonia ślubna. Mam nadzieję, że nie czujesz się obrażony.

- To zależy od tego, czy ominęło mnie również przyjęcie.

- Oczywiście, że nie, wydamy je w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy przyjedziemy w odwiedziny do ciebie i do mamy.

- Wobec tego nie czuję urazy. Gratuluję ci serdecznie, Matt, udowodniłeś, że jesteś nawet inteligentniejszy, niż przypuszczałem.

Rozdział 19

Po raz pierwszy czułem, że żyję. Uświadomiłem to sobie dopiero po pierwszym miesiącu małżeństwa. Jak mogłem zmarnować tyle lat w takiej absolutnej niekompletności. Nigdy nie mieszkałem z nikim, nie licząc Afryki, nie miałem pojęcia, czym jest małżeństwo na co dzień. Zastanawiałem się, czy ktoś tak obsesyjnie oddany pracy, jak ja, może sprawdzić się jako mąż.

Jednakże przyjmując za pewnik, że się sprawdzę, Evie nappełniła mnie wiarą, że ma rację.

Nauczyła mnie również, jak być ojcem. Nie minęło wiele czasu, a składałem wizyty w szkole, do której chodziły dziewczynki, rozmawiałem z ich nauczycielami, jak gdybym robił to zawsze. (Udział Rogera kończył się na podpisaniu czeku za każdy semestr). Nauczyłem się już tyle, obserwując Evie (nie wspominając o moich doświadczeniach przy „wychowywaniu” Chaza), że miałem fory w tym najtrudniejszym życiowym zajęciu.

Czułem się tak, jakbyśmy zawsze byli z Evie razem. Instynktownie potrafiła żyć w pierwszej osobie liczby mnogiej.

Naszą ulubioną rozrywką stało się odwiedzanie całodobowego supermarketu po drodze z koncertu do domu. Było to miłe przedłużenie naszych chwil poczucia wspólnoty.

Podczas jednego z takich nocnych wypadów, Evie odważnie poruszyła nowy temat.

Wrzucając rolki jednorazowych ściereczek kuchennych do naszego wózka na zakupy, powiedziała ni stąd, ni zowąd:

- Czy przeszło ci kiedykolwiek przez myśl, że nie jestem jeszcze za stara, żeby mieć dziecko?

- A chciałabyś? - spytałem prostodusznie. - Masz przecież dwie wspaniałe córki.

- A czy nie byłoby miło, gdybyśmy ty i ja spróbowali spłodzić na własną rękę owoc naszej współpracy?

Nagle przestałem przerzucać artykuły papiernicze i zamyśliłem się. Moje własne dziecko? Które sam spłodziłem? Oczywiście, byłem przy porodzie mnóstwa dzieci i pamiętam radość, jaką odczuwali rodzice z powodu przyjścia na świat tych trzypółkilogramowych maleństw.

Czekając na moją reakcję, Evie od niechcienia wrzuciła do koszyka zestaw do mierzenia cyklu owulacyjnego.

- Zaczekaj chwilę - zaprotestowałem, odkładając go na półkę. - Czy mógłbym mieć trochę czasu do namysłu?

- Jasne, oczywiście. Tak mi tylko przyszło do głowy.

Wydało mi się, że jest zawiedziona. Jednakże moje doświadczenia z okresu dzieciństwa nie były czystym pasmem rozkoszy, toteż nie miałem absolutnej pewności, że chcę je przenieść na inną ludzką istotę. Mimo to muszę rozważyć ponownie tę możliwość z osobą, którą naprawdę kocham.

- Zaczekajmy miesiąc lub dwa - powiedziałem, gdy przeszliśmy do stoiska z warzywami, czując jednocześnie lekkie wyrzuty sumienia i ulgę.

Tymczasem dokładaliśmy jak największych starań, by stać się rodziną.

Czasami nawet bawiła mnie „wojna pokoleń”.

Pewnego wieczora Lily oznajmiła nam o nowym zaskakującym wydarzeniu w jej życiu towarzyskim. Pojawił się Paul. Poznała to „bożyszcze” na prywatce w sobotę trzy tygodnie temu i teraz poinformowała nas od niechcienia, że zamierza spędzić weekend w wiejskiej posiadłości jego rodziców w East Hampton.

- Zaraz, zaraz - powiedziała Evie, wyraźnie starając się opanować wybuch. - To trochę nieoczekiwane, Lily. Muszę to rozważyć wspólnie z Mattem. I, rzecz jasna, nie obejdzie się bez rozmowy z państwem...?

- Hollander, ale co to za różnica?

- Ponieważ jeśli będę rozmawiał z facetem, muszę wiedzieć, jak się do niego zwracać - odpowiedziałem.

- O kogo ci chodzi? - spytała.

- O pana Hollandera, ojca Paula.

- Przepraszam, Matthew, ale nie wydaje mi się, żeby to była twoja sprawa. Wszyscy ważni ludzie z mojej klasy tam jadą, a mama zna ich od lat.

Spojrzałem na Evie. Odpowiedziała mi szczególnym spojrzeniem, które oznaczało: tak, znam ich i nie podobają mi się.

- Posłuchaj, Lily - spróbowałem przemówić jej do rozsądku. - Przykro mi, że nie było mnie tu wcześniej i nie mogłem pomagać w czuwaniu nad twoim dorastaniem, teraz

jednak czuję się za ciebie odpowiedzialny i muszę wiedzieć, czy będziecie mieli odpowiednią przyzwoitkę.

- „Pryzwoitkę”! Mój Boże, w którym wy wieku żyjecie? Ludzie nie mają już przyzwoitek.

- W takim razie - wtrąciła Evie, naśladowując lekceważący ton Lily - nie pojedziesz.

Jej córka nie spodziewała się tego oporu i, oczywiście, szukała kogoś, komu mogłaby przypisać winę.

- Ty ją do tego namówiłeś, prawda, Matthew?

- Nic takiego nie zrobił - odparła Evie.

- Wobec tego, czemu, odkąd pojawił się na scenie, wszystko jest takie średniowiecznie surowe? Ten człowiek nie ma doświadczenia jako ojciec.

- Przestań nazywać go „człowiekiem”! - krzyknęła Evie, tracąc panowanie nad sobą.

- Jest lepszym ojcem, niż twój ojciec biologiczny mógłby w ogóle marzyć. Właśnie dlatego, że go nigdy nie było w domu, postępowałam wobec was zbyt liberalnie. Ale ty nie jesteś już małą dziewczynką.

- Och, więc zauważyłaś - rzekła ironicznie Lily. - Wobec tego nie ma potrzeby rozmawiać dłużej o całej sprawie.

- Wreszcie się co do czegoś wszyscy zgadzamy - zakończyła Evie. - Na razie proponuję, żebyś poszła odrobić matematykę. Porozmawiamy o tym z Mattem i jeśli przejdziemy do etapu drugiego, zadzwonimy do państwa Hollanderów, żeby dowiedzieć się, jakie podjęli kroki, by zapewnić wam nadzór.

- I zrobicie mi wstyd przed moimi przyjaciółmi? - spytała Lily.

- Nie, chyba że będą wszyscy podsłuchiwali przez dodatkowe aparaty - odparłem. - W każdym razie, jeśli będziemy oboje z mamą zadowoleni z... - szukałem w myśli najmniej irytującego słowa.

- Z aspektu policyjnego - podsunęła Lily.

- Jeśli chcesz to tak nazwać. Potem zorientujemy się, czy nie koliduje to z twoimi zajęciami szkolnymi, i podejmiemy decyzję.

- A tymczasem, co mam powiedzieć Paulowi?

- Powiedz mu, że jeśli jest rzeczywiście tak dojrzały, jak to przedstawiłaś, zrozumie nasze obawy i zaczeka na naszą decyzję.

- Nie, muszę dać mu odpowiedź dzisiaj wieczorem.

- *Pourqoui?* - spytałem.

- Ponieważ cała reszta też da mu znać w tym terminie. - Z tymi słowy wymaszerowała z pokoju.

- Zresztą, Evie - pozwoliłem sobie na niefortunny żart - musimy dać Paulowi szansę, żeby umówił się z kimś innym, na wypadek gdyby Lily nie mogła pojechać.

Za drzwiami rozległ się głośny pisk. Nie był to głos, który poprzednio słyszałem w tym domu. Ponieważ Evie milczała, doszedłem do wniosku, że musiał pochodzić od dorosłej kobiety zajmującej obecnie pokój Lily.

Wpadła do naszego pokoju jak furia.

- Zaczekajcie, niech tylko usłyszą o tym moje przyjaciółki! - ostrzegła nas złowieszczym tonem. - Niech się dowiedzą, jakich mam przedpotopowych rodziców!

- Hej! - rzekłem z autentycznym podziwem. - „Przedpotopowy” to naprawdę świetne słowo. Gdzie się go nauczyłaś?

- Ty, Matthew - powiedziała Lily, wskazując na mnie palcem czarodziejki - nie jesteś ze mną spokrewniony ani nic w tym rodzaju. Gdybyś nie przestał sypiać w laboratorium, wszystkim nam byłoby lepiej.

Wymaszerowała wściekle z pokoju, żeby poinformować kolegów o moich zbrodniach wobec ludzkości.

Staliśmy z Evie, patrząc na siebie i nie wiedząc, czy mamy śmiać się, czy płakać.

Ta doprowadzająca do szału wojna podjazdowa trwała prawie do północy. Między kolejnymi potyczkami Lily dozbierała się telefonicznie. Dopiero gdy obiecaliśmy uroczyście, że „poważnie się nad tym zastanowimy”, położyła się spać.

- Co mamy zrobić? - Evie rozłożyła bezradnie ręce.

- No cóż - powiedziałem, starając się zachować właściwą perspektywę. - Nie rozważałbym w tej chwili możliwości posiadania kolejnego dziecka.

Potem nastąpił punkt zwrotny.

Następnego lata zostałem zaproszony do wygłoszenia referatu na dorocznym spotkaniu Międzynarodowego Stowarzyszenia Neurologicznego, które tym razem miało się odbyć w Rzymie. Wahalem się. Evie natychmiast domyśliła się powodu.

- Co cię tak przeraża, Matthew? Czy Silvia zaczyna zajmować mityczne proporcje w twoich myślach?

- Evie, ja się nie obawiam spotkania z nią, jeśli o to ci chodzi.

- Wobec tego boisz się, że jej nie spotkasz.

- Do cholery, nie boję się niczego. Może pozwolisz mi powiedzieć, co chciałbym zrobić?

- Dobra, zamieniam się w słuch - rzekła niecierpliwie.

- Otóż, tak jak ja to widzę, Włochy nie są takim sobie zwykłym krajem. W lecie są jednym wielkim festiwalem muzycznym. Odbywają się miliony koncertów: opera w termach Karakalli, amfiteatr w Weronie. Dlaczego miałbym pozbawiać was i samego siebie tak niewiarygodnie wspaniałego przeżycia? Spędźmy tam razem przynajmniej miesiąc.

Gdy zarzuciła mi ramiona na szyję, wydałem nagle niski pomruk:

- O, cholera!

- Co się stało? - spytała.

- Teraz będę musiał napisać ten przekłęty referat.

Idealny temat był oczywisty. Zamierzałem przedstawić najświeższe rezultaty terapii, która poskutkowała tak wspaniale w przypadku Josha Liptona, a później jeszcze kilku innych osób.

Evie była wręcz nadzwyczajna, z wielkim oddaniem pomagała mi się przygotować. Nalegała nawet, żebym przeprowadził próbę generalną w naszym pokoju, zanim wygłoszę referat przed międzynarodowym tłumem mądrali, szukających dziury w całym.

Prasa włoska, która miała ogromną skłonność do sensacji, natychmiast wychwyciła temat moich badań i wciąż byłem otoczony rojem podnieconych reporterów. Byłem ciekaw, czy są wśród nich także przedstawiciele „La Mattina”.

Wyznam również, że gdy moje kobiety wybrały się na zakupy na Via Condotti, podszedłem do hotelowej centrali i przekartkowałem mediolańską książkę telefoniczną.

Nie muszę wspominać, że nie figurował w niej numer Silvii.

Przygotowałem dla moich dziewczyn niespodziankę. Evie marzyła przez całe życie, żeby zobaczyć Wenecję. Załatwiłem więc wszystko tak, żeby spędzić tam cały ostatni tydzień przed powrotem do domu. Evie była głęboko wzruszona moim gestem.

Legendarne miasto z kanałami zamiast ulic przeszło nasze oczekiwania. Wysłuchaliśmy muzyki kościelnej Giovanniego Gabriello w wykonaniu chórów w bazylice San

Marco i tego samego wieczora - koncertów Albinoniego pod wspaniałym plafonem Tycjana w kościele Santa Maria della Salute.

Od przeżyć wysublimowanych do zabawnych. Nazajutrz po południu, idąc przez wielki plac w pastelowych promieniach zachodzącego słońca, kuliliśmy się, słysząc, jak geriatryczne zespoły w pobliskich kafejkach fałszowały melodie najbanalniejszych przebojów.

Zdałem sobie nagle sprawę, że jestem bardzo, bardzo szczęśliwy. Impulsywnie ucałowałem dziewczynki i przytuliłem moją kochającą żonę.

Następnego dnia zwiedziliśmy Gran Teatro La Fenice. Klasyczne wnętrze opery z obiciami z czerwonego aksamitu było miejscem prapremierowego wykonania *Traviaty*. (Właśnie na *Traviacie* byłem na mojej „pierwszej randce” z Silvia). Teraz stałem przez długą chwilę za ostatnim rzędem foteli, patrząc na pustą scenę.

I jakimś sposobem poczułem, że kurtyna wreszcie definitywnie opadła. Heroina nie czekała już dłużej za kulisami, gotowa ukazać się w najmniej spodziewanym momencie w teatrze mojej pamięci. Przestałem być więźniem czasu. *Finita la commedia*.

Pozornie przyziemne wydarzenie potwierdziło, że rzeczywiście nastąpił punkt zwrotny.

Evie nie jest osobą próżną. Niewiele troszczy się o swój wygląd, poza tym by wyglądać schludnie i atrakcyjnie. Jednakże, gdy mieszkaliśmy w hotelu „Danielli”, przeżyłem zaskoczenie, gdy wyszedłem spod prysznic i przyłapałem ją na tym, że przegląda się w dużym lustrze.

W pierwszej chwili mnie nie zauważyła i dalej wykręcała szyję, by obejrzeć się z tyłu, szczypiąc się jednocześnie w tali.

Wiedziałem z absolutną pewnością, co w tej chwili myśli.

- Jesteś śliczna, Evie. Masz świetną figurę.

Zaczerwieniła się ze zmieszania jak piwonia.

- Nie miałam pojęcia, że tu jesteś.

Wahała się przez chwilę, po czym przeszła do rzeczy:

- Nie musisz mi schlebiać, Matthew. Przesadziłam z makaronem.

- Wcale nie.

- Przybyło mi prawie dwa i pół kilo.

- Nie zauważyłem - powiedziałem czule.

- Ale ja zauważyłam. I muszę coś z tym zrobić, zanim cię to zbrzydzi. Zamierzam wstać jutro rano wcześniej, by pobiegać.

- Gdzie znajdziesz miejsce do biegania w Wenecji?

- Słyszałam, że o świcie plac Świętego Marka przypomina Central Park. Biegasz ze mną?

- Jasne.

O szóstej rano wygramoliłem się z łóżka, wypilem na chybcika czarną kawę i powlekliśmy się na plac, gdzie biegało już przynajmniej kilkunastu amerykańskich maniaków na punkcie sprawności fizycznej, w dziwacznych strojach i drogim obuwiu.

Biegając obok Evie, obserwowałem wyraz determinacji na jej spoconej twarzy. Ona mnie naprawdę kocha, pomyślałem. Chce być dla mnie atrakcyjna. Nie chce się starzeć. Nie zdaje sobie chyba sprawy, że jedną z jej najbardziej ujmujących cech jest fakt, że jej uroda wykracza poza czas.

Od tej chwili zacząłem cieszyć się na to, że będę się starzał razem z moją żoną. To znaczy, poznałem już różnicę między *coup de foudre*, która przytrafia się dwudziestolatkowi, i głęboką miłością, która przenika powoli człowieka dojrzałego w procesie powolnej i potężnej osmozy.

Ten rodzaj uczuć jest trwały, ponieważ przystosowuje się do zmian. Potrafię wyobrazić sobie Evie z siwymi włosami i wiem, że kochałaby mnie nawet, gdybym stracił wszystkie moje.

Dojrzała namiętność oznacza nie niezmienność, lecz rozwój.

Nagle uświadomiłem sobie, że w mojej wyobraźni Silvia, niczym wieczne nimfy na greckiej urnie Keatsa, nie zmieniła się ani trochę od czasu, gdy ją widziałem po raz ostatni. W moich marzeniach pozostała na zawsze młoda.

Jak terazniejszość Evie mogła konkurować z ponadczasową doskonałością Silvii, wieczną i niezmienną?

I wtedy przyszła mi do głowy osobliwa myśl.

A gdybym tak wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa rzeczywiście spotkał Silvię podczas ostatniego miesiąca? Skąd wiedziałbym, że to ona? Szukałbym przecież wysokiej, smukłej, dwudziestopięcioletniej piękności.

A ona ma już teraz dorosłe dzieci. Być może jej kruczoczarne włosy zdobią pasemka siwizny, na jej twarzy pojawiły się drobne zmarszczki. Być może, podobnie jak Evie, przybyło jej tu i ówdzie parę kilogramów.

Moja poprzednia obsesja dotyczyła osoby, która zniknęła. Silvia, którą pamiętałem, już nie istniała. Chwyciłem Evie za rękę. Zwolniła kroku i przystanęła na chwilę.

- Hej, tygrysie - uśmiechnęła się, sapiąc lekko. - Lepiej dbaj o formę.

- Masz rację - odwzajemniłem uśmiech. - Zwłaszcza przy takiej młodej żonie jak ty.

Objęci w pół, wróciliśmy powoli do hotelu przez plac San Marco, zalany teraz słońcem. Moje serce przepęłniała miłość.

Rozdział 20

Następne lata cechował spokój beethovenowskiej *Symfonii Pastoralnej*. Byliśmy bardzo szczęśliwi. W każdym razie przez długi czas.

I wtedy jak piorun z nieba spadł ten przeklęty telefon od Nica Rinaldiego. Jak na ironię, ponad wszelką miarę irytująco, właśnie gdy uznałem, że ostatecznie się od niej uwolniłem, Silvia wkroczyła ponownie do mojego życia.

Powinienem był natychmiast odmówić. To byłoby łatwiejsze dla nas wszystkich. Wszystko skończyłoby się szybko i bezboleśnie. Jak od kuli w mózg.

A jednak mimo wszystko w głębi duszy byłem ciekaw. Jak teraz wygląda? Kim się stała? I choć z trudem i nie od razu, byłem zmuszony przyznać, że chciałem sprawdzić siłę mojej odporności na nią.

Musiałem porozmawiać z Evie.

Znałem na pamięć jej rozkład dnia. W tej chwili powinna być u Juilliarda. Zadzwoiłem do niej natychmiast.

W tym samym momencie, w którym powiedziałem „cześć”, Evie wyczuła coś w moim głosie.

- Matt, co się stało? - zaniepokoiła się. - Czy dziewczynki...?

- Z dziewczynkami wszystko w porządku - uspokoiłem ją.

- Dobrze się czujesz?

Zacząłem jej opowiadać, co się właśnie wydarzyło.

Mimo woli, gdy usłyszała imię Silvii, zareagowała w pierwszej chwili krótkim „och”. Szybko wyjaśniłem przyczynę naszego bliskiego spotkania.

Evie myślała przez chwilę, a następnie powiedziała cicho:

- To okropna wiadomość. Czy sądzisz, że potrafisz jej pomóc?

- Nie wiem, być może. Ale czuję się jakoś trochę niezręcznie.

- Dlaczego? Przecież jest teraz po prostu jeszcze jedną twoją pacjentką, prawda?

Nie odpowiedziałem natychmiast.

- Jest czy nie, na miłość boską?

- Oczywiście. - Staralem się, by mój głos brzmiał pewnie.

- Czego się zatem obawiasz, Matt? Kochasz mnie, ty idioto. Zobacysz, wszystko będzie dobrze. Wyleczysz ją. I wreszcie sam wyleczysz się z niej. Trzymaj się. Zadzwoń później.

Gdy odwiesiłem słuchawkę, nie potrafiłem pozbyć się myśli, że chciałbym mieć pewność Evie.

Czemu się na to zgodziłem?

Co mogę zyskać, widząc się z nią?

Wyznanie, przeprosiny? Coś w rodzaju duchowej satysfakcji?

A może było to - (nie jestem wyższy ponad takie uczucia) - nieświadome pragnienie zemsty? Albowiem teraz nasze role były kompletnie odwrócone: to ona była lekarzem potrzebującym pomocy, a ja, być może, dysponowałem odpowiednim lekarstwem.

Przez cały czas wiedziałem, że Silvia żyje, czytałem bowiem o niej w gazetach. Gazety donosiły światu, że ma się dobrze, jest mężatką, ma dwójkę dzieci, zaznała rodzinnego szczęścia. Czy kiedykolwiek próbowała dowiedzieć się, co dzieje się ze mną?

Zdumiała mnie gwałtowność mojego rosnącego gniewu. Nie zdawałem sobie sprawy, że żywiłem taką urazę.

Właśnie w tym momencie drzwi do mojego gabinetu się otworzyły.

- Państwo Rinaldi - zaanonsowała zbytecznie gości moja sekretarka.

Najpierw przyjrzałem się ciekawie jemu. Może chciałem zobaczyć, kogo wołała ode mnie.

Postawny, o szerokich ramionach i wysokim czole. Obaj łysieliśmy, ale on bardziej elegancko.

Nico umiał zręcznie wykorzystać swój magnetyzm. Pewny uścisk dłoni, spokojny, wymodulowany głos. Absolutne opanowanie.

- Doktorze Hiller - powiedział, patrząc mi prosto w oczy. - Dziękuję, że zechciał pan przyjąć nas tak szybko.

- Proszę usiąść.

Czy mój głos zdradzał choćby najlżejsze drżenie?

Wreszcie spojrzałem na Silvię.

Była wciąż bardzo piękna. Oczy błyszczały jej tak samo jak kiedyś. Gdy wchodziła do pokoju, nadal go rozświetlała. Mimo choroby i upływu czasu nie straciła chyba ani odrobiny czaru.

- Cieszę się, że znów się spotykamy - powiedziała cicho, unikając mojego wzroku.

I wtedy stało się jasne - boi się mnie teraz.

Niemniej jednak rozpoznałem w tej kobiecie, przepięknej nawet w cieniu śmierci, osobę, którą tak namiętnie kochałem.

I niczym człowiek stojący nad samym brzegiem morza, którego nagle zagarnia cofająca się fala, poczułem, że tracę równowagę.

Usiedli obok siebie po drugiej stronie mojego biurka. Rinaldi trzymał ją za rękę.

Choć minęło tyle czasu, mimowiednie poczułem się urażony, że jej dotyka. Zaznaczał, oczywiście, własne terytorium. Przypominał mi, że chociaż zwrócili się do mnie o pomoc, Silvia należy do niego.

Ona siedziała bierna, milcząca. Wciąż nie miała odwagi, by na mnie spojrzeć.

Niccolo przejął inicjatywę.

- No i co, doktorze Hiller? Zakładam, że zdążył pan zapoznać się z historią choroby mojej żony?

- Tak, panie Rinaldi, zapoznałem się.

- I...?

- Jestem pewien, że nie usłyszysz pan nic nowego, gdy powiem panu, że guz jest w bardzo zaawansowanym stadium.

Odebrał to chyba jako zawołaną krytykę i przyjął postawę obronną.

- Byłem ostrożny, panie doktorze. Wydawało mi się, że lancet chirurga to zbyt wielkie ryzyko. Moja żona przeszła chemioterapię i naświetlania. W większości wypadków to wystarcza.

Ty arogancki głupcze, krzyknąłem na niego w myśli. Co cię upoważnia do wydawania sądów na temat leczenia, jakie powinna przejść? Czemu nie przywozłeś jej do mnie, gdy wykryto guz?

Tylko po to, by udowodnić, że zapoznałem się z dostarczonymi dokumentami, uczyniłem kilka ogólnych uwag. Następnie, standardowa procedura wymagała, żebym zbadał dno jej oka za pomocą oftalmoskopu.

Nie muszę mówić, że wykonywałem to rutynowe badanie milion razy, od kiedy zacząłem przyjmować jako internista. Nigdy przedtem jednak nie pomyślałem ani przez chwilę, że wiąże się ono z pewną bliskością. Ale to nie była zwykła pacjentka, lecz Silvia.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Rinaldi, chciałbym panią zbadać.

Skinęła przyzwalająco głową.

Wstałem, wziąłem mój srebrny przyrząd i podszedłem do niej. Gdy byłem już dość blisko, uderzyła mnie w nozdrza znajoma woń jej perfum. To sprawiło, że cała ta sytuacja, która wydawała się snem, nabrała cech rzeczywistości. Pochyliłem się, by zajrzeć jej w źrenice. To były te same oczy, w które patrzyłem, gdy się kochaliśmy pół życia temu.

W nieunikniony sposób nasze czoła się zetknęły. Silvia nie odezwała się ani słowem. Byłem ciekaw, czy jej skóra zachowała takie same zmysłowe wspomnienia. Ja pamiętałem, czym był dotyk jej całego ciała. Zdumiało mnie, że po tak długim czasie moje odczucia są tak silne.

Musiało to trwać dłużej, niż mi się zdawało. Moje marzenia przerwał nagle niecierpliwy głos Niccola Rinaldiego.

- Co pan o tym sądzi, doktorze? - spytał szorstko.

Nie odpowiedziałem mu od razu, lecz powoli zakończyłem badanie, wstałem i wróciłem za wał obronny mego biurka. To była moja ostatnia szansa ucieczki i zamierzałem ją wykorzystać.

- Proszę państwa, zastanawiałem się nad tym poważnie. Naprawdę myślę, że będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli leczenia pani podejmie się inny lekarz.

- Ale pan jest... - zaprotestował.

- Nie mówię o innej metodzie, ponieważ jestem pewien, że terapia genetyczna jest jedyną, która może być zastosowana w pani przypadku. Ale są już inni eksperci, którzy posługują się tą metodą równie dobrze jak ja. Na przykład, mój kolega, doktor Chiu w San Diego.

Silvia spojrzała na Nica z bezradnym przerażeniem. Chciała mu coś chyba powiedzieć, ale on uspokoił ją gestem dłoni.

- Zajmę się tym - powiedział do niej po włosku.

Wstał, jak gdyby próbował podświadomie mnie zastraszyć.

- Doktorze Hiller - zaczął powoli - nie wdając się w szczegóły, powiem, że potrafię zrozumieć pańską niechęć do zajęcia się tym przypadkiem. Szanuję pańskie uczucia w tej sprawie.

Zaczął przemierzać w tę i z powrotem mój gabinet, traktując go jako coś w rodzaju podium.

- Z drugiej strony, wszyscy wiemy, że jest pan pionierem w tej terapii. Przeprowadził pan najwięcej zabiegów i ma pan najlepsze wyniki.

Podszedł do mojego biurka, mierząc mnie posępnym spojrzeniem.

- Czy potrafi pan odmówić tego mojej żonie? - Mimowolnie uderzył pięścią w moje biurko.

W tym momencie Silvia wtrąciła przestraszonym tonem:

- Nico, myślę, że powinniśmy pójść sobie.

Zignorował ją, zdecydowany mnie przekonać. Tym razem jednak w jego głosie dały się wyraźnie słyszeć błagalne nuty. Ledwie mu przeszło przez gardło słowo: „Proszę”.

Bez wątpienia ją kochał.

Przez następnych kilka chwil wszyscy milczeliśmy, zatopieni w myślach, zastanawiając się, jaka będzie moja decyzja. W końcu usłyszałem własne słowa:

- Dobrze... dobrze, pani Rinaldi. - Westchnąłem głęboko i powiedziałem: - Nie mogę powiedzieć, że podoba mi się to, co widzę. Stwierdzam wyraźny obrzęk w okolicach nerwu ocznego, co wskazuje na ucisk wewnątrzczaszkowy, spowodowany przez guz. Nie muszę tego pani tłumaczyć, jest pani lekarzem. Wiem, że te badania zostały już wykonane, ale chciałbym powtórzyć obrazowanie za pomocą rezonansu magnetycznego.

- Na miłość boską, czemu? - spytał Nico.

Podniosłem głowę i zmierzyłem go surowym, wieloznacznym spojrzeniem, które mówiło: „Ponieważ to ja jestem lekarzem i szefem”.

- Zadzwońię do szpitala i umówię nas. Czy jakaś pora szczególnie państwu odpowiada?

- Nie, jesteśmy do pana dyspozycji - postanowił być uprzejmy.

- Dziękuję. Muszę przypomnieć państwu, że guz jest niebezpiecznie duży nawet dla terapii genetycznej.

- Ale spróbuje pan mimo wszystko? - przerwał mi Nico.

Odczekałem ułamek sekundy, zanim mu odpowiedziałem. Chciałem się upewnić, że rozumiał, iż rozważyłem w należyty sposób jego pytanie.

- Tak, jeśli nie będzie przeciwwskazań po badaniu krwi.

Nikt z nas nie powinien jednak się łudzić.

Milczałem przez chwilę, po czym spytałem łagodniej:

- Czy zrozumieliście państwo?

- Tak, panie doktorze - odpowiedział Nico. - Zakładając jednak, że nie wystąpią żadne... problemy, kiedy może pan rozpocząć terapię?

- Pielęgniarka pobierze teraz krew, żebyśmy mieli jasny obraz sytuacji. To oznacza, że jeśli wszystko będzie w porządku, możemy zacząć natychmiast po zapoznaniu się z wynikami. Doradzam państwu pozostanie w Nowym Jorku. Przy złośliwym rdzeniaku mózgu zawsze istnieje ryzyko krwotoku. Im mniej podróży, tym lepiej.

- Z tym nie będzie problemu - zgodził się. - Mamy tutaj apartament i całodobową pielęgniarkę, żeby zapewnić mojej żonie wszelkie wygody. Za kilka godzin muszę polecieć do Włoch, ale wrócę najpóźniej pojutrze. I zawsze jestem osiągalny telefonicznie.

- Świetnie - powiedziałem. A w duchu zadałem sobie pytanie, jak może być tak absolutnie zadufany w sobie, by zostawić mnie samego z Silvią.

Gdy oboje wyszli, siedziałem, ściskając głowę dłońmi i zastanawiając się, czemu, u diabła, zgodziłem się ich przyjąć.

Kusiło mnie, by odwołać resztę pacjentów, ale z drugiej strony, nie chciałem zostać sam z moimi myślami. Tak więc, przez następne kilka godzin zatraciłem się w śmiertelności innych.

O trzeciej po południu zadzwonił telefon. Była to Evie.

- Jak poszło? - spytała.

- W porządku. Silvia jest bardzo chora.

- Przykro mi. Ale jak ty się czułeś?

- Żał mi jej - odpowiedziałem. Co było przecież częścią prawdy.

- Czuję, że masz mi wiele do opowiedzenia. Może spotkamy się w „Ginger Man” i zjemy spokojną kolację?

- Świetny pomysł. Mam seminarium o czwartej trzydzieści.

- Dobrze. Debbie ma lekcję tańca, a Lily gry na skrzypcach. Odbiorę je i przygotuję im kolację. Zajmie mi to czas pewnie do ósmej czy coś w tym rodzaju. Do tej pory będziesz już chyba wolny.

- Z pewnością. Chyba że Zimmerman zacznie jedną ze swoich megaoracji. Zadzwoń do ciebie, gdy już będzie po wszystkim.

Roześmiała się.

- Do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę i spróbowałem zająć się pracą, sporządzając notatki do wykładu i dyktując sprawozdania. Ponieważ zastrzegłem, żeby mi nie przeszkadzano, nie zwracałem uwagi na dzwoniący telefon. Po mniej więcej piętnastu minutach zgłosiła się moja sekretarka i powiedziała:

- Pamiętam o tym, co powiedziałaś, Matt, ale pani Rinaldi koniecznie chce z tobą rozmawiać.

- Dobrze, połącz mnie.

- Dzień dobry. Przeszkadzam ci?

- W porządku, Silvio, o co chodzi?

- Czy mogłabym się z tobą zobaczyć? Możesz przyjechać do mnie do domu?

Zamierzałem wykręcić się nawałem obowiązków, ona jednak dodała:

- Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Spojrzałem na zegarek. Jeśli poproszę Morty'ego Shulmana, żeby wziął za mnie seminarium, zyskam dwie godziny i nie spóźnię się na kolację z Evie. Zaproponowałem piątą, Silvia zgodziła się.

Było wyjątkowo łagodne lutowe popołudnie. Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem i pozbierać myśli, poszedłem więc piechotą do budynku na rogu Piątej Alei i Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy, gdzie na ostatnim piętrze mieścił się ich apartament. Przez cały czas zastanawiałem się, co usłyszę.

I czy będę mógł później opowiedzieć o tym Evie.

Włoska służąca w czarno-białym mundurku otworzyła drzwi, wzięła ode mnie płaszcz i zaprowadziła mnie na ogromny taras z widokiem na Central Park. Silvia, ciepło ubrana, pólężała na szezlongu, nogi miała okryte pledem.

Przedstawiła mnie Carli, swojej pielęgniarce, która siedziała obok niej, a na mój widok wstała z szacunkiem. Oznajmiłem, że wyniki badania krwi są dobre i że wyznaczyłem termin badania za pomocą rezonansu magnetycznego na jutro na dziesiątą rano. W tym momencie pielęgniarka wycofała się dyskretnie.

Popatrzyłem na Silvię i spytałem:

- Czemu zadzwoniłaś?

- Gdy Nico wyjechał, nagle się przestraszyłam.

- Czego?

- Że umrę. - W jej głosie słychać było lęk.

- Silvio, obiecałem ci przecież, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

- Wiem - powiedziała, podnosząc na mnie oczy. - Ale teraz, gdy jesteś obok mnie, czuję się lepiej... Matthew.

Jej spojrzenie, a zwłaszcza sposób, w jaki wymówiła moje imię, potwierdziły, że się nie myliłem. Przynajmniej kiedyś, aczkolwiek dawno temu, byłem ośrodkiem jej życia.

- Czy możesz zostać ze mną chwilę?

Usiadłem obok niej.

- Przykro mi, że taki jest powód naszego spotkania - powiedziała cicho - ale jestem naprawdę szczęśliwa, że cię znów widzę.

Nie odpowiedziałem. Czuję, że rozmowa zaczyna wykraczać poza granice zwykłego kontaktu lekarz-pacjent. Silvia jednak nie rezygnowała.

- Czy pamiętasz zakończenie opery Glucka, gdy Orfeusz traci swą ukochaną i śpiewa tę rozzwierającą serce arię: „Cóż pocznę bez Eurydyki?”? Tak się właśnie czułam, gdy cię straciłam.

Jej analogia była dokładnym odzwierciedleniem tego, co sam czułem. Ale do czego to wszystko prowadziło?

- Jest tyle rzeczy, o których muszę ci powiedzieć, Matthew.

Skłamałbym, mówiąc, że nie paliłem się wprost, by dowiedzieć się, co zaszło potem. Że gdybym jej o to nie spytał, poszedłbym do grobu, zastanawiając się, jak w jednej chwili mogła mnie kochać, a w następnej porzucić.

- Posłuchaj, chcę, żebyś coś wiedział - powiedziała żarliwie.

Czekałem.

- Byłeś miłością mojego życia.

Choć wyobrażałem sobie taką chwilę miliony razy, nigdy naprawdę nie wierzyłem, że usłyszę te słowa od niej. Zaskoczyły mnie kompletnie, zaciemniając mój rozsądniejszy osąd. Teraz musiałem wiedzieć.

- Czemu więc, Silvio? Czemu go poślubiłaś?

Odwróciła wzrok.

- To trudno wyjaśnić. Nigdy nie zrozumiesz.

Widziałem, że jest wyczerpana i zdenerwowana, dobieierałem więc starannie słowa.

- Silvio, co właściwie się stało po tym, gdy zostałem postrzelony?

Na jej twarzy pojawił się wyraz cierpienia. Sama myśl o tamtym zdarzeniu zdawała się sprawiać jej ból. Odnosiłem wrażenie, że jeszcze chwila, a się rozpłaczę.

- To okropne, Matt. Najgorsze godziny mego życia przeżyłam, wioząc cię z powrotem do naszej kliniki. Byłam pewna, że umrzesz - i to przeze mnie. Gdybym ruszyła wtedy, gdy krzyknąłeś do mnie pierwszy raz! Zawsze winiłam siebie za to, co ci się przytrafiło. Jedyne wspomnienie, jakie mi zostało po całej tej podróży, to ty, nieprzytomny, leżący obok mnie. Nie mogłam nic dla ciebie zrobić, najwyżej powstrzymać krwawienie. A potem François i Gilles wyciągnęli cię z furgonetki. W chwili gdy znalazłeś się bezpiecznie pod ich opieką, miałam wrażenie, że niebo wali mi się na głowę. Kompletnie się załamalam. - Zasłoniła twarz rękami i zaczęła cicho płakać.

Byłem poruszony jej opowieścią. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jakim koszmarem musiała być dla niej droga powrotna.

- Myślę, że wiem, co się potem stało - powiedziałem cicho.

Przestała płakać i spojrzała mi prosto w oczy.

- François nie miał nikogo, kto potrafiłby usunąć kulę. Trzeba było przetransportować mnie jak najszybciej do Europy. Ale istniał tylko jeden sposób, by wywieźć mnie z Erytrei - za pomocą jednego z helikopterów Nica z platformy na Morzu Czerwonym. Zadzwoiłaś do niego, prawda?

- Tak.

- A ceną za uratowanie mi życia było...

Skinęła ze zmieszaniem głową.

- Ale przecież to był szantaż. Boże, gdybyś mi tylko powiedziała...

- Matthew, czy ty tego nie rozumiesz? Nie mogłam. Czułam się zobowiązana. Zwłaszcza że naprawdę uratowało ci to życie.

Patrzyłem na nią, prawie nie mogąc dać wiary, że to, w co zawsze pragnąłem wierzyć, jest prawdą. A więc jednak mnie kochała. Czułem jej cierpienie i pożałowałem, iż nie mogę wziąć jej w ramiona i pocieszyć.

I w tej jednej chwili wybaczyłem jej wszystko.

Rozdział 21

Siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się zachodzącemu słońcu.

Zaczynałem czuć się niezręcznie, miałem ochotę wyrwać się stąd.

- Teraz nie będzie już tak źle, Matthew - westchnęła Silvia. - Jeśli umrę, przynajmniej zdażyłam się z tobą zobaczyć.

- Nie umrzesz, Silvio - powiedziałem stanowczo. - Nie pozwolę na to. Już ci mówiłem.

Popatrzyła na mnie.

- Gdy słyszę to od ciebie, zaczynam wierzyć. Ile osób wyleczyłeś poza małym Liptonem?

A więc mimo wszystko śledziła moją karierę.

- Jeśli chcesz, jutro przyniosę ci egzemplarz mojego ostatniego artykułu w „New England Journal”.

- Nie, wolę usłyszeć o tym z twoich ust.

- No cóż, Josh skończy szkołę średnią w przyszłym roku. Katie ma już drugie dziecko. Donnie Cohen i Paul Donovan prowadzą absolutnie normalne życie, a drużyna baseballowa Svena Larssona wygrała właśnie stanowe ćwierćfinały.

- Czy to wszystko?

- Nie, moją technikę stosują zespoły w Denver i San Diego. Ale ty też jesteś lekarzem, Silvio. Wiesz, że nie istnieje coś takiego jak stuprocentowa szansa powodzenia.

Miałem nadzieję, że nie będzie mnie sondowała dalej, ale się przeliczyłem.

Mimowolnie popatrzyłem na zegarek.

- Musisz już iść? - spytała żałośnie. - Nie znajdziesz nawet czasu, żeby się czegoś napić?

- Przykro mi, ale mam następną wizytę.

Pamiętałem, że obiecałem Evie zadzwonić po ósmej.

- Czy nie możesz tego odłożyć o kilka minut?

Przywołała już pokojówkę, która stała teraz, czekając na jej polecenie.

- Czy nadal lubisz białe wino, Matthew?

- Dobrze - skapitulowałem, złoścąc się w duchu na siebie, że ustąpiłem.

Służąca wróciła szybko z butelką puligny-montrachet i dwoma kieliszkami na tacy.

Być może sprawiła to poświata zachodzącego słońca, ale wydało mi się, że twarz Silvii nabrała trochę koloru. Powoli pozwoliliśmy popłynąć rzece wspomnień, rozmawialiśmy o szczęśliwych chwilach. A było ich wiele. Z piętnastu minut zrobiło się pół godziny, a potem spytała:

- Może zjesz kolację, zanim wyjdiesz? - Tym razem mogłem spokojnie odmówić, ale zostałem z własnej woli.

Siedzieliśmy w wysoko sklepionej jadalni, w której wisiały płótna Renoira, Cezanne'a i Seurata, które sprawiały, że człowiek czuł się jak w sali Jeu de Paume.

Coraz trudniej było ograniczyć rozmowę do przeszłości.

- Czy widziałaś się jeszcze kiedyś z François? - spytałem.

- Prawdę mówiąc, tak - odpowiedziała. - W pewnym sensie się sprzedał.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Zwerbował dwa tysiące lekarzy pracujących w trzydziestu pięciu krajach. Jak możesz to nazywać sprzedawaniem się?

Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

- Obecnie nie tylko zapina koszulę pod szyję, lecz nosi nawet krawat i marynarkę.

- Och - roześmiałem się. - Staje się zwyczajnym mieszczuchem.

- Jedliśmy z nim kolację w zeszłym roku w Paryżu - mówiła dalej. - Próbował wyciągnąć za pomocą swojego czaru osobistego dotację od Nica. Pod koniec wieczora byliśmy o kilka milionów dolarów ubożsi, a on zyskał szpital polowy w Gabonie.

- Skoro mówimy o szpitalach, jaką w końcu zrobiłaś specjalizację?

- Musiałam rzucić medycynę dawno temu - odpowiedziała, marszcząc lekko brwi. - Ale to już zupełnie inna historia.

- Powiedz mi - spytałem - ponieważ dręczy mnie ciekawość, co się stało z twoim niewiarygodnym idealizmem, co go zabiło? Pamiętam, jaka byłaś cudowna wobec dzieci. Nigdy nie zapomnę twojej niezwykle trafnej diagnozy pierwszego dnia w Erytrei.

- No cóż, Matthew, to była Afryka. Włochy to zupełnie co innego.

- Co masz na myśli?

- Medycyna i małżeństwo nie idą ze sobą w parze. Nie potrafiłam pogodzić wszystkiego tak jak moja matka, która urządziła redakcję „La Mattina” w jednym skrzydle domu.

Nie muszę ci mówić, jak wiele czasu pochłania pediatria.

Poza tym wieczorem byłam potrzebna Nicowi, no i, oczywiście, dzieciom.

Z trudem starałam się ukryć rozczarowanie.

Silvia to zauważyła.

- Przykro mi, Matthew, ale zawsze oczekiwałeś ode mnie zbyt wiele. Nie da się zrobić Matki Teresy z zepsutej mediolańskiej dziewczyny, która zawsze stawiała na swoim.

- Daj spokój, Silvio. Wiem, jaka byłaś. To ty zapomniałaś.

- Dobrze, doktorze - powiedziała, rozkładając ręce. - Żyj dalej złudzeniami. W każdym razie nadal działam - rzekła trochę w ramach usprawiedliwienia. - Jestem członkiem zarządu szpitala. A w przyszłym roku zostanę przewodniczącą włoskiego Czerwonego Krzyża.

Zabręczał mój pager. Wyjąłem go. Wyświetlacz z ciekłego kryształu naglił mnie: ZADZWONIĆ DO ŻONY - 555 1200.

Przeprosiłem Silvię i szybko wybrałem numer.

- Wszystko w porządku? - spytała Evie. - Gdzie jesteś?

- Nagły wypadek - odpowiedziałem wymijająco. (Wyjaśnię jej wszystko po powrocie do domu). - Już jadę.

- Wracaj jak najszybciej. Mamy mnóstwo do omówienia. Upichcę coś dla ciebie.

- Nie trudź się, przekąsiłem coś. Chcę cię po prostu zobaczyć.

- Będę na ciebie czekała, Matt.

Wróciłem do Silvii.

- Niestety, na mnie już czas.

- Rozumiem, oczywiście. Zatrzymałam cię zbyt długo. Zagrasz jutro dla mnie na fortepianie?

Poczułem, że przenika mnie zimny dreszcz.

- Przykro mi, Silvio - powiedziałem niecierpliwie. - Naprawdę muszę już iść.

Gdy podeszliśmy do drzwi, ujęła mnie za ramię.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak cudowny dla mnie był ten wieczór. Dziękuję ci za wszystko.

Ruszyłem powoli do domu, pogrążony w myślach.

- Późno pan wraca - zauważył windziarz. - Nagły wypadek?

- Tak, Luigi, nagły wypadek.

- Czasami trudno być lekarzem, prawda?

- Prawda - odpowiedziałem tonem zniechęcającym do dalszej rozmowy.

Niestety, byłem jednym z jego ulubionych rozmówców i zawsze jechał o połowę wolniej.

- Pani Hiller jeszcze nie śpi.

- Skąd wiesz?

- Słyszałem, że gra.

To była przynajmniej cenna informacja, ponieważ jeśli idzie o ćwiczenia, Evie robiła to zawsze w dzień. Jedynym powodem, dla którego grała w nocy, poza przygotowaniami do koncertu, mogła być potrzeba odreagowania.

Kto winiłby ją za to, że miała wszystkiego po dziurki w nosie?

Dochodziła jedenasta. Gdy wszedłem do mieszkania, Evie nadal grała.

- Wróciłem - zawołałem, kierując się w stronę studia.

Akompaniament fortepianowy do sonaty A-dur Francka pochodził z potężnych kolumn Bose'a, ale Evie również grała o wiele za głośno. Nie wiedziałem, czy słyszy, jak wchodzi, ale nie przestraszyła się, gdy pocałowałem ją w kark.

- Jak było? - spytała, wciąż pogrążona w muzyce.

- To był niezły dzień - odpowiedziałem. - Napijesz się czegoś?

- Tak - skinęła głową. - Wszystko jedno czego.

Wróciłem, niosąc kieliszki kalifornijskiego chardonnay dla każdego z nas. Nawet wtedy Evie nie odeszła od wiolonczeli. Uświadomiłem sobie, że chce, by jej instrument był świadkiem naszej rozmowy. W końcu odłożyła smyczek i upiła łyk wina.

Czekała przez chwilę, po czym spytała z wystudiowaną swobodą:

- Czy wciąż jest piękna?

- Tak - odpowiedziałem, starając się nie patrzeć na nią.

- Jesteś nadal w niej zakochany? - spytała po chwili wahania.

- Nie - odparłem szybko. Być może, zbyt szybko.

Wzięła smyczek i zaczęła znów grać.

- O czym rozmawialiście?

- O przeszłości.

- A konkretnie?

- Miałem rację, że Nico zmusił ją do małżeństwa.

- Na szczęście dla mnie - rzekła bez uśmiechu.

Zagrała długi pasaż, nie odzywając się do mnie. Czulem, że szykuje się, by spytać mnie o coś ważnego. Nie pomyliłem się.

- Czy jest coś, o czym chciałbyś mi powiedzieć?

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym zebrałem się na odwagę i wyznałem:

- Tak. Spędziłem z nią wieczór.

Nie potrafiła ukryć przykrości, jaką jej wyraźnie sprawiłem. Czemu, do licha, nie powiedziałem jej tego przez telefon?

- Jestem zmęczona - rzekła tylko. - Chcę się położyć.

W kilka minut później zgasiła światło i położyła się na wznak, wtulając w poduszkę. Przez chwilę myślałem, by otoczyć ją ramieniem i, być może, zainicjować kontakt fizyczny. Gdy tak się wahałem, odwróciła się do mnie tyłem.

- Kocham cię, Evie - wyszeptalem, ale ona zapadła chyba szybko w sen.

Zamknąłem oczy, nie mogłem jednak zasnąć. Wreszcie włożyłem szlafrok i przeszedłem do salonu. Stałem w oknie, spoglądając na uśpione miasto.

I zastanawiając się, do czego to wszystko doprowadzi.

Rozdział 22

O dziesiątej czterdzieści pięć zadzwonił kierowca Silvii, zawiadamiając nas, że są zaledwie o dwie przecznice od szpitala. Poleciałem Pauli, żeby wyszła im na spotkanie.

Opowiadała później, że limuzyna była wielka jak boeing 747. Gdy szły obie na mój oddział, wszyscy się za nimi oglądali. Silvia była najbardziej olśniewającą pacjentką, jaką kiedykolwiek leczyłem.

Mimo że czas liczył się jak diabli i wszyscy byliśmy gotowi do przeprowadzenia badań, Silvia uparła się, by obejrzeć futurystyczną aparaturę w moim laboratorium, która służyła do restrukturyzacji DNA. A co najważniejsze, chciała poznać ludzi podczas pracy, jak gdyby oczarowując wszystkich, mogła w jakiś sposób wpłynąć na wynik.

Przedstawiłem ją najpierw mojemu asystentowi, doktorowi Mortonowi Shulmanowi, wychwalając pod niebiosa jego naukową przenikliwość. Gdybym kiedykolwiek był nieosiągalny, chciałem, żeby była pewna, że zastąpi mnie dobrze poinformowany lekarz.

Resa pobrała krew Silvii i pokazała jej aparaturę, która ją „wypierze”.

Następnie zaprowadziliśmy ją z Mortem na radiologię na dziewiąte piętro, i zostaliśmy z nią, gdy podłączono ją do ogromnej maszyny.

Gdy badanie się skończyło, poprosiłem Morty'ego, żeby zszedł z Silvii na kawę, ja zaś zostałem, by omówić wyniki z Alem Reddingiem. Kiedy odprowadzałem ich do windy, powiedziałem do Silvii:

- Mort jest wspaniałym gawędziarzem. Niech ci koniecznie opowie o swojej szalejącej na łyżworolkach teściowej.

Nim wróciłem, starszy radiolog oraz jego asystenci zdążyli już ustawić obraz na negatoskopie i studiowali go dokładnie.

- Rzadko się widzi coś takiego, Matt - przywitał mnie ponuro AL - To cholerne draństwo. Popatrz sam.

Zobaczyłem guz z daleka, będąc dopiero w połowie pokoju - plama była tak duża, że w pierwszej chwili wyglądała na wadę kliszy.

- Jak ona może jeszcze chodzić z czymś tak wielkim?

- Już niedługo - rzekł ponuro radiolog.

- Ta kobieta nie przeżyje miesiąca.

Jeden z rezydentów odwrócił się do mnie i spytał z szacunkiem:

- Doktorze Hiller, jakie szansę ma pańska terapia w przypadku tak zaawansowanego stadium choroby?

Nie byłem w nastroju do dzielenia się moimi myślami z nikim, odpowiedziałem więc po prostu:

- Chciałbym przyjrzeć się temu sam przez kilka minut. Mogę, Al?

- Proszę bardzo - zgodził się. - Zejdę z chłopcami na dół, przekąsimy coś.

Zostawili mnie w pokoju z wizerunkiem mózgu Silvii, spustoszonego przez nowotwór, który - o ile nie nastąpi jakiś nieprzewidywalny cud - z pewnością ją zabije.

Nagle dotarł do mnie pełny realizm sytuacji. To była Silvia, moja pierwsza miłość.

Mój Boże, pomyślałem, jest jeszcze młoda. Przeżyła zaledwie połowę życia. A teraz nigdy nie zobaczy ślubu swoich dzieci, nie będzie się bawiła z wnuczętami.

A może jest szansa, żeby moja metoda ją uratowała?

Umysł miałem zbyt zmęczony z powodu targających mną uczuć. Potrzebna mi była obiektywna opinia kogoś, kogo szanowałem w tej dziedzinie.

Pora była jak najbardziej odpowiednia. Południe w Nowym Jorku, czyli dziewiąta rano na Zachodnim Wybrzeżu. Złapałem Jimmy'ego Chiu w San Diego, gdy zamierzał właśnie rozpocząć obchód.

Przywitałem się z nim lakonicznie i poprosiłem, by wyświadczył mi przysługę i obejrzał wyniki badań wykonanych za pomocą rezonansu magnetycznego, które mu przesłałem do jego komputera teleradiologicznego w szpitalu.

Jimmy był przyjacielem. Wyczuł, że sprawa jest dla mnie bardzo pilna, i powiedział, że pójdzie natychmiast na górę i rzuci na nie okiem. Ponieważ technik w moim szpitalu jadł akurat lunch, sam obsłużyłem komputer, który przesłał zdigitalizowany obraz mózgu Silvii do San Diego, gdzie powinien się ukazać na monitorze w szpitalu Jimmy'ego.

Za kilka minut mój przyjaciel zadzwonił do mnie.

- Chciałem tylko poznać twoją opinię, Jim. Czy pacjent z takim guzem może jeszcze przejść terapię retrowirusową?

- Pytasz poważnie? Ten rdzeniak jest tak cholernie duży, że jeśli jej to nie zabije, to z pewnością spowoduje krwotok.

- Nie warto nawet próbować, co? - Wciąż trudno mi było zrezygnować. Jim zorientował się, że mam nadzieję, iż może zweryfikuje swój osąd.

- Daj spokój, Matt, istnieją pewne granice. Powinniśmy koncentrować się na tych, których życie da się uratować.

A tak przy okazji, możesz mi powiedzieć, kim ona jest?

- Przykro mi, ale nie - odpowiedziałem. - Dziękuję ci za pomoc, Jim.

Odłożyłem szybko słuchawkę i nie musząc odgrywać przed nikim stoicko spokojnego profesjonalisty, ukryłem twarz w dłoniach i rozplakałem się. Silvia umrze, a ja nie mogę nic na to poradzić. Po chwili przypomniałem sobie, że Silvia czeka właśnie na mnie na dole.

Wszedłem spiesznie do męskiej toalety, umyłem się i doprowadziłem do porządku.

Jak na ironię, śmiała się, gdy do nich wróciłem. Morty Shulman raczył ją swoimi najlepszymi historyjkami.

Zauważyła, że się zbliżam, i rozpromieniła się jeszcze bardziej. Pokiwała na mnie ręką, żebym się przyłączył do towarzystwa.

- Obaj nadajecie się doskonale na scenę - uśmiechnęła się. - To znaczy, Matt mógłby grać na koncertach jako pianista, a Morty powinien prowadzić własny telewizyjny show.

Mój młodszy kolega popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Hej, nie wiedziałem, że grasz.

- Mniej więcej na poziomie twoich dowcipów - odbiłem piłeczkę, splawiając kolegę.

Usiadłem, przyglądając się Silvii baczniej niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy zauważyłem na jej twarzy cień zbliżającej się śmierci i podejrzewałem, że ona również o tym wie. Jej dzisiejsza promienność była czymś w rodzaju ostatniego, pełnego rozkwitnięcia kwiatu, zanim zwiędnie.

Ale czy to nie chcąc się z tym pogodzić, czy też absolutnie celowo, mówiła wciąż o swoich planach na przyszłość. Od spektakli, które mają być wystawione w następnym sezonie w La Scali, do podróży, jakie zamierzała odbyć latem z dziećmi. Żadna z tych rzeczy nie była możliwa.

Odprowadziłem ją z Mortym do samochodu.

- Chryste, Matt. Widziałeś kiedyś większą limuzynę? - spytał, gdy odjechała z kierowcą.

- Nie widziałem też nigdy większego guza, Mort. Nie ma dla niej ratunku.

- Niemożliwe - powiedział, autentycznie wstrząśnięty. - Taka wspaniała, pełna życia kobieta.

- A teraz, Mort - przerwałem mu - zamierzam cię poprosić o szczególną przysługę.

- Cholera! - nie potrafił przejść do porządku dziennego nad tą wiadomością. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- Zamknij się i posłuchaj - huknąłem na niego. - Od tej chwili Silvia jest twoją pacjentką. Zajmiesz się nią i dopilnujesz, żeby nie cierpiała nawet przez sekundę. Słyszysz, co mówię?

Moje polecenie wyraźnie sprawiło mu przykrość.

- Ależ, Matt, ona przyjechała tu przecież specjalnie do ciebie.

- Po prostu zrób to, Mort - powiedziałem.

- Dobrze - zgodził się niechętnie.

- Idź teraz do Pauli i postępuj według całego mojego harmonogramu, aż do odwołania. Dopilnujcie oboje, żeby Resa dostała każdą pomoc, by przygotować jak najszybciej preparat dla Silvii.

Morty musiał chyba pomyśleć, że nie jestem przy zdrowych zmysłach.

- Czy ja dobrze słyszałem? W jednej chwili mówisz mi, że sprawa jest beznadziejna, a w następnej żądasz, żebym przyśpieszył całą tę cholerną procedurę? Laboratorium jest już i tak przeciążone. Możesz mi wyjaśnić, czemu to robisz?

- Ponieważ, ty nieczuły naukowcu - wybuchnąłem wściekle - zawsze może zdarzyć się cud.

Rozdział 23

Poleciałem Silvii surowo, żeby przespała się trochę po powrocie do domu, ponieważ poranne badania z pewnością dały jej się we znaki.

Tak więc siedziałem przez następne dwie godziny w gabinecie, próbując się przygotować na nieuniknione pytania o wynik rezonansu. Oczywiście, nie zamierzałem powiedzieć jej prawdy, ale nigdy nie byłem biegły w kłamstwach. Miałem jedynie nadzieję, że fakt, iż nie przerwaliśmy leczenia, nada moim wykrętom cechy prawdopodobieństwa.

W końcu zadzwoniłem do niej, ona zaś poprosiła mnie, bym przyszedł jak najszybciej, ponieważ „ma dla mnie specjalną niespodziankę”.

W dziesięć minut później stałem przed drzwiami.

Gdy wszedłem do środka, wzięła mnie za rękę i poprowadziła na taras, gdzie już czekała na nas świeżo zaparzona herbata.

- Usiądź, Matthew. Nie uwierzysz, co nam zrządził los.

Nielatwo mi było zachować spokój, zwłaszcza że w większym stopniu zdawałem sobie sprawę z kruchości jej życia.

- Nigdy nie zgadniesz, co idzie dzisiaj wieczorem w Metropolitan.

- Nie wiem. Trzej tenorzy? - zażartowałem.

- Nie, Matthew, bądź poważny. Jaka była „nasza” opera? Oczywiście, *Traviata*. A dziś śpiewają Gheorghiu i Alagna. Jak wiesz, są kochankami również w życiu.

- Przypuszczam, że i tutaj macie łożę?

Roześmiała się.

- Przypadkowo mamy. Czy mój lekarz pozwoli mi tam pójść i dotrzyma mi towarzystwa?

- Tak, w obu wypadkach - odpowiedziałem, ciesząc się w duchu, że nadal istnieje coś, co sprawia jej taką radość.

- Kiedy wraca Nico? - spytałem.

- Jutro rano - odparła bez entuzjazmu. - Zadzwonił, gdy tylko wróciłam ze szpitala.

- Jest chyba bardzo troskliwym mężem.

- Tak - skwitowała to krótko. - Wierzę, że mnie bardzo kocha.

- A twoje dzieci? Wiem, że masz dwóch synów. Media nie szczędzą szczegółów z waszego życia. Gdzie chodzą do szkoły?

- W Eton, w Anglii. Nic się właściwie nie zmieniło.

Trzęsiemy się ze strachu o ich bezpieczeństwo. Nico każe ich pilnować dzień i noc. Ale żyjemy teraz w czasach wysoko rozwiniętej techniki i chłopcy nie mają nic przeciwko ochronie, o ile nie przeszkadza im ona w życiu towarzyskim. Mam nadzieję, że ich kiedyś poznasz. Są tak różni jak ogień i woda. Starszy, Gian Battista, to wykapany ojciec, nie ma takiej dziedziny sportu, w której nie osiągałby świetnych wyników. O ile wiem, w całym swoim życiu nie przeczytał nigdy żadnej książki. Jednakże, podobnie jak Nico, potrafi być nieodparty. Rzecz jasna, był ulubieńcem mojego ojca. Sądzę, że przyszłość dynastii FAM-y jest zapewniona.

- Twój ojciec musiał umrzeć jako szczęśliwy człowiek.

- Tak, spełniły się jego pragnienia. Drugi mój syn, mały Daniele, jest bardzo nieśmiały i wiecznie pogrążony w książkach.

- Będzie lekarzem, co?

- Nie, nie sądzę. Jest na to zbyt wrażliwy. Myślę, że zostanie poetą, co zdarzy się po raz pierwszy w naszych obu rodzinach. Jest taki współczujący i troskliwy. Zawsze bierze udział w marszach protestacyjnych w obronie praw człowieka w Bośni i Rwandzie.

Widziałem, że młodszy syn jest jej oczkiem w głowie.

- Myślę, że w innej epoce zostałby księdzem.

- Ile ma lat? - spytałem.

- W lutym skończy szesnaście.

Zrobiło mi się ogromnie przykro, wiedziałem bowiem, że Silvia nie doczeka jego urodzin.

- A ile ty masz dzieci? - zainteresowała się Silvia.

- Moja żona ma dwie córki z pierwszego małżeństwa. Jestem do nich bardzo przywiązany.

- Tak, potrafię sobie wyobrazić ciebie jako cudownego ojca, zwłaszcza dla dziewczynek. Jaka ona jest?

- Kto?

- Twoja żona.

Nie wiedziałem, od czego zacząć albo czy w ogóle mam ochotę o tym mówić. Odpowiedziałem po prostu:

- Jest wiolonczelistką.
- Ach, to musi być wygodne - zauważyła Silvia.
- W jakim sensie?
- Możecie po prostu grać w duecie.

Nagle poczułem, że wkracza w moją prywatność i nie miałem ochoty o tym mówić, czułem jednak, że najrozsądniej będzie powiedzieć po prostu: „tak” i zmienić temat.

Potem przeprosiła, mówiąc, że musi się przebrać w wieczorową suknię.

- Ty z pewnością chciałbyś zadzwonić do swoich innych pacjentów i do laboratorium.

- Tak - zareagowałem ze stosownym profesjonalizmem. - Sprawdzę w laboratorium, jak wygląda sytuacja.

Gdy zostałem sam, wybrałem jeden jedyny numer.

- Słucham?
- Cześć, Evie.
- Gdzie jesteś? Nie odpowiadasz na wezwanie pagerem.

Prawdę mówiąc, celowo go wyłączyłem, jak i wszystko inne, co nie było Silvia.

- Przepraszam, wyleciało mi z pamięci. Posłuchaj, co do dzisiejszego wieczora...

- Zapomniałeś, że dziś czwartek, Matt? - spytała Evie karcącym tonem. - Mam dzisiaj zajęcia. Wrócę do domu nie wcześniej niż o wpół do jedenastej. Przepraszam, śpieszę się, by odebrać Debbie, masz mi coś szczególnego do powiedzenia?

- Nie, chciałem po prostu usłyszeć twój głos.
- Wobec tego słyszysz go, jak mówi ci do widzenia. Pa, zobaczymy się później.

Weszła Silvia w eleganckiej sukni.

- Widzę, że to dokładna powtórka z Paryża. Znowu jestem nieodpowiednio ubrany.
- Nie wygłupiaj się. Chodź, bo się spóźnimy.

Zjechaliśmy na dół. Jej limuzyna już czekała. Ruszyliśmy w stronę Lincoln Center. Dopiero wtedy dotarło do mnie, na jakie ryzyko się narażam. Gmach opery znajdował się

zaledwie sto metrów od Juilliarda. Prawdopodobieństwo spotkania Evie było tutaj zdecydowanie największe w całym mieście.

I rzeczywiście, jak gdyby wszystko było umówione, gdy zatrzymaliśmy się przed przejściem dla pieszych na Broadwayu, spojrzałem przez okno i zobaczyłem ją, stojącą na skrzyżowaniu z Sześćdziesiątą Piątą Ulicą, z wiolonczelą.

- Cholera jasna - zakląłem pod nosem.

Silvia natychmiast wyczuła, co się stało.

- Nie martw się, Matthew, nic z zewnątrz nie widać przez te szyby. - Odwróciła się i przyjrzała się Evie dokładnie, po czym zauważyła: - Ta wiolonczela jest prawie większa od niej. Och, muszę przyznać, że twoja żona jest bardzo atrakcyjna.

Nie powiedziałem nic, nie spuszczaając wzroku z twarzy Evie.

Zawsze uważałem, że nieskazitelna Silvia zaćmiewa moją żonę, której rzeczywiste piękno było wewnętrzne. Jednakże, jak na ironię, tego wieczora Evie wyglądała ładniej niż kiedykolwiek. Być może sprawiała to aura smutku w jej piwnych oczach. Ledwie zwalczyłem nagły impuls, żeby wyskoczyć z samochodu i pochwycić ją w ramiona. Och, Evie, tak mi przykro, że cię zraniłem.

Kochankowie grający kochanków.

Być może było to najbardziej pamiętne przedstawienie *Traviaty* w historii opery, ja jednak nie przeżywałem wzruszenia. Straciła dla mnie całą swoją magię. Nie współczułem już zadurzonemu Alfredowi ani nie wierzyłem w poświęcenie Violetty. Siedziałem, słuchając beznamiętnie, aż wreszcie heroina odśpiewała arię finałową. Słowa, które doprowadziły nas do łez w Paryżu, wiele lat temu, zyskały teraz nowy osobisty wymiar: „Och, Boże mój, umierać tak młodo... gdy szczęście było tak blisko”.

Spojrzałem na Silvię. Nie płakała.

Przeciwnie, na jej twarzy malował się osobliwy spokój. Wzięła mnie za rękę, jedyny raz tego wieczora, i szepnęła:

- Moje szczęście również było blisko.

W pół godziny później zajechaliśmy pod jej dom.

- To był wspaniały wieczór, Matthew. Wstąpisz na drinka?

- Nie, Silvio. Nie mogę.

- Proszę cię. Nico wyjechał, moja pielęgniarka ma wolny dzień. Boję się być sama.

Wiedząc to, co wiedziałem, nie potrafiłem jej odmówić.

- Dobrze. Ale tylko na chwilę.

Na górze stało się jasne, że nie była to nagła zachcianka z jej strony. W jadalni czekała na nas elegancka kolacja dla dwojga. Poczulem, że mną manipuluje.

Służąca naląła nam natychmiast szampana, który wypilem być może trochę za szybko.

Po pewnym czasie (zwróciłem uwagę, że nie wzięła prawie nic do ust) Silvia pochyliła się ku mnie i powiedziała z uczuciem:

- Chcę, żebyś coś wiedział, Matthew. Cokolwiek się zdarzy, opuszczam Nica. Uświadomiłam sobie, że życie jest zbyt cenne, by je marnować na cześć mrzonki. I jeśli mnie przyjmiesz, chcę być z tobą.

Proszę, Silvio, nie mów nic więcej. Próbowałem wyplątać się z tej sytuacji najdelikatniej, jak umiałem.

- Przykro mi, Silvio - powiedziałem spokojnie i stanowczo - ale jest już za późno dla nas obojga. Ty nie możesz przekreślić osiemnastu lat małżeństwa. A w moim życiu jest ktoś bardzo dla mnie cenny.

- Matthew, czy ja nic już dla ciebie nie znaczę?

- Zawsze pozostaniesz moim pięknym wspomnieniem, Silvio.

Wstałem.

- Naprawdę muszę iść.

- Nie, błagam, nie. - W jej oczach zabłyśły łzy. Jak idiota zatrzymałem się, ona zaś podeszła bliżej.

- Nie możesz mi tego odmówić. - Zarzuciła mi ramiona na szyję i przyciągnęła mnie do siebie.

W tym momencie drzwi się otworzyły i wszedł Nico. Przez chwilę wszyscy staliśmy jak sparaliżowani.

- Dobry wieczór - powiedział, wyraźnie starając się zapanować nad wściekłością. - Przykro mi, że wam przeszkodziłem, zjawiając się wcześniej, niż zapowiedziałem.

Dobranoc, doktorze - dodał zjadliwie.

- Nie - zaprotestowała gniewnie Silvia.

- Tak - zlekceważył jej słowa.

- I tak już wychodziłem - powiedziałem. - Dobranoc.

Wciąż jeszcze w szoku, zadzwoniłem po windę. W ułamek sekundy później dobiegł mnie z ich apartamentu okrzyk Silvii:

- Nico, nic nie rozumiesz!

A potem nagły, głuchy odgłos upadku.

W następnej chwili drzwi się otworzyły i wypadł z nich Nico, z twarzą szarą jak popiół, wołając:

- Doktorze, niech pan idzie, szybko!

Wbiegłem z powrotem do środka. Silvia leżała na podłodze, nieruchoma. Natychmiast zorientowałem się, co się stało.

Pochyliłem się, by ją zbadać dokładniej, i poleciłem Nicowi:

- Proszę zadzwonić natychmiast po karetkę.

Słuchając, jak wzywa gorączkowo pomoc medyczną, przyglądałem się Silvii. Zwróciłem uwagę, że po raz pierwszy jej twarz jest nie tylko piękna, lecz wreszcie spokojna.

Na zawsze ją taką zapamiętam.

Rozdział 24

W dwadzieścia minut później znaleźliśmy się w szpitalu. Mort Shulman czekał na chodniku. Natychmiast przewieziono Silwię na oddział intensywnej opieki medycznej. Dopóki jednak pacjent jest podłączony do respiratora, nie dopuszcza się do niego najbliższej rodziny, nawet jeśli jest to Nico Rinaldi.

Ja miałem tam wstęp, ale zostałem z nim na zewnątrz. Popatrzył na mnie, zaskoczony.

- Czy nie powinienes być przy niej?

- Jest pacjentką doktora Shulmana.

- Od kiedy?

- Od dzisiaj rano. Zostanę, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

To jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi.

- Co się, do diabła, stało?

- Najprawdopodobniej krwotok. Zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo, a od jej ostatniego badania guz znacznie się powiększył.

Nagle się uspokoił, na jego twarzy odmalował się głęboki smutek.

- Nie, to nie może być prawda.

- Przykro mi, Nico. Wiem, że trudno ci będzie przyjąć to do wiadomości, ale byłoby dla niej lepiej, gdyby się nie obudziła.

Zakrył twarz dłonią, zaczął kiwać głową na boki i jęczeć:

- Mylisz się, mylisz się. Ona musi żyć.

Umilkł, starając się opanować. Próbowałem go pocieszyć.

- Nico, jeśli jest to dla ciebie jakąkolwiek pociechą, nikt ani nic nie mogło wpłynąć na ostateczny wynik.

- Nieprawda - zaprotestował uparcie. - To moja wina. Powinienem był przywieźć ją do ciebie wcześniej, ale nie zrobiłem tego, ponieważ... Trudno to wyjaśnić. Tak bardzo ją kochałem. Pokochałem ją, gdy była jeszcze małą dziewczynką.

Było mi go żal.

Nagle podniósł na mnie wzrok.

- Jestem od niej o szesnaście lat starszy, Matthew. To ja powinienem odejść pierwszy. Byłoby to zgodne z naturą, prawda?

Stał, jak przykuty do podłogi. Weszła pielęgniarka i spytała, czy nam coś przynieść. Odprawił ją gestem dłoni. Ja poprosiłem o dwie filiżanki kawy.

Instynktownie ująłem go pod ramię i podprowadziłem do rzędu plastikowych krzeseł. Nagle stał się uległy, wydawał się jakiś mniejszy. Posadziłem go. Zaczął cicho płakać.

Przez długi czas milczeliśmy. Ni stąd, ni zowąd odwrócił się do mnie i powiedział bez nienawiści:

- Nie znałeś prawdziwej Silvii. W głębi duszy była dzieckiem, przerażonym dzieckiem. Jak mogło być inaczej po tym, co spotkało jej matkę...?

Słuchałem, zastanawiając się, do czego to prowadzi.

- Gdy zaatakowano was w Afryce i zostałeś ranny, była potwornie przerażona.

O co mu chodzi?

- Błagała mnie, żebym ją chronił, żebym ożenił się z nią natychmiast.

Jaki był sens spierać się z nim teraz? Jakie to miało znaczenie? Pozwoliłem mu mówić. Chciał, żebym się o czymś dowiedział, słuchałem więc.

- Zawsze wiedziałem, że była osobą praktyczną. Wtedy ty byłeś dla niej silniejszy. W twoich rękach leżało ludzkie życie. Silvia zawsze troszczyła się o to, by przeżyć. To właśnie przywiodło ją do mnie dwadzieścia lat temu i do ciebie dzisiaj.

Patrzyłem na niego przez chwilę, po czym powiedziałem łagodnie:

- Nico, czemu chcesz, żebym o tym wiedział? Czy to cokolwiek zmienia?

- Ważne jest dla mnie, żebyś zrozumiał. Była moja za życia i jest moja w chwili śmierci.

Właśnie wtedy wszedł Morty Shulman. Był skrepowany, najwyraźniej nie przywykł do roli, jaką miał odegrać.

- Panie Rinaldi - powiedział ledwie dosłyszalnie. - Bardzo mi przykro...

Nico opuścił głowę i przeżegnał się.

- Czy mogę ją zobaczyć? Proszę...

- Tak, oczywiście.

Zrozpaczony mąż ruszył za Mortem, po czym nagle zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Była wyjątkowa, prawda?

Nie czekając na moją odpowiedź, wyszedł.

Tak, Nico. Naprawdę była wyjątkowa.

EPILOG

Zaczął padać deszcz. Podniosłem kołnierz i pozwoliłem, żeby ulewa przemoczyła mnie do suchej nitki.

Doszedłem do East River i ruszyłem przed siebie bez celu. Mijali mnie zaparci amatorzy joggingu, biegnący w obu kierunkach, rozkoszujący się własnym masochizmem. Nie przystanąłem ani na chwilę. Serce mnie bolało.

Po prawie dwóch godzinach uświadomiłem sobie nagle z absolutną ostrością: po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat jestem wolny, całkowicie wolny. Duchy przeszłości, które mnie prześladowały, zniknęły.

Zapał zmrok i nagle usłyszałem brzęczyk mojego pagera. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem go.

Na wyświetlaczu widniała krótka wiadomość: PAŃSKA ŻONA CZEKA.

Wreszcie, przemoknięty i wstrząsany dreszczami, włożyłem klucz do zamka naszych drzwi frontowych. Wchodząc do środka, usłyszałem dźwięki sonaty f-moll Brahmsa. To moja ukochana żona, trzymając w objęciach wiolonczelę, zatoneła całkowicie w muzyce. Odwrócona do mnie tyłem, patrzyła w okno.

Jak zwykle akompaniament fortepianowy pochodził z głośników. Evie była tak skupiona, że nie zauważyła nawet mojego wejścia. Dopiero gdy wyłączyłem sprzęt hi-fi, zorientowała się, że jestem w pokoju. Spojrzała na mnie. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przyłożyłem palec do ust.

Wpatrywała się we mnie bez słowa, gdy podszedłem do półki i znalazłem nuty sonaty Brahmsa.

Usiadłem przy fortepianie, zapaliłem światło i zacząłem przewracać strony, dopóki nie dotarłem do miejsca, w którym Evie przerwała.

- Możemy zacząć od strony sto dziewięćdziesiątej czwartej? - spytałem cicho.

Skinęła z niedowierzaniem głową.

Powoli, niepewnie, zacząłem grać dla niej.

Nie było to łatwe, całkowicie bowiem wyszedłem z wprawy, moje palce straciły zwinność. Mimo to, aczkolwiek niezręcznie, grałem. Sam wprowadziłem drugi temat. Evie uniosła w górę smyczek i wtórowała mi, powtarzając to, co zagrałem. Następnie zestroiliśmy się i przekazywaliśmy sobie uczucia w języku Johanna Brahmsa.

Cudownie i równocześnie, na nowo zespoliliśmy się muzycznie. Gdy graliśmy, próbowałem zrozumieć, co sprawiło, że wyrwałem się nagle z więzienia mojej niemoty. Że znów przemówiłem. Że zaśpiewałem.

Przerwaliśmy na wspaniałym akordzie f-moll.

- Evie... - powiedziałem.

- Zagrajmy jeszcze - przerwała mi.

Zacząła powolnym pizzicato, a następnie przeszła do długich, płaczących nut, które zawisły w powietrzu, gdy objęły je dźwięki mojego fortepianu.

Przez kilka chwil cały świat rozbrzmiewał jedynie harmonią naszego związku.

- Zawsze cię kochałem, Evie - wyszeptałem. - Naprawdę zawsze. Od pierwszej chwili, gdy spotkałem cię w szkole. Byłem zbyt nieśmiały, by oblec to w słowa. Próbowałem wyznać ci czasami miłość za pomocą muzyki.

- Wiem - powiedziała, po jej policzkach spływały łzy. - Gdybyś usłyszał, co ci odpowiadam, nigdy nie pozwoliłbyś mi odejść.

- Czy to sprawia ci teraz jakąkolwiek różnicę? - spytałem.

- Nie, Matt - szepnęła. - Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

Następnym utworem było *allegro passionato*.